

7





SPEKTATOR

---

KAPITAN FREGATY

LEW PAWŁOWICZ  
ŁAPTIN

i inne nowele.



KRAKÓW  
NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA  
1905

A. 16238

31. 283

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN



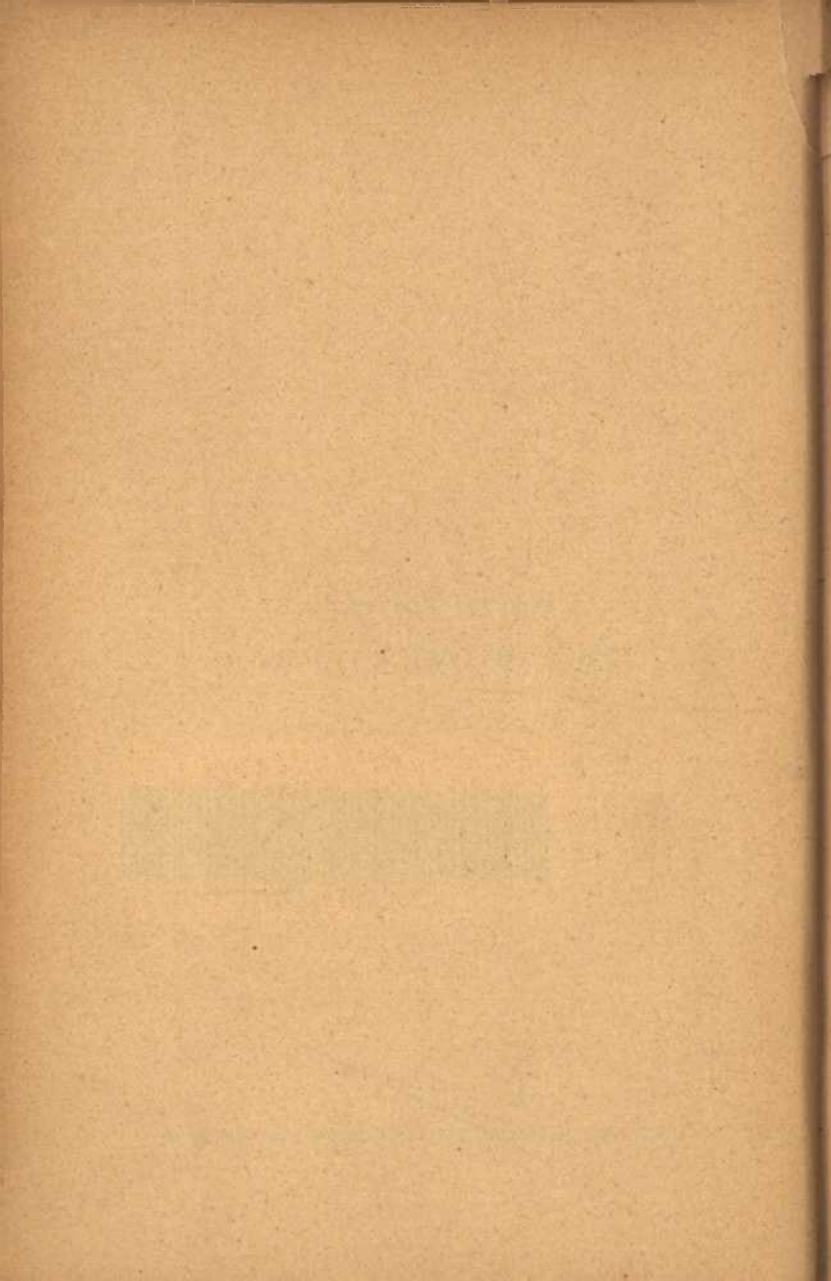
1000173260

ster. 13a

K. 1180/54/5

CZCIONKAMI DRUKARNI A. KOZIAŃSKIEGO W KRAKOWIE

KAPITAN FREGATY  
LEW PAWŁOWICZ ŁAPTIN.



I.

## MORZE DO KOLAN

Morze lubię nadewszystko. Nie pomogła sentencja powtarzana przez mego nauczyciela, który mnie, dziesięcioletniego wówczas chłopca, wtajemniczał w życiową mądrość, mawiając:

— Jeżeli możesz jechać, zamiast płynąć — to jedź... Jeżeli możesz iść, zamiast jechać — to idź! Wtedy może, przy pomocy boskiej, doniesiesz całe kości do celu podróży.

Zacny i szanowny pedagog nie był na globtrotera stworzony, przeciwnie, był domatorem z upodobań i temperamentu, co mu jednak nie przeszkodziło przez calutkie życie, już nie tylko podróżować, ale wprost tułać się po całym świecie, tak, że pewnego dnia spotkałem go w porcie miasta Bordeaux, nadzorującym ładowania na okręt beczek z winem i, niezmiernie zdziwiony tem spotkaniem, zawołałem:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!.. Toć to pan Bocichocki, jeżeli mnie oczy nie mylą?



— Tak... tak, młodzieńcze — odpowiedział ze spokojem człowieka, który już odwykł dziwić się czemu bądź. — On sam, Bocichocki, ex-rolnik, ex-pedagog, ex-chemik i bakterjolog... dzisiaj filozof... dan le ven diu Senier, — mówił po francusku, jak zwykle, z akcentem litewskim — tylko, niestety, nie w służbie Bachusa, ani też nawet zacnej Cerery, a poprostu na żołdzie tych szachrajów, co tu sprowadzają liche wina z całego świata i przerabiają je w naturalne, czyściutki „bordo“.

Mówiąc, trącił z pogardą nogą beczkę przed nim leżącą, aż potoczyła się o kilka kroków i dodał:

— Ci myślisz może, że to dobre wino?

— Cóż się to stało? Jakże pan tu trafił?

— Ho... ho! Długo by gadać. Ostatnie etapy mojej odysei takie: Jak wiesz, lub może i nie wiesz, zawsze miałem słabość do wiedzy, panie mój, we wszystkich jej postaciach, a już osobliwie w jej zastosowaniach do rolnictwa i sadownictwa. Przekonawszy się, że pedagogja w domach prywatnych, coraz mniej popłaca, bo ludzie od pieluch już oddają teraz dzieci do szkół, wziąłem się do badania filoksery, tej klęski krajów wytwarzających wino, no, i naturalnie trafiłem do jego niby ojczyzny, Francji, gdzie myślałem: będę tak, jak to niemcy mówią: wie der Gott in Frankreich. Nieźle mi szło... naukowo, nie finansowo. Odkryłem niezawodny środek przeciw filokserze. Machnąłem z nim, panie mój, do Paryża. Wyrobiłem sobie posłuchanie u ministra rol-

nictwa, któremu, w zamian za pewną kwotę mamonny, com jej bardzo potrzebował, miałem zamiar odkryć wynalazek wiekopomny mający Francję postawić na nogi. Wchodzę, panie mój, do ministerjalnego gabinetu, a muszę ci wyznać, młodzieńcze, że byłem nieco negliże dan ma toalet i, wśród prac laboratoryjnych, broda mi odrosła po pas. Wchodzę zatem zamasyście... minister siedzi przed biurkiem, ja, chcąc tę dobrą nowinę, com ją przynosił, obwieścić w sposób jej godny i, jak to oni mówią: frape en gran ku, staję, panie mój, na środku pokoju, wyciągam ramię proroczym ruchem ku ministrowi i wołam stentorowym głosem: Moa... tiue! — i zanim zdołałem dokończyć, co mianowicie zabijam, ze wzruszenia kichnąłem, wskutek czego musiałem dostać z kieszeni chustkę od nosa, której tam nie znalazłem, e pur koz, tak, że kiedy dodałem nosowym głosem: filoksera!... już było za późno. Minister, myśląc, że to jego chcę zabić, a niestety, wygląd mój mógł tą obawę usprawiedliwić, zdążył już nacisnąć guzik dzwonka, i do wchodzącego huisiera, rzekł, przybladłszy: rekonduize mosie... i wynalazek mój utonął w fali zapomnienia.

Rozmowa z moim ex-mentorem, który na zakończenie jej oznajmił mi, że po tem wszystkim, teraz, jest on wogóle ex-człowiekiem, miała miejsce w porcie, dokąd zapędziła mię chęć znalezienia i wybrania miejsca na statku odpływającym do Egiptu, bo, niepomny na jego nauki, nie bałem się dłuższej

przejażdżki po morzu i zawsze wolałem w moich licznych wędrówkach pływać, aniżeli jeździć kolejami. Lubię morze. Jako syn drugiej połowy zmaterializowanego XIX-go wieku, wstydzę się przyznać, że lubię pomarzyć, patrząc na sine fale, bo zapewne nie wielu by mię zrozumiało i wolę, zgodniej z duchem czasu, zeznać, iż oddaję pierwszeństwo wygodnej, eleganckiej kajucie, przed zwykle, brudnym i od kajuty ciaśniejszym przedziałem wagonu... wolę dobrą okrętową kuchnię, niż liche obiady na dworcach połykane na łeb na szyję, cenię swobodę ruchów, jaką mam na statku, zamiast wiecznie skurczonych nóg w wagonie, czuły jestem na mnóstwo rozkoszy morskiej podróży, z których najmniejszą jest: słuchanie czarujących, prawdziwie syrenich śpiewów, wiecznie pływających amerykańek i angielek, z którymi czasem, nawet zdarza się skutecznie poflirtować, o co w wagonie bardzo trudno, pomimo dobrych chęci ze stron obu.

Miejsce na „Le Rapide“ znalazłem i niegorsze. Zacny pan Bocichocki, w oznaczonej na odjazd godzinie, przeprowadził mię na jego pokład. Pomny na to, że Bóg dobra doczesne nie dla mnie jednego stworzył, uległem polskiej, tak zwanej w Europie, lekkomyślności i podzieliłem się w sposób może-  
nie słuszny, zawartością portfela z byłym opiekunem ducha mojego, od czego poczwiew zrazu wzbra-  
niał się, lecz w końcu, wysłuchawszy kilku ciepłych słów, które mi z pod serca wypadły, przyjął ze łzami

w oczach, poczem zacząłem oglądać się za amerykańkami, a w ich braku, za przedstawicielkami jakiegokolwiek rasy, lub narodowości, bo pod tym względem wybredny nie jestem, przesądów żadnych nie mam i za zupełnego kosmopolitę uważać się mogę... risquons le mot... jestem samcem gatunku homo sapiens.

Szukałem długo, tym razem daremnie. Jak na złość nic, chociażby znośnego, znaleźć nie mogłem. Przetrzałem pierwszą i drugą klasę i już, przywołując na pamięć mój brak wszelkich przesądów, chciałem zajrzeć do trzeciej, kiedy los nastąpił mi inną rozrywkę.

W parę dni po opuszczeniu brzegów Francji, w skwarne popołudnie, podczas gdy „Le Rapide“ mijał Balearskie wyspy, tyłem zwrócony do topniejących we mgle widnokregu gór Hiszpanii, wstałem od nudnej partji wista granej w towarzystwie dwóch francuskich przemysłowców i anglika o niewyraźnych zarysach, gdyż nic zgoła o sobie nie mówił, i nie tracąc jeszcze nadziei, że na ludnym parowcu wygrzebię narreszcie jaką perłę wschodu, lub przynajmniej fałszywy brylancik jakiegoś francuskiego café-chantant udający się do ziemi faraonów po oprawę w stylu nowożytnych kedywów, zwróciłem swe kroki w długą, spacerową galerję, z której trafiłem do rodzaju altanki będącej jednym z najzacisniejszych miejsc tego pływającego miasta. Wmawiałem w siebie, że ani pereł, ani brylantów w ciżbie znaleźć nie można, przynajmniej na swój wyłączny użytek.



Usiadłem w fotelu na biegunach, aby grun-  
townie pomyśleć nad tem, czy lepiej będzie wypić  
szklanę mazagranu, czy też ochłodzić się scherry-  
goblerem, kiedy nagle, nawpół drzemiący mój słuch  
podrażniony został zgrzytem pióra po papierze. Obej-  
rzałem się. Nieco za mną, skryty firanką namiotu,  
przy małym stoliku, siedział oficer okrętowy i za-  
wzięcie a prędko pisał, spoglądając na mnie z tym  
wyrazem oczu, jaki mają gracze, kiedy im pies  
wpadnie w tylko co ustawione kręgle. Już, z wro-  
dzoną sobie delikatnością, miałem wynosić się i nieść  
swoje dumania o chłodnikach i żywych klejnotach  
gdzieindziej, kiedy młody oficer, jeszcze raz spoj-  
rzawszy na mnie, zjadliwiej niż kiedykolwiek, bur-  
knął półgłosem :

— A to psia krew Anglik!... Mało mu miejsca  
na statku!

— Przepraszam pana — podchwyciłem, powsta-  
jąc. — W trzech słowach dwa razy pan się omylił;  
wcale nie psia, ani też angielska krew, lecz naj-  
czystsza polska... Bolesław Dożyński jestem... i za-  
raz wynoszę się — dodałem, wyciągając do niego  
rękę z przyjaznym uśmiechem.

Lekki rumieniec pokrył młodą, przystojną twarz  
oficera, zerwał się z za stolika i skwapliwie uściśnął  
moją dłoń, a w ciemno-błękitnych oczach jego ra-  
dość zabłysła.

— Zapominam — rzekł — że teraz, nawet po pol-  
sku, nawet na Śródziemnem morzu, nie należy



głośno wyrażać niezadowolenia, kiedy kto przeszkodzi mi pisać w rodzinnej mowie... Jestem Jan Dorski...

— Pewnie do kraju pan pisał?... Niech pan kończy... bardzo proszę. Odłożę na później przyjemność zabrania bliższej znajomości z panem...

— Oo... nic nie nagli! Nie jest to list żaden. Rzadko pisuję, a jeszcze rzadziej odbieram listy... stamtąd — po twarzy jego przeleciał lekki cień tęsknoty, dłonią przeciągnął po białem czole, jakby odciętem od reszty twarzy opalanej przez morskie wiatry. — Przeszkodził mi pan pisać dziennik, na który tracę wolne chwile od służby pozostające, aby nie zapomnieć po polsku, bo czy uwierzy pan, że często łowię siebie na myśleniu po francuzku, czasem po angielsku, lub rosyjsku... ale, skoro teraz mogę z panem wziąć lekcję za pomocą żywego słowa...

— To jeżeli ochota po temu służy, będzie pan mógł całą wprawę w rodzinnej mowie odzyskać, bo słuchacza ma pan we mnie, który chętnie posłucha bardzo zapewne ciekawych wypadków jego życia... Polak, marynarz... na francuzkim okręcie... to zjawisko nie codzienne...

— Zapewne... tysięcy nas takich niema... nawet setek, ale o, widzi pan... zdarzają się. Ludy nadmorskie, dla których morze jest wskazaniem przez naturę rzeczy polem działalności, zwykle jedynem źródłem zarobkowania, częstokroć nie lubią go. Po-

był na niem uważają za nudną, a nieraz niebezpieczną i niezdolną pańszczyzną życiową. To bywa w każdym zawodzie, naprzykład szewc, nie lubi słuchać o kopycie i dratwie, kowal o młocie i kowadle... ja myślę!... Mają ich dość. Ale, proszę pana, polak, który puszcza się na morze, musi w tym celu nie jedną przeszkodę zwalczyć, nie jedną silną, a nawet drogą nic życiową zerwać... To już powołanie... nie przewyciężone. Taki... to kochanek tej olbrzymiej syreny o wiecznie sfalowanym łonie, o zielonej szacie srebrną nicią piany przetykanej, o bezdennem spojrzeniu zimnych, a czarujących jednak oczu... Skąd się w nas te powołania niekiedy biorą?... Trudno odgadnąć... może to jakiś prastary atawizm zrodzony setki tysięcy lat temu, kiedy nasi przodkowie nie byli jeszcze ani żołnierzami, ani rolnikami, a może jeszcze dawniejszy atawizm z rozwoju przyrody zaczerpnięty...

— Widzę, że gruntownie pan swój zawód traktuje i nie bez poezji. Ma pan zupełną rację. Mojem zdaniem, człowiek powinien zawsze nosić gdzieś, w głębi duszy, choć odrobinę poezji... to życie upiększa. Ma pan we mnie kolegę. Ja także kocham morze, lubię, kiedy mię ono kołysze swym olbrzymim oddechem. Bo i proszę powiedzieć... gdzie młodość znaleźć może więcej silnych wrażeń, uzbierać więcej wspomnień, które, potem, wewnętrzne nasze życie opromienią, nareszcie, napotkać tyle różnorodnych wydarzeń, jak w żeglarskim życiu?

W naszym narodzie pan i ja należymy do rzadkich wyjątków, to też, nie uwierzy pan, jak rad jestem, żeśmy się spotkali... można powiedzieć, iż znaleźliśmy się jak dwa ziarenka w korcu.

— Przyznam się panu, że jednak tęsknię nieraz do kraju, do drogich istot, com tam zostawił, a które zapewne, słuchając w jesienne noce wycia wichru, drżą na myśl, że ich Jaś, w tę noc ponurą, gdzieś, na niezmiernych przestworzach rozszalałych wód, walczy ostatkiem sił z wichurą... o życie... Ale panie! Ja tu żyję pełnią życia... Po walce z żywiołami, podczas której, śmierć nieraz z blizka w oczy zagląda, nadchodzą chwile rozejmu i morska przyroda ma słodkie uśmiechy, ma łagodne pieszczoty... kołysze leciuchno, jak matka kolebką... Ja wówczas, patrząc na dalekie, chwiejne, mgliste widnokregi, tonę marzeniem w ich nieskończonem objęciu i przeżywam dziwne, urocze chwile... żyję potężnem, żywiołowem życiem natury, złożonem z miliardów istnień... Po tygodniach takich marzeń, nasiąknięty prądami przyrody, odrodzony w tej duchowej kąpieli, budzę się w nowym, nieznanym często kraju... nowe wrażenia rozbudzonej ciekawości... chęci wiedzy. Koledzy, w takich chwilach, lubią zabawić się... młodość ma swoje potrzeby, a nawet prawa... Wtedy, wyczerpujemy czarę zmysłowych uciech, żądza których, zaostzona trudami ciała i marzeniami duszy, czystem, słonem powietrzem mórz i oceanów, a twardem życiem okrętowem, wybucha z nas z nie-

pohamowaną siłą. Bywa, rzadko wprawdzie, ale zdarza się, że serce zadrza prawdziwym uczuciem... Panie, jakie to świeże i miłe wspomnienia uwozi się wtedy na morze... na całe miesiące. Kiedyin-dziej, inne wrażenia... jaki to gromadzi się w pa-mięci niewyczerpany zbiór rozpamiętywań o krót-kich, przelotnych, miłostkach... Jak motyle, zbieramy samą słodycz tylko, bo odbicie od brzegu, w samą porę, przerywa zaklęcia i przysięgi... w samą porę, bo jeszcze przed przesytem, przed skosztowaniem goryczy, która na dnie wszystkich kwiatowych kie-lichów drzemie...

— Oto to, właśnie, kochany panie, — przerwa-łem — ja także łaknę podobnych wrażeń... Tu ma-rzenie... wielkie widowiska przyrody w jej najbar-dziej surowej postaci... tam zabawa, rozkosze... zbieranie tej słodyczy, o której pan tak dobrze mówi... z kielichów kwiatowych, białych... czarnych... żółtych! Ba! Choćby i piernikowej barwy... To mi życie!..

— A jakie nieraz wyborne wypadki zdarzają się, szczególnie, jeżeli zbierze się dobrane gronko pasażerek... Powiadam panu, że tu, w tym dzien-niku, mam mnóstwo wybornych scenek spisanych... Tylko cóż? Pisać nie umiem... materyał jest, ale surowy...

— Panie kochany, już widzę, że my z panem poprostu bracia rodzeni jesteśmy... Jakże bym chciał coś więcej o panu dowiedzieć się... a choćby i o tych przyjemnych wypadkach jego życia...



— Kiedyż, bo, panie łaskawy, opowiadam jeszcze gorzej, niż piszę...

W tem, dzwon okrętowy przerwał jednostajny szum i drganie potężnych śrub, które pchały „Le Rapide“ naprzód, zmuszając go pruć błękitne wody Śródziemnego morza z szybkością dwudziestu węzłów na godzinę.

— Mon heure de quart! — zawołał Domorski, zapominając, że z rodakiem mówi. — Do widzenia panu...

— Chwileczkę tylko! Skoro pan odchodzi, rzucając mię na pastwę nudów, lub wista, bo najmniejszego kwiatowego kieliszka niema tu, u was, teraz, możeby mi pan zostawił na swoje miejsce ten dziennik... Nie uwierzy pan, jak wdzięczny będę.

Oficer zamyślił się chwilę. Znowu rumieniec oblał jego opaloną cerę, wyraz zakłopotania rozlał się po jego pięknej twarzy o lekko wygiętym, orlim nosie. Nacisnął czapeczkę ze złotym galonem na płowe włosy, zaczął prędko przerzucać karty dziennika, wyjął z niego kilka kart z samego początku i jeszcze kilka ze środka i, z miłym uśmiechem na pełnych, rumianych wargach, nieśmiało podał mi je, mówiąc pośpiesznie:

— Śpieszno mi, bo na tych pasażerskich statkach ze służbą nie żartują. Jeżeli pan chce wyśmiać biednego żeglarza, przygodnego literata... to proszę. Wybrałem to, co sędzę, że najbardziej pana zajmie.



Zaspokoi choć w części ciekawość pańską obudzoną widokiem ziomka - marynarza i da panu pojęcie o zdarzeniach, w jakie obfituje nasze barwne życie... zdarzeniach, jak widzę, w pańskim guście. Do widzenia, wszak płyniemy razem aż do Aleksandrji, gdzie pan opuści nasz pokład... ja popłynę dalej, do Bombaj i Kalkuty... do kwiatów piernikowej barwy... Salut!... A niech pan tylko nie zapomina, że nie jestem Loti!

Odszedł śpiesznym krokiem, trochę kołyszącym się na boki, krokiem marynarza z zawodu, zwijając resztę swego rękopisu... Wspaniały chłopak ten Dommorski! Usiadłem znowu w fotelu na biegunach... lubię takie... obejrzałem widnokrąg, zwyczajem człowieka, co dużo żegluje, ujrzałem słońce chylące się już nad Iberyjskim półwyspem, którego brzegi słabo majaczyły jeszcze w oddali, zadzwoniłem na garsona, kazałem sobie podać mazagranu, pomyślawszy, że ten, na francuzkim okręcie, będzie lepszy od angielskiego scherry - gobleru, zapaliłem starannie cygaro i rozłożyłem na stoliku rękopis młodego, a dziwnego ziomka.

\* \* \*

15 maj 188... na pokładzie „Zaporożca“. Archipelag Grecki.

Wczoraj, kapitan Łaptin zawezwał mię i objawił, że zarząd Towarzystwa żeglugi w Taganrogu awansuje mnie i przyjmuje na młodszego okrętowego

oficera, w nagrodę za postępy w sztuce marynarskiej i z powodu dobrze złożonego egzaminu, podczas ostatniej bytności „Zaporożca“ w Taganrogu.

Rad jestem niezmiernie, bo cztery lata służby, z początku, jako chłopiec okrętowy, potem, jako majtek, a następnie w randze bocmana \*), dobrze mi się dały we znaki. Ile mam blizn na rękach i nogach od wspinania się po linach, ile razy miałem odgniezione stopy przez ogniwa łańcuchów od kotwic, jak często postronek od lagu \*\*), nagle przemnie wstrzymany, kiedy majtek trzymający klepsydrę krzyknął: „stop“, zdarł mi skórę z dłoni, Bogu tylko wiadomo i drugiemu oficerowi okrętowemu, Piotrowi Iwanowiczowi Gulenko, który, zawiadując apteką okrętową, leczył mię... jak? Niech mu Bóg nie pamięta!... No, ale skończyło się to wszystko! Dobilem się swojego i mogę, prawie również słusznie, jak wielki Stefan Czarniecki, powiedzieć, żem: nie z soli, ani z roli, tylko z tego, co mię boli.

Dzisiaj, przenoszę się z ciemnego i ciasnego, a nie pachnącego, kubryku majtków do pięknej kajuty, na pokładzie, po drugiej stronie okrętu, na przeciwko kapitańskiej. Teraz, będę miał więcej czasu i wygody do spisywania dziennika, niż tam, w kajucie majtków, gdzie, zanim zostałem bocmanem,

---

\*) Starszy majtek, coś w rodzaju wachmistrza w kawalerji.

\*\*\*) Przyrząd do mierzenia szybkości okrętu.

śmiano się z moich literackich upodobań, a to tembardziej, że, ilekroć koledzy nastawali, abym im przeczytał, to, co tak pracowicie spisuję, żaden z nich zrozumieć nie mógł, bo ja pisałem po polsku, a oni rozumieli tylko po rusińsku, gdyż byli przeważnie urodzeni na wybrzeżu morza Czarnego. W ciągu półtora roku służby jako bocman, miałem już więcej spokoju. Oo... bo to personat dla majtków, bocman... mówią oni: Bóg na niebie daleko, kapitan na mostku wysoko, a bocman ciągle człowiekowi na karku siedzi.

Dzisiaj, taka mię radość dławi i znajduję, że tak niewygodnie pisać, po raz ostatni, pod okrągłem, zaśrubowanem okienkiem małej bocmańskiej kajuty, że składam dziennik i już w oficerskiej kajucie pisać w nim znowu zacznę.

25 maj. Śródziemne morze, na trawersie Sardyńii.

Tak byłem zaprzątnięty moją nową służbą, chociaż łatwiejsza ona jest od bocmańskiej, tak ściśle odbywałem swoje warty, zarówno dzienne. jak nocne, nawet, tak zwaną, psią wartę, od północy do czwartej rano, tak starannie i szczegółowo spisywałem okrętowy dziennik, że nie miałem czasu zajrzeć do swego osobistego dziennika. Z jakąż ja radością, wpisawszy w ogromną okrętową księgę całą historję mojej pierwszej warty, jako oficer, podpisałem tam moje nazwisko, jakimi pięknymi wykrętami otoczyłem je. Cóż to się ze mną działo, kiedy, po raz

pierwszy w życiu, po burzy, która nas przetrzepała po okrążeniu przylądka Matapan, stanąłem na mostku okrętowym i, biorąc sekstanem wysokość słońca, stuknąłem nogą, dając sygnał siedzącemu nad chronometrem, w kajucie kapitana, Gulence, aby ściśle zaznaczył czas obserwacji. Tak byłem wzruszony, tak ręka moja drżała, że po skończonych obrachunkach, kiedy przełożyliśmy linie na mapie, określając szerokość i długość geograficzne naszego położenia, to punkt ich przecięcia wypadł tak, iż płyniemy po piaskach Sahary, dobrze na południe od Tunisu. Kajuta moja śliczna, wygodna i obszerna. Czasu mam mnóstwo, to też postanawiam doprowadzić mój dziennik do porządku i wypełnić w nim wielkie luki. Główną zaś jest, że w początku jego, nic nie wspomniałem, jakim sposobem dostałem się na pokład „Zaporożca“. To tak wygląda, jakbym tu spadł z nieba, lub, przewalającą się przez pokład falą, wyrzucony nań został. Muszę koniecznie ten błąd naprawić, bo inaczej, jak mówią francuzi, mój dziennik nie będzie miał ani ogona, ani głowy.

28 maj. Śródziemne morze.

Pogoda wspaniała. Lekki wiatr NNO. Białe, wachlarzowate chmurki lecą po głębokim błękitcie nieba, jak łodzie o wzdętych żaglach — po spokojnym morzu. Niebo, niby zwierciadło ziemi, odbija to, co się tu dzieje na powierzchni morza, po którym także płyną, wywabione pogodą i pomyślnym wiatrem, żaglowe statki, wzdymając swoje duże,



białe skrzydła. Wszystko białe i błękitne. Woda i niebo błękitne, żagle i srebrna piana u wierzchu małych fal, co gonią spokojnie jedna za drugą — białe. Tylko nasz „Zaporożec“ rzuca w te błękity czarne kłęby węglowego dymu i leci, jak smok legendarny, z szybkością piętnastu węzłów na godzinę... Masz tobie, wpadam w styl okrętowego dziennika. Odznaczyłem kierunek wiatru, stan nieba i wody, szybkość statku, brakło jeszcze, żebym wspomniał o wysokości wody na dnie okrętu... Szanowna to księga ten okrętowy dziennik, styl jego piękny, tylko trochę suchy, poetyczne zwroty i porównania nie są dozwolone, a i mnie nie tego udają się... Ot, lepiej spełnię moje postanowienie, sięgnę pamięcią w przeszłość i napiszę nareszcie coś o tem, jak też ja na tego „Zaporożca“ trafiłem.

Ojciec mój był właścicielem rodzowego majątku. Czumaczki. Odumarł mnie, kiedym miał lat dziesięć. Dopóki żył, rodzina nasza, złożona z rodziców i nas dwojga, mnie i siostry Maryni, pędziła życie zamężnych ziemian. Zaraz po jego śmierci, zaszły wypadki, które widocznie bardzo utrudniły gospodarstwo wiejskie, bo pamiętam, niby przez sen, jak matka często uskarżała się, że ręce jej opadają i rady nieda. Opiekun, daleki mój wuj, stękał i powtarzał to samo. Mój nauczyciel, pan Storkiewicz, opuścił nas jeszcze przed śmiercią ojca, pamiętam jak mówił, że musi zamienić linie, którą mię karci, na szablę. Teraz, z kolei, odszedł od nas drugi mentor, francuz,



bo już nie bardzo było czem go opłacać. Za nim poszła nauczycielka Maryni, szwajcarka. Mnie oddano do miasta, na kwaterę, gdzie student uniwersytetu, którego znałem tylko z imienia, jako pana Karola, przygotował mnie do miejscowego gimnazjum, gdzie kształciłem się od dwunastego roku życia do szesnastego. Przez ten czas, starsza odemnie Marynia wyszła za mąż, za początkującego lekarza i matka przy nich zamieszkała. Interesy nasze właśnie wtedy doszły do ostatecznego kryzysu. Czumaczki już dawno były sprzedane. Gotówka w niewprawnych do zarządu nią rękach matki, rozpełzła się. Mąż Maryni zarabiał mało. Nie było czem nawet opłacać wpisu szkolnego za mnie, ani też z czego łożyć na moje umundurowanie i na książki. Matka, przed końcem wakacji, kiedy miałem do szóstej klasy wstąpić, płacząc, oświadczyła mi, że muszę zarabiać na swoje utrzymanie i obmyśleć sobie jaki zawód, któryby mógł mię natychmiast wyżywić. Wuj opiekun, który także zupełnie podupadł majątkowo i, zestarzały, może najnieszczęśliwszy z nas, bo nie mógł żadną miarą zapomnieć lepszej przeszłości, z którą żył się, sprzeciwiał się przerwaniu moich nauk i na razie, z ostatka, dopomógł, płacąc wpis szkolny za mnie. Rzuciłem się do korepetycji i w ten sposób, z wielką biedą, dojechałem do połowy szkolnego roku, poczem urwały mi się korepetycje i musiałem szkołę porzucić.

Wuj doradzał tradycyjną pracę na roli, w tych warunkach, oczywiście – na cudzej roli. Miałem być

przez niewiadomy przeciąg lat popychadłem rządów, ekonomów i pisarzy prowentowych, aby kiedyś... tam... objąć posadę ekonoma o dwustu, lub trzystu rublach pensji, z chatą na mieszkanie w jakimś folwarku zbudowanym w szczerym stepie.

Szczególnym trafem, będąc wnukiem i prawnukiem rolników, nie miałem popędu do roli, a może, nie tyle powołania zabrakło, bo lubię przyrodę we wszystkich jej przejawach, jak przestraszyła mnie jednostajność i szarzyzna takiego życia. Wątpię, aby grały we mnie dziedziczne skłonności do zbytku, lub też wspomnienia lepszego bytu, bo nigdy potem, wzięwszy się za najcięższy może zawód, jaki jest na świecie, nie spostrzegłem ich w sobie. Materialnie biorąc, nie wiele od życia wymagałem, byłem zdrowy, silny, pracy ręcznej nie bałem się, anim się jej wstydził, pomimo wyższości mego wykształcenia, w porównaniu do towarzyszy majtków. Głód mój byle co nasyciło, mogłem, zawinięty w smolny płaszcz marynarski, winseradą zwany, spać na mokrym pokładzie, lub na twardych zwojach lin. Potrzebowałem tylko ruchu, zmiany, szerszych widnokręgów, zadowolenia jakiegoś instynktu, który mię parł dalej, wyżej, choćby po najcięższej drodze.

Sądzę, że mój ojciec i nauczyciel Storkiewicz, rozwijając we mnie ciekawość do wiedzy, wpłynęli na to usposobienie i obudzili ten niepokój ducha. Niezmiernie pragnąłem poznać dalekie kraje, nieznanne, ich mieszkańców, zwierzęta, rośliny, a już

morza i oceany, to śniły mi się nocami. Walka z żywiołami, w której człowiek sili się pokonywać przyrodę i tak często zwycięża, miała dla mnie niewymowny urok. W młodzieńczych marzeniach, sama śmierć, wśród rozwścieczonych fal, wydawała mi się piękną, poetyczną i stokroć pożądańszą od cichego, szarego życia w tak zwanej na Ukrainie ekonomii, w ciężkiej, codziennej zależności od chlebobodawców, którzyby mi tak mało tego chleba dawali, bez żadnej nadziei wyzwolenia się z niej kiedykolwiek. W owym czasie, wszystko, co żyło w naszym kraju i starzy i młodzi, zarzucając wszelkie inne zawody, do których dostęp był nie tylko utrudniony, ale wprost niemożliwy, rzucili się do roli; podaż pracy na tem polu była dużo większa, niż zapotrzebowanie, co nadzieje na przyszłość redukowało do zera. Pociągnięty zatem i powołaniem i pewnem wyrozumowaniem, postanowiłem poświęcić się żeglarstwu. Ciężby i ciasnoty już wtedy nie lubiłem.

Wstęp, do której z bardzo nielicznych szkół żeglarstwa w Rosyi, był, dla chłopców niepochodzących z rodzin temu zawodowi dziedzicznie oddanych, bardzo utrudniony, a dla mnie niemożliwy, z powodu zupełnego braku środków. Nie było innej rady, jak, z bardzo szczupłą zaopatrzoną podróżną kasą, puścić się do którego z miast portowych nad Czarnem morzem i tam, wprost na okrętach, szukać jednocześnie zarobku i wykształcenia w zawodzie.

Matka, siostra i wuj, wszelakimi sposobami, starali się odwieść mię od tego zamiaru, nazywali go warjackim pomysłem, narażeniem się na niechybne kalectwo, lub śmierć, lecz, ani perswazje wuja, ani łzy matki i prośby siostry, nic nie mogło przemódz mojego postanowienia. Opuszczenie rodziny w tak trudnem położeniu i rozstanie się z nią na długie lata, może na całe życie, bolały mię niezmiernie. Wszystko, co wiązało mą duszę z niemi i z przeszłością, rwało się, sprawiając smutek i tęsknotę, lecz parła mię jakaś wewnętrzna, niepokonana siła, wyobrażenia tęczowemi barwami malowała przedemną czarujące widoki przyszłości nieuchwytnie, a ponętne, jak powiewne miraże pustyni... bo przecież życie w rodzinnym kraju, w tych warunkach, przedstawiało mi się, jak szara, jałowa pustynia... Bieda wytrącała mię z dawnych stosunków i otoczenia. Nieszczęścia, przez które kraj świeżo był przeszedł, napoiły serca egoizmem i troską o własny byt. Ci zaś, którzy mniej ucierpieli, ulegając wszędzie jeszcze panującym urokom stanowiska i fortuny, mieli siebie za jakieś niezdobyte twierdze, któremi sam Bóg opiekuje się i odwracali się od podupadłych, traktując ich z góry i protekcyjnalnie. Każdy coś doradzał, według swego widzimisię powziętego w ciągu kilkuminutowej rozmowy, nie wchodząc oczywiście, ani w położenie moje, ani, mając pojęcie o tem, co się w duszy mej działo. Podać jednak pomocną rękę, skutecznie zaradzić, nikt nie myślał,



ja zaś nie znosiłem tonu lekceważenia i protekcji... na słowach. Coś we mnie głośno wołało: idź w świat, nie oglądaj się na pomoc ludzi, sam sobie daj radę w życiu, tego wymaga godność człowieka! A jakiś zmysł praktyczny, który nie wiedzieć skąd się we mnie wziął, dodawał: zresztą, to jedyna droga, wyboru nie masz, bo wszak widzisz, że każdy tylko o sobie myśli, sobie tylko rad dopomóż...

Ale oto już szósta po południu wybija zapewne na zegarze w kajut-kompani\*), bo słyszę już świstek zwiastujący zmianę warty. Jak nie widać zapuka do drzwi mojej kajuty nowy bocmann, który mnie zastąpił, rusin z pod Chersonu, Bijanica, którego nazwisko przekręcamy, zmieniając B na P, co mu się zresztą słusznie należy, bo, choć tęgi majtek, do butelki jednak, przy sposobności, nigdy nie zaniedba zajrzeć... Otóż jest i woła:

— Pożalujcie na wachtu, Iwan-Iwanowicz!

2 Czerwiec.

Po wspaniałej pogodzie, mieliśmy wiatr SW... po marynarSKU — mistral, jak go na półbrzeżach Śródziemnego morza nazywają. Że jednak, o tej porze roku, nie bywa on zbyt gwałtowny, skończyło się zatem na lekkim bujaniu po spienionych falach, których zwykły błękit przeszedł w granatową barwę... i dobrze! Nie lubię, kiedy morze wygląda, jak rozlana oliwa, lub jak, tafla szklana. Żywiół zajmujący dwie trzecie powierzchni globu, to wielki

\*) Ogólna kajuta służąca za jadalnię i rodzaj bawialni.

pan, ma prawo pokazywać swoją fantazję i oburknąć się przeciw pigmejom, którzy, wbrew przeznaczeniu swojemu, zamiast pełzać po rodzinnej „podłodze krów“, jak francuscy marynarze nazywają ład, chcą bujać po jego przestworzach...

Po tej marynarsko-poetycznej uwadze, przystępuję do moich dawnych dziejów... Po burzy – pogoda... po małych początkach – świetne losy! To pisze oficer okrętowy, który swoje nazwisko podpisuje w okrętowej księdze!... Bagatela!

Trafiłem do Sebastopola, dlaczego tam, a nie gdzieindziej, długo by o tem pisać było, a czasu mam niewiele, bo zbliża się północ, a z nią psia warta dla mnie, aż do czwartej rano, tembardziej, że to niema nic do rzeczy.

Po długim tułaniu się nad brzegiem jużnoy бухty \*), kiedy już widziałem dno mojej sakiewki, po licznych zawodach, gdy na każdym żaglowcu, gdzie ofiarowywałem swoje usługi, śmiano się z mojego paniczynskiego wyglądu, doszedłem do przekonania, że trzeba na to jakoś poradzić. U greka tandeciarza zbyłem swoje graty, które, chociaż w kraju wzbudzały miłosierne spojrzenia, tu wydawały się jeszcze, jako paryskie modele garderoby. Za otrzymane z tej finansowej operacji fundusze, kupiłem starą winseradę i sudwestkę \*\*), grube, juchtowe

---

\*) Południowej zatoki.

\*\*\*) Płaszcz nibyto nieprzemakalny i z tegoż materiału czapka z dużym daszkiem spadającym w tył na kark.

trzewiki i spodnie szerokie z czortowej kożi\*), w tym stroju poszedłem w ustronne miejsce, nad zatoką, i na suchej, spalonej trawie porastającej kamienisty brzeg, zmoczywszy twarz i ręce morską wodą, położyłem się na słońcu, w celu, aby te części mojego ciała nabrały stosownej do miejscowej mody barwy. Zwilżanie wodą powtarzałem często. Pożywienie moje nie było takiego rodzaju, abym utył, pomimo próżniaczego życia, jakie w ten sposób pędziłem, w ciągu dni kilku.

Nareszcie, przekonawszy się, patrząc w lustrzaną tafłę wody zatoki, że kolor twarzy i rąk jest dostatecznie czerwony i niczem nie ustępuje panującej na wybrzeżu barwie innych ludzkich twarzy, osmoliłem jeszcze miejscami tę szlachetną część ciała, ręce odrapałem, aż do krwi, i, wypiwszy kieliszek wódki w pierwszej napotkanej szynkowni, aby nie tylko wyglądem, lecz i wonią także przypominać morskiego wilka, który chwilowo, z braku zajęcia, tuła się po niegodnym jego stóp lądzie, puściłem się na nowe poszukiwania.

Tym razem powiodło mi się nadspodzianie. Podchodząc do pierwszego z brzegu statku żaglowego, który, pochylonym naprzód przednim masztem swoim, sięgał daleko na ląd, spostrzegłem, u deski służącej za wejście na pokład, poważnego żeglarza bardzo śniadego. Odziany był w czarny garnitur,

---

\*) Gruby bawełniany materiał o szczególnym a przykrym zapachu.

na kamizelce rozkładał swoje ogniwa duży, płaski łańcuch od zegarka, w uchu srebrny kolczyk chwiał się, na palcu, grubym i prawie czarnym, połyskiwał takż duży pierścień. Byłto mój pierwszy kapitan i zarazem właściciel pierwszego statku, na którym pływałem, nazywał się Nicefor Papulos, a łupina jego — „Eudoksja“. Oboje, chociaż greckiego pochodzenia, pływali pod rosyjską flagą, zajmując się przybrzeżnym kabotażem\*) na Czarnem morzu i Archipelagu greckim.

Na wiarę mojego wyglądu zostałem przyjęty bez bliżej określonych czynności, a to z powodu, że pobieżny egzamin z nawigacji, jaki musiałem przed komendantem „Eudoksji“ złożyć, wypadł niżej wszelkiej krytyki. Wszystko to przepowiadało, że zostanę chłopcem okrętowym, to jest, będę spełniał wszelkie dane mi polecenia, zarówno dotyczące czyszczenia butów, pomocy przy kuchni, jakoteż i obserwacji żeglarskiej natury z bocianiego gniazda, blisko szczytu masztu. Miałem pobierać trzy ruble miesięcznie i wikt.

Zniosłem na „Eudoksję“ swój szczuplutki bagaż, którego najcenniejszą częścią były dwie grube księgi, o nierozciętych jeszcze kartach, bo świeżo nabyte. Jedna z nich była „Nawigacja“, a druga — „Astronomja żeglarska“, obie wydane na użytek szturmańskich szkół, w rosyjskim języku.

Popłynęliśmy. Nareszcie, bujałem po falach wymarzonego morza. Znajomość z niem i pierwsze kroki

---

\*) Pływanie przy brzegach w celach handlowych.



wtajemniczenia w jego piękności nie były zbyt przyjemne. Wparę godzin po odbiciu od brzegu, skoro tylko lekko sfalowane morze zaczęło niemiłosiernie kołysać małą „Eudoksję“, spłaciłem swój dług temu anormalnemu dla ludzkiej istoty położeniu; uczułem gwałtowny, lecz wprawdzie krótki, a szczęściem pierwszy i ostatni, paroksyzm morskiej choroby, co, oczywiście, nie polepszyło i nie podniosło mego stanowiska wśród załogi złożonej przeważnie z greków urodzonych na morzu, pośród których, na siedmiu ludzi załogi, licząc w to kapitana, było dwóch rusinów. Jednym z nich był Bijanica.

Przekonałem się także, iż życie pomiędzy niebem a wodą nie wpływa bynajmniej na rozwój w charakterze towarzyskości i delikatności w obejściu. Byłem wprawdzie zbyt sporym chłopcem, aby stosowano do mnie powróż pokryty węzłami w całej rozciągłości jego obyczajowego działania, lecz szturchańców i grzecznych słówek nie szczędzono mi. Jeden Bijanica, z którym rozmawiałem w jego rodzinnej mowie, miał mię za ziomka. a, że był chłop ambitny i, marząc o krescytywie, szanował wiedzę, zaimponowały mu moje księgi. Z tych dwóch powodów uczułem do mnie sympatję i pewien szacunek.

Zacząłem się dla mnie życie dziwne. Wychowany w dostatkach, przyzwyczajony do wykwintnego obejścia się, do pracy umysłowej, znalazłem się nagle, w otoczeniu ludzi grubych, nieokrzęsanych, znających tylko zmysłowe uciechy życia, lub ciężką, bydlęcą prawie

pracę. Niewciągnięty do niej, słabszy fizycznie, nie byłem nawet na równi z nimi — lecz niżej. Brak sił i umiejętności w zawodowej pracy musiałem wynagradzać mnóstwem różnych posług upokarzających, w oczach moich panów i władców, którymi byli wszyscy ludzie załogi. Wolne chwile poświęcałem nauce. Książki moje nie próżnowały i ja przy nich. Czasami tylko, z rzadka, w wyjątkowych chwilach, oddawałem się czarującemu obcowaniu sam na sam z morską przyrodą... marzenia moje leciały w jej przepaściste głębie.

W Archipelagu szczególnie, w łagodnym jego klimacie, nieraz wieczorami, kiedy okręt kołysał się poważnie, stojąc na kotwicy, u której z tych białych wysp, a załoga, z kapitanem na czele, odplynęła szalupą do miasteczka, którego białe domki pięły się po skale, siadywałem na przednim, pochylonym naprzód maszcie, jak na koniu, z nogami zwieszonymi i zamglonymi marzeniem oczyma patrzyłem na błądzący błękit wody zlewający się z widnokregiem perłowej barwy przeciętym w oddali zaróżowionymi zachodem zarysami wysp, a myśl błądziła chwiejna, nieuchwytna, w jakimś pół-śnie rozkosznym... Odbywałem straż. Były to jedyne radosne chwile mego ówczesnego życia. Ta moja ochota do pozostawiania na straży bardzo była dobrze widziana przez załogę. Kiedy indziej, takie chwile marzenia i rozmyślania źle widziane były. Ci ludzie nie pojmowali, jak można w ten sposób czas spędzać. Oni, albo pracowali, lub

też bawili się, a skoro tylko zdarzyła się chwila spokoju — to spali. Zdarzało się jednak, że instynkty i narowy szlacheckiego dziecka, wykształconego chłopaka, burzyły się i dotkliwie cierpiały we mnie, lecz, po krótkiej walce, hamowałem je, mówiąc sobie: sameś chciał, i przychodziło mi na myśl zasłyszane dawniej rusińskie przysłowie: jak ne pip, to ne ubirajsia w rzyz.\*)

Z biegiem czasu, zaczynałem czuć niezmierny tryumf wewnętrzny. Ja wzrastałem w siły i umiejętność, dorównywałem towarzyszom w pracy, a oni duchem i rozwojem umysłu do mnie nie dorastali, czułem, że zaczynam nad nimi górować. Duch poskramiał materję. Widziałem, jak coraz mniej z góry, a potem, nieśmiało już nawet spoglądali na mnie i zaczynali już moje polecenia spełniać. Buty, szczotki, miotły, obieranie bakłażanów\*\*) i temu podobne przedmioty i czynności, z wolna przechodziły do jednego z młodszych majtków, Mikołaja. Kapitan, spostrzegłszy moją uczoność, jak ją nazywał, zaczął mię przypuszczać do obcowania z sobą, uczył mię praktycznie rzemiosła żeglarskiego, powierzył mi piśmienną okrętową robotę, nad którą sam okrutnie pocił się. Czasami zasięgał mojej rady w sprawach handlowych i frachtu dotyczących, a jako największy dowód łaski, po sześciu miesiącach wiernej służby, podwoił mi

---

\*) Jeżeliś nie pop to nie ubieraj się w ornat.

\*\*) Rodzaj dużych ogórków rozpowszechnionych na pobrażach Czarnego morza i Archipelagu.

placę. Odtąd, otrzymałem sześć rubli miesięcznie. W ciągu roku, com spędził na pokładzie „Eudoksji“, przekonałem się, jak w prostych, nieokrzęsanych ludziach jest jednak dużo dobrego, przyrodzonego wiodocześnie naturze ludzkiej, bo i skądże by się ono mogło wziąć w duszach pozbawionych wszelkiej kultury, prostych i surowych, jak w pierwszym dniu stworzenia ludzkiego rodu.

Bijanica przywiązał się do mnie i ja do niego. Nie nazywał mię już Wańka, jak to z początku naszej znajomości robił, nasiąkłszy nieco rosyjskością w czarnomorskich portach, lecz mówił mi „panyczu“. Zaczęło się to, kiedy mu pewnego wieczoru tłumaczyłem stosunek węzłów na postronku lagu do mil morskich i stosunek, proporcjonalny do pierwszego, trzydziestu sekund potrzebnych na przesypanie się piasku z górnej części klepsydry, w dolną — do goziny. Zachwycony wykładem zawołał:

— Ta wy-że panycz, a ne matros! Wy ochfycerom, abo i kapytanom budete!

— Dobrej nocy mój dzienniku. Niech moje wrażenia spisane, jak mię stać na to, drzemią na twoich kartach, aż je wyczyta, która z tych dwóch drogich, co tam za mną tęsknią, a może i płaczą... a ja spać pójdę, bo zbliżamy się do Atlantyku i za kilka godzin pierwszą swoją wartę oficerską na oceanie obejmę... Ba!... Ocean, to nie Archipelag!... Tu nic różowego, ani perłowego niema. Fala olbrzymia, ciężka, niby ołów roztopiony i barwy ołowiu, często bura, z siwym,



lub fioletowym odbłaskiem. Statki-kolosalne po niej pływają... Otwieraj oczy i dobrze uważaj na ich ognie... na czerwony, pokazuj im swój czerwony, a jeżeli, pomimo to, widzisz zielone światło, to natychmiast sygnał sternikowi w lewo, i zieloną latarnią odpowiedz... a zawczasu, bo zderzenie byłoby śmiercią „Zaporożca“. A przecież jesteś oficerem na nim i, w czasie swojej warty, za jego bezpieczeństwo odpowiadasz.

### 3. Czerwiec.

Otóż i na oceanie jestem. Dziwnie łagodny on i dobrotliwy... dzisiaj... bo wyobrażam sobie, co się tu działo podczas burzy, która nami miotła kilka dni temu, na Śródziemnym morzu. Brzegi Hiszpanii, po prawej stronie, widać jeszcze, jak na dłoni...

Wracam myślą na pokład starej, pękatej „Eudoksji“ do małej, skromnej kajuty zacnego Papulosa, który zawsze i wszędzie zszachrował i skręcił, co mógł, okpił kogo się dało, lecz dla mnie miał ojcowskie serce, może dlatego, że nic do wydrwienia nie miałem. Pomimo wszystkich tych wad swoich, prawdą jest, iż był w gruncie dobrym człowiekiem.

Po roku służby na „Eudoksji“, kiedyśmy zawinęły do Taganrogu, Bijanica, pewnego poranku, mrugnął na mnie znacząco i rzekł:

— Panyczu, dowiedziałem się, że w Towarzystwie potrzebują matrosów na „Zaporożca“... Choć nasz grekos niezły sobie człeczyna, ale zawsze to, coś, jakby w rodzaju „nechresta“... a tam, dwadzieś-

cia rubli miesięcznie i, powiadają wikt... palce oblizywać... Pidemo na „Zaporożcia“ panyczu!

Nie szło mi o dwadzieścia rubli, tylko o to, że tam, mogłem mieć na widoku awans, którego u Papulosa nie było, bo sam właściciel łupiny, na której pływał, przybrzeżny żeglarz z ojca i dziada, musiał nią kierować osobiście, bez pomocy oficera... Tam zaś, w Towarzystwie, ogromne statki handlowe i pasażerskie. Z czasem, przy staraniu, da się złożyć egzamin na oficera, no i już droga otwarta do dowództwa statkiem. Parowce Towarzystwa płyną wszędzie i na Atlantyk, i do Indji, i do Chin... Nie mogę ja przecie całe życie tłuc się ze starym Papulosem po Czarnem i Azowskiem morzach, a na wypoczynek zaglądać do Archipelagu.

Papulos i ja upiliśmy się porządnie na pożegnanie. Bijanica urznął się z kretesem naszymi resztkami. Po pijanemu, Papulos bywał hojny. Obu nam dał po trzy ruble, jak mówił na pamiątkę, za uczciwą kompanję.

W kilka dni później, już byliśmy na pokładzie „Zaporożca“ dowodzonego przez kapitana Łaptina, ex-dowódcy fregaty, wojennej floty, który, z powodu jakichś wstrętów służbowych, musiał wyjść do dymisji i zaledwie rok spędziwszy na lądzie, zatęsknił za morzem i wstąpił do handlowej marynarki.

Podczas, kiedyśmy z Bijanicą zdejmowali liny, którymi „Zaporożec“, w porcie, był do brzegu umocowany, ujrzeliśmy, jak na rejdzie ciężko sunęła się

„Eudoksja“ ledwie popychana naprzód łatanemi żaglami. Papa Papulos płynął sobie spokojnie do Krymu, wioząc ładunek podolskiej kukurydzy. W godzinę później, „Zaporożec“ szybował do Konstantynopola całą siłą swojej potężnej maszyny.

No... teraz skończyłem z przeszłością. Dziennik mój w porządku, nikt nie powie, że niewiadomo, skąd ja na pokład „Zaporożca“ dostałem się... tak niby, jak oto ten gołąb, co w tej chwili siadł na reję i odpoczywa... ciekawym dokąd on leci z Hiszpanii... może aż do Ameryki... O! Już rusza... prosto na zachód. Bywaj zdrów! Szczęśliwej drogi, dzielny ptaszku! Odważnemu Bóg pomaga... doleczysz do celu!

Oto jesteśmy na trawersie przylądka S. Wincen-tego. Kapitan sygnalizuje do obserwatorjum, skąd pójdzie telegram do Londynu, do naszego agenta, że „Zaporożec“ przełynął już Gibraltar i całą siłą pary wiezie mu wełnę chersońską... A mniszki z klasztoru wznoszącego się na przylądku, także sygnalizują. Kapitan Łaptin żartuje z Piotra Iwanowicza Gulenki, że to któraś mniszeczka, za pomocą białej chustki, oznajmia, iż kapituluje przed jego zwycięzkiemi bakembardami i tłumaczy, że chętnie da się porwać, bo ją rodzina gwałtem do klasztoru zamknęła, żeby brat jej miał większą fortunę.

Gulenko nie jest wcale przystojny, mały, trochę kulawy i chuderlawy, poznaczony ospą, a bakembardy ma takie, jakby mu je kto umyślnie wyskubał, zostawiając tylko odosobnione kępy włosów.

Kapitan Lew Pawłowicz Łaptin, tęgi mężczyzna lat czterdziestu paru, o kobuzich rysach, z dużemi wąsami już nieco szpakowatemi, ma siebie za przystojnego i jest takim. Sam o sobie powiada:

— Mys batińka jeszcze damskij kawalier!

Zgasło mi cygaro, złożyłem dziennik na stole, zapaliłem nowe i, pociągnąwszy parę haustów magazanu, rozbijałem się na biegunach fotelu, myśląc:

— Szczególniejszy typ ten Jan Domorski... Nie inaczej... to nowożytny odblask dawnej energii polskiego szlachcica, która go pchała na dzikie pola, lub, aż hen, nad Białe morze... W nim kołacze się jakiś dawny zagończyk, lub lisowczyk... tylko... tempora mutantur. Tamci nic o Chinach i Indjach niewiedzieli, to też ciekawi byli czego innego i w inny sposób krescytywy szukali. Tamci szablą, łupem, a ten pracą, wytrwałością... Hm! Z tem wszystkiem należy życzyć, aby takich więcej było... Jesteśmy potomkami dawniej możnego, dziś podupadłego domu, musimy dobić się znowu fortuny... w dorobku jesteśmy, a właśnie tacy dorobić się mogą, nie tylko dla siebie, ale i dla narodu... Tak, tak! Więcej takich, to może jeszcze co i zrobimy na świecie. Nie tylko w domu pracować, jeden drugiemu grosze wyrywać.

---

\*) My, ojczulku, jeszcze jesteśmy damskim kawalerem.



Dziś, naród, który zanadto w domu siedzi i niema przyływu myśli, pojęć, ideałów, i bogactw z zewnątrz, musi coraz bardziej podupadać, kręcąc się w błędnem kole jednostronnych poglądów swoich, żyjąc z resztek zamożności przodków. Kochać tę prastarą, bliską sercu ojczyznę... tak! Ale zająć także miejsce w tej szerszej ojczyźnie świata, globu. Wszystkie narody rzuciły się teraz do tego... gdzieś, tam, jest i nasza scheda. W ten sposób prędzej dojdzie do tego, że zleją się one we wspólną, wielką ojczyznę rodu ludzkiego. Nasza myśl, nasza praca i nasz indywidualizm są tam potrzebne i rolę swoją odegrać muszą... Masz tobie, wpadłem w jakieś poważniejsze myśli, a zwykłem ich unikać... Ot, lepiej zobaczymy co ten zuch dalej pisze. Dużom już tłukł się po świecie, a takiego typu polaka jeszcze nie spotkałem... Hm! Mówił, odchodząc, że chce mi do gustu trafić, a zmiarkował, że ja lubię te kwiatki, o których wspomnieliśmy i wesołe z nimi awanturki... to może być coś smakowitego... Zobaczymy...

\* \* \*

12 Luty 188... na pokładzie „Zaporożca“ w Odeskim porcie.

Lew Pawłowicz Łaptin, ni stąd, ni z owąd, ożenił się. Damskij kawalier wpadł we własne sidła, oby mu to bokiem nie wylazło, a szkoda by było, dobry chłop... ale w czterdziestkę z dobrym czu-

bem żenić się, tego i damski kawaler może nie wytrzymać, a szczególnie taki, jak Lew Pawłowicz, co ma ze trzydzieści lat marynarskiej służby na plecach i to we flocie... takie lata liczą się podwójnie.

Wziął jakąś greczynkę, czy włoszkę, odeską. Podobno matka jej greczynka, ojciec włoch, a wychowała się w rosyjskim pensjonacie panien, przytem, już wdowa po ormianinie... to daje do myślenia... pokurcz skończony, ale ładna bestyjka. Niezbyt śniada, rumiana, włosy bardzo czarne, pulchna, oczy zabójcze i nazywa się Fedora... No, imię nie bardzo do niej pasuje... Fedora?... To jakoś tragicznie wygląda, sam nie wiem dla czego, ale tak mi się wydaje, a jej... prędzej operetka z oczu patrzy. Kapitan nie na żarty mnie polubił. Pomimo, że z Gulenką dawniej już pływają, nie chciał go za družbę, a mnie zaprosił, mówiąc:

— Nu, nasz Iwan Iwanowicz małodiec, przedstawitelny małyj! On podtrzyma honor „Zaporożca“. Gulenko dobry chłop, ale cóż? Kiedy małpa! Sawsiem už nie damskij kawalier!

Wesele, o ile złożyło się nagle i niespodzianie, nawet dla pana młodego, o tyle znów było huczne. Wino i inne trunki lały się strumieniami. Ku końcowi weselnej ucztę, śpiewano, jako wspomnienie floty, różne śpiewy okolicznościowe, w których ubolewano, że morze nie jest wódką wypełnione, bo wypitoby je i wtedy, byłoby morze co najwyżej po kolana.

Kapitanisko ani pokazuje się teraz na statek. Wciąż siedzi przy młodej żonie. Musi mieć ciężką służbę, a i nasza wskutek tego także trudniejsza. Ładujemy kukurydzę i pszenicę do Marsylii, a już najgorsza to rzecz ziarnem statek ładować, szczególnie bez worków. Kręcenia głową, co niemiara. Przegrody z kłód robić trzeba, żeby ziarno nie prze-walało się z boku na bok okrętu, co parę godzin sprawdzać pogrążenie przodu i tyłu parowca. Gulenko klnie, jak czart. Wydziwiał na rodziców, że marynarza z niego zrobili, dowodząc, że on, Piotr Iwanowicz, miał powołanie na hodowcę ptactwa, a szczególnie pragnąłby zająć się sztucznym inkubatorem jaj i hodowlą tak wyklutych kurcząt. Chwilami, wprost pieni się, złorzecząc kapitanowi i kapitanowej, a wtedy, ze złości zaplują cały pokład, bo deszcz wciąż leje, a dowodzi, że w taką pogodę, szanujący się marynarz inaczej tego nie robi. Bijanica, widząc to, wścieka się, ale po cichu, bo jako na bocmanie, na nim spoczywa troska o czystość okrętu, toteż, pomimo rusińskiego niechlujstwa, czystość pokładu jest dla niego rzeczą świętą i nietykalną. Nasz drugi oficer, Mieszajew, flegmatyczny tagan-rożec, jak go nazywamy, wielki astronom przed Neptunem, dumny z tego, że przedstawia wiedzę na pokładzie „Zaporożca“, wcale nie troszczy się o równowagę okrętu, uważając ładowanie towaru, jako niegodne dla siebie zajęcie, dla wprawy, po dziesięć razy na dzień, bierze sekstanem wysokość słońca

i robi, najniepotrzebniej, sążniste rachunki jakieś, podczas obiadu rozkłada przed talerzem tablice logarytmów, a w wolnych chwilach łże, jak najęty, utrzymując, że chcą go zwerbować z „Zaporożca“ do naukowej wyprawy, aby się zajął oceanografią, gdy tymczasem, w jego części okrętu, cieśla przegrody po cudacku robi, co wprawia Gulenkę w taki szal gniewu, że mechanik nasz, master Hopson, angiłk urodzony i wychowany na francuskich okrętach, zacierając ręce i, puszczając zęza z pod krzaczastych brwi, a rozczesując, w chwilę potem, gęste bakembardy, chodzi, kołyszając się, po pokładzie i mówi:

— Piotr Iwanowicz a son humeur vent debout \*)  
Ce vieux choux! Quel caniche? Nom d'une bergère!

Pasterkami nazywał master Hopson wszelkie niewiasty wogóle, a ten ich gatunek, który znał najlepiej, szczególnie, i zawsze na nie zaklinał się.

W tych troskach ładowania okrętu pocieszała nas wielka nowina. Chodziły po pokładzie „Zaporożca“ wieści, że piękna kapitanowa Fedora ma towarzyszyć mężowi do Marsylii, dla odbycia poślubnej podróży. Gotowaliśmy się na przyjęcie tego niezwykłego gościa odświeżeniem garderoby, oraz kupnem zapasów mydła i nawet perfum. Master Hopson, niewiedomo czemu, wylał w swojej kajucie całą flaszeczkę różanej esencji, której zapasy robił zawsze

---

\*) Marynarskie wyrażenie francuskie dosłownie: wiatr stojący. Oznacza wiatr wiejący wprost przeciw kierunkowi biegu okrętu.



w Konstantynopolu, a że kajuta jego była obok kajut-kompani, w tej ostatniej wytrzymać nie było można. Szczególnie podczas obiadu, lub śniadania, silny, przenikliwy zapach róży wprost jeść nikomu nie pozwalał, a że Hopson lubił zjeść gruntownie, sam już był niekontent z tego, co zrobił, i nawet raz, podczas obiadu, kiedy kapitana, jak teraz zwykle, nie było na okręcie, zrobił nam pół-zwierzenie.

— Po co ja u licha tak kajutę wyperfumowałem? Czy będzie co z tego, czy nie... a schudniemy wszyscy, do stu djabłów!

22. Luty.

Nareszcie, wielki dzień nadszedł. Cały sztab „Zaporożca“, w odświętnych strojach, zebrany u wejścia na okręt, przyjął piękną Fedorę. Hopson trzymał na półmisku bochenek chleba. Gulenko — na talerzu sól w ozdobnej solniczce, na ten cel składkowo zakupionej. Mieszajew stał ze wspinałym bukietem w rękę, także składkowym, ja zaś, nie trzymałem żadnego tradycyjnego daru przyjęcia, lecz dostąpiłem zaszczytu podania ręki pięknej żeglarce, kiedy schodziła po desce ze stopniami, na pokład okrętu. Po chwili jednak, musiałem oddać żonę kapitanowi, który, wystrojony w dawniejszy swój mundur marynarski, ze sztylcikiem wiszącym na rzemiennych rapciach, niby szabla, podał jej ramię z wojskową galanterją i poprowadził wprost na przygotowany już obiad.

Mówiono, że nasz restaurator, włosz Giacomo, za cały czas pobytu kapitanowej na statku, ma dostać, od Lwa Pawłowicza, dodatek do sumy płaconej mu za nasz stół przez zarząd Towarzystwa, w celu poprawienia jeszcze, i bez tego już, wykwintej i obfitej kuchni. Opowiadając o tem, Hopson straszno zeza puszczał i zacierał ręce, mówiąc do mnie:

— Sacré Sardanapal, ce capitaine! On va rigoler, jeune homme... de toutes façons... nom d'un chien! Car il paraît que...

Zdaje mi się, że Hopson przesadza wieści, jakie krążą o wesołości Fedory.

Zasiedliśmy do wspaniale nakrytego stołu w kajutkompani. Kapitanowa, ledwie zasiadła na przydzielonym fotelu, który dotąd zajmował kapitan, zaraz pociągnęła różowym noskiem w powietrzu, rozdęła ruchome nozdrza i zawołała:

— Jak tu u was Konstantynopolem pachnie? Różany olejek! Co to jest? W jadalni?

— To, Fedora Czeszarowna, tak z kajuty Hopsona zanosí, ot tu... obok — rzekł Gulenko, nieśmiało, lecz zjadliwie spoglądając na Hopsona.

— Hm... hm... rzeczywiście — bąknął zażenowany mechanik. — Może to i z mojej kajuty... ja bardzo lubię zapach róży, bo mnie tak samo, jak pani, przypomina on Konstantynopol, skąd mam tyle miłych wspomnień... Taak! Zupełnie przyjemnych...

— Rozumiem... rozumiem — odparła, obrzucając barczystego anglika powłóczystem spojrzeniem słodkich, okolonych ciemnymi obwódkami, oczu — Haremy... zakwefjone odaliski, w kajakach... i gdzie-indziej...

— Och! zakwefjone?... Niekoniecznie! — śmiejąc się na całe gardło, zawołał Lew Pawłowicz.

— Ale, wiecie panowie, — rzekła Fedora, krzywiąc pulchne, bardzo czerwone usta — że ten zapach róży nie koniecznie dobrze na apetyt służy...

— W każdym razie lepiej, niż zapach kamfory, który panuje w kajucie Piotra Iwanowicza, bo, vous savez madame, że on dowodzi, iż kamfora działa kojąco na jego temperament, który inaczej zbyt często wwdzi go na pokuszenie, nie tylko w Konstantynopolu, ale nawet tu, w Odesie...

— Hopson! — burknął kapitan, trącając łokciem pod bok siedzącego obok niego anglo-francuza i znacząco powiódł oczyma ku żonie, jakby mu chciał przypomnieć jej obecność.

— Prawda! Nom d'un ch... Nie! Nom d'une bergè... — urwał Hopson i nawet zdołał zarumienić się pod grubą warstwą skóry palonej na przemian, to ogniami kotłów, to znów słonym wiatrem morskim.

— Wy, sudarynia maja, — zwrócił się kapitan do żony — miłujcie i żałujcie naszych sasużiwcew\*)

---

\*) Dosłownie: współ-służących — znaczy: kolegów.

Gęby to u nich nie tego... ale dobre chłopcy! Pomieszkaś tu z nami, Fedorko, to zobaczysz... Jeden tu tylko Iwan Iwanowicz, choć iz niżnich czynow\*)... ale elegant, co się zowie... z tym obawy niema.. wychowany kawaler... rekamienduju... a jakże?... Re-kamiendujus!

Zakąski i jakaś sztuczna zupa były już zjedzone, kapitan więc ponalewał kieliszki po raz trzeci, a może i czwarty, jakąś wyborną wódką i zmusił wzbraniającą się żonę wypić przynajmniej pół kieliszka na znak, że będzie pobłażliwą na, nieprzyzwyczajone do rozmawiania z damami, gęby jego podwładnych.

W miarę, jak obiad, przekrapiany, to wódką, to różnemi gatunkami win, zbliżał się ku końcowi, początkowe skrępowanie oficerów „Zaporożca“ ustępowało humorom zastosowanym do zapachu róży, który zwyczajko unosił się w kajut-kompani, nie zagłuszony silnemi wyziewami alkoholu. Oczy pięknej Fedory błyszcząły, jak czarne djamenty, nic nie tracąc jednak ze swej słodyczy. Po ananasach, kawie i likierach, już wtórowała piosence zanuconej przez astronoma Mieszajewa, o morzu wódką, zamiast słoną wodą, wypełnionem i, wstając od stołu, zerknęła na mnie, a zwracając się niby do męża, zawołała:

— Takie morze, z wami panowie, wypiłabym, a wówczas, miałabym je tylko dotąd... do kolan!

\*\*) Z niższych rang.



I nagle, zaszumiały jedwabie, mignęły hafty, uniosła spódniczki, aż po wyżej kolan, pokazując przezroczyste pończoszki i czerwone kokardy podwiązek.

Ze względu na obyczaje panujące na „Zaporożcu“ i na humory biesiadników, czyn ten wydał się zupełnie correct, tak, że anglo-francuz, zezując lubieżnie-pijacko ku Fedorze, a raczej ku jej nóżkom, zawołał:

— All-right! Honni soit qui mal y pense! Nom d'une bérgerè!

Lew Pawłowicz, rozpromieniony obiadem i dodatkiem wrażeniem, jakie Fedora wywarła na załodze dowodzonego przez niego statku, wyprowadzając ją do swojej kajuty, aby ją w posiadanie objęła, odwrócił się do nas i, pół-głosem, chętnie rzekł:

— Wot żenszczina\*)! To moje uszanowanie! Żeby na taką trafić, to trzeba się ożenić, moi panowie! Ot co! — dodał moralizatorskim tonem.

Zdaje mi się, że ten rejs\*\*) będzie bardzo wesoły. To samo utrzymuje master Hopson.

26 luty. Konstantynopol, na wodach Złotego Rogu.

Morze było niegościnne dla Fedory, tak dalece, że nie wychodziła wcale z kapitańskiej kajuty. Zauważyliśmy, że natomiast, Lew Pawłowicz bardzo często z niej wychodzi i nie rad wraca, jest jakoś nie swój a, chodząc po mostku, nic do nikogo nie mówi, tylko pomrukuje:

---

\*) Ot, kobieta.

\*\*) Podróż statku od portu wyjazdu do portu przeznaczenia i z powrotem.

— Jednakże... jednakże... kobiety...

Mówi w liczbie mnogiej, bo ma ich aż dwie, licząc z pokojówką Fedory, hożą i tęgą mołdawanką, rudawą Maryną, do której Hopson smali obcesowe koperczaki, skazane na wieczny platonizm, jak utrzymuje Gulenko.

Kiedy przepływaliśmy na trawersie\*) Wężowych wysp, na Czarnem morzu, Lew Pawłowicz nie wytrzymał, podszedł do mnie, zdjął sudwestkę z głowy, zlał zebraną w fałdach jej daszka deszczową wodę, cisnął dopalające się cygareto ze złością i rzekł:

— Co się tam w kajucie dzieje!... No!...

— Lew Pawłowicz! — nagle zawołała, stojąca u dołu schodków na mostek wiodących, Maryna rozczochrana, blada, pokazując rozrosłe swe wdzięki z po za rozpiętej u szyi koszuli — Barynia\*\*) was prosi!

— Ot macie! Znowu! Ledwie wyszedł... do stu piorunów!... Czort pabieri sawsiem\*\*\*)! Leję w obie koniak wiadrami poprostu... nu, i na nic!... Doprawdy szkoda koniaku...

— A cóż myślicie, — mruknął zgryźliwie Gulenko — i pewnie, że szkoda. Czy dostaniemy takiego w Konstantynopolu. Te turki lichy wie co żłopią.

---

\*) Być na trawersie czegokolwiek znaczy: że linia drogi statku i linia przeprowadzona od danego przedmiotu do okrętu przecinają się pod kątem prostym.

\*\*) Pani.

\*\*\*) Niech dyabli wszystko wezmą.

W Bosforze, nagle zmiana dekoracji. Pogoda, ciepło, wiosna, cicho... raj. Kapitan z żoną wyszli z kajuty na mostek. Bijanica osobiście, z pomocą Maryny, zakrzętał się w opróżnionej kajucie, dużo tam widocznie jest do roboty, bo aż na mostek dolatują jakieś chichy, piski, popychania się, tak że nawet Hopson wylazł z maszyny, i stojąc na żelaznej drabinie, wystawił tylko tułów nad pokład, a zerkając w stronę kapitańskiej kajuty, nasłuchiwał i klął:

— Ce cochon de bosman ! Nom d'une bérgerè...

Lew Pawłowicz rozchmurzył się. Fedora czując się uśmiechała się. Doprawdy sam nie wiem, czy do męża, czy do mnie... Zarozumiały nie jestem, ale oczywistości poddać się muszę.

27. Luty w nocy.

Już widzę, że dzieje tego rejsu „Zaporożca“, z kukurydzą do Marsylii, bynajmniej nie kwalifikują się, jako czytanie dla matki i siostry. Jeżeli kiedykolwiek danem mi będzie czytać im ten dziennik, to kartki te będę musiał przepuścić pod pozorem, że w tym czasie, jakoś zaniechałem pisania, bo dużo miałem zajęcia z... z... no, z kukurydzą, bo i naprawdę zaszyły jakieś nieporozumienia pomiędzy zarządem Towarzystwa a agenturami: Stambulską i Marsylską. Trzymają nas już trzeci dzień w Żółtym Rogu. Codzień rano, muszę dosiadać konika, za którym biegnie jego właściciel, przeciskać się przez barwne, różnojęzyczne tłumy zalegające wybrzeża

i jechać truchtem do Pera, po rozkazy agentury, czy mamy rozpalać dziś ogień pod kotłami, czy też nie i codziennie wracam na pokład z oznajmieniem, że jeszcze nie.

Lew Pawłowicz, pod pozorem jakichś interesów tajemnych z głównym agentem, całe popołudnia i wieczory, a często i noce, spędza na brzegu i późno wraca: chauffé a haute pression, jak mówi Hopson. Mnie się wydaje, że to te wspomnienia z trawersu Wężowych wysp, tak go prześladowają... Ale ja, w kajucie jego nie byłem... czy moje nie widziały, a uszy nie słyszały, nie miałem zatem żadnej racji odmówić pięknej Fedorze spaceru kajakiem, który mi dziś, pod wieczór, tęskniąc za mężem obrabiającym interesy Towarzystwa, zaproponowała.

Czarny jakiś drab, w czerwonym fezie na wygolonym łbie, powiózł nas swoją wygiętą, jak księżyc na nowiu, łódką. Wieczór był prześliczny. Zachodzące słońce złociło szczyty minaretów Stambułu. Pałac sułtański, już w cieniu pogrążony, nurzał stopy swych białych murów i marmurowych schodów w szafirowe wody Bosforu. Azjatycki brzeg pałał jeszcze cały ogniami jaskrawego zachodu. Łagodny, a rzeźwy powiew wiosny przenikał nas swym drażniącym tchnieniem. Czy Fedory dziwnie jakoś rozmarzone były i jeszcze słodsze, niż zwykle. Leżała w kajaku, z ręką zwieszoną ku wodzie i końce palców, trącając jej powierzchnię, zostawiała na niej leciuchną bruzdę ginącą za nami. Pierś jej, pod



lekką, przezroczystą bluzką, niespokojnie, prawie burzliwie falowała.

Płynęliśmy w stronę miasta pałaców i will, do Bujukdere, tak było zamierzone przynajmniej... ale nie dopłynęliśmy, bo kiedy wody Bosforu przestały już roić się od małych parowców, szalup i łodzi, kiedy wyminęliśmy już ostatni napotkany kajak, w którym nawpół leżała zakwefiona kobieta, a u jej nóg siedział, w świetnym mundurze, turecki oficer, z fezem na głowie i przechylał się ku niej ze skwapliwością bynajmniej nie prawowitego pana tej haremowej piękności, a ja zwróciłem na to uwagę Fedory, mówiąc:

— Oto Loti i Azyadée płyną!...

Ona kazała nawrócić do małej zatoki, która nas wabiła zielonością swego wybrzeża, i, wysiadając z kajaku, a silnie opierając się na mojem ramieniu, rzekła cicho:

— Jeżeli Azyadée tak mogła... to czemuż ja od niej gorsza... czyż nie jestem również piękna, jak ona...

Utonęliśmy w zieleni.

— Wy jesteście, jak róża, wśród cierni, pomiędzy tymi nieokrzesanymi żeglarzami — rzekła Fedora, ciągnąc dalej rozmowę rozpoczętą w kajaku.

— A wy, jak cudna najada Bosforu — odparłem. — Niby wskrzeszona jedna z tych odalisk sułtańskich, co w nurtach jego śmierć znalazły, bo kochać chciały i umiały.

Główka Fedory skłoniła się na moje ramię, a wilgotne oczy, bardzo rozmarzone, patrzyły słodko

z pomiędzy brunatnych powiek, które jeszcze bardziej pociemniały.

— Najada? Ech nie! Najady to zimne kokietki, a w moich żyłach lawa, nie krew, płynie... Wańka! — wybuchła nagle. — Ja ciebie kocham od pierwszego wejrzenia... pamiętasz, kiedy trzymałeś mi wieniec nad głową, podczas ślubu?... Ja bym ciebie wolała pod tym wieńcem widzieć... Wydałeś mi się wtedy, niby jeden z tych młodych wikingów Skandynawii, którzy, płynąc po rozhukanych falach, na swych wątych łodziach, zdobyli wszystkie brzegi Europy... porwali wszystkie piękne kobiety... Tyś mnie tak porwał...

Podniosłem oczy na sierp księżycy, biorąc go na świadka niewinności mojej... ale on, obojętny, płynął sobie do kajaka podobny, po granatowem niebie. Siedzieliśmy na miękkiej murawie osłonięci krzewami róż pokrytych pączkami. Fedora hoża i rumiana, jak jeden z tych pączków... ba! najpiękniejszy z nich, bo już rozpęknięty, zarzuciła mi pulchne, pachnące ramiona na szyję.....

Powrót nasz był rozkosznym pół-snem, czarującym pół-marzeniem. Czarny przewoźnik uśmiechał się pod obwisłym swym wąsem, z miną chciwie usłużną wschodniego faktora.

Późno w noc, chodziłem jeszcze po mostku, wyszedłszy z kapitańskiej kajuty, gdzie nieostrożna Fedora długo mię zatrzymała, kiedy usłyszałem kroki powracającego Lwa Pawłowicza, idącego chwiej-

nie i sapiącego, niby parowa maszyna pod ciśnieniem piętnastu atmosfer.

Coś mi w sercu zaszemrało... jakby wyrzut sumienia, ale w ślad za tem, nadleciała myśl:

— Ba!... Nie ja pierwszy, nie ja ostatni... Żeby na taką trafić, trzeba się ożenić, moi panowie! — powtórzyłem półgłosem jego własne słowa i ze spokojnem sumieniem, poszedłem pisać dziennik.

\* \* \*

— Ha łajdaczysko! Widzicie go? Wiking skandynawski! — krzyknąłem, rzuciwszy się w fotelu tak, że, rozkołysany nagle, omal nie przewrócił się w tył. — I jeszcze ze spokojnem sumieniem? Bestja mógł pisać po takiej awanturce... To naturka! Gdybym go nie widział, przed chwilą, żywego i zdawało się, nie umiającego trzech zliczyć, tak niewinnie wyglądał, tobym myślał, że się to tragicznie skończy... węszyłbym krew, panie, pod tem wszystkim, bo miłe złego początki, lecz niestety, koniec... Kiedyż — bo żyw i zdrów, jak oto ten delfin, co wyskakuje sobie z wody, igrając wkoło okrętu... pewnie za delfinową goni... No proszę?... Kapitanowa... Fedora... ładne imię! A ja nie wiedziałem, że okrętowe damy takiego wesołego usposobienia? Żeby to ja tu taką Fedorę mógł złapać... Gdybym nie bał się, to dowiedziałbym się, czy kapitan „Le Rapide'a“ nie żonaty czasem... Kapitanowa, żona takiego władcy... to musi jednak dodawać

pieprzyku!... Ej, panie Janie! Już widzę, że przyjaciółmi będziemy, boś zupełnie niby młodszy mój brat... skromny, nibyto nieśmiały, ale stanowczy... Ale poczekaj, co dalej będzie, jak mawiał, swoim smorgońskim akcentem, mój poczciwy mentor, badacz filoksery... Poczytajmy dalej!

\* \* \*

### 5. Marzec.

— Escalé à Messine, jeune homme! — zawołał do mnie Hopson, wysuwając z otworu izby maszynowej zasmolone swe oblicze, a zezem spoglądając na Marynę, która w bardzo nieskomplikowanej toalecie, wytrzepywała suknie swej pani przez bорт, nad wodą.

— Hum... Uch! Jak te spódnice pachną!

I zupełnie wylazł na pokład, gdzie, podsunąwszy się do Maryny, uszczypnął ją za pulchne, sprężyste ramię, za co dostał klapsa i połajankę mołdawańskorosyjską, poczem, spłoszona Maryna uciekła ze spódnicami. Maryna o wiele wołała Bijanicę od Hopsona. Taki już zły gust miała.

— Jeune homme, — ciągnął dalej mechanik — odkąd te niewiasty, te djabelskie pasterki, najechały nasz pokład, ja rady sobie dać nie mogę... W porównaniu do nich wszystko tu śmierdzi... Ja — bo wrażliwy jestem na zapachy. Czy uwierzycie, że doszedłem do tego, iż mieszam do smarów maszynowych odrobinę olejku różanego i dobrze mi z tem...



Siedzę sobie tam w dole, słucham łomotu tłoków i ryku pary, ale, że pachnie, zdaje mi się, iż w jakim haremie jestem, a nawpół nadzy palacze, to moje eunuchy...

— Macie trochę wyobraźni, master Hopson... ale, jak pójdzie tak dalej, to „Zaporożec“ będzie wyglądał, niby bukiet róż pływający po morzach. Nie trzeba będzie sygnalizować o naszym przybyciu... agent wyjdzie na brzeg, pociągnie nosem i o dziesięć mil morskich, po zapachu róży pozna, że nadplywamy... w swoim rodzaju telegraf bez drutu, tylko zarząd będzie musiał wybierać agentów z takimi nosami, jak wasz.

— Kpijcie... kpijcie — odparł — a ja wam powiadam, że tu teraz sfiksować można... pachnie tu nie tylko moim olejkim. Ale Hopson nie głupi... ma swój plan. Ja tam, w Messynie, znam jedną pasterkę... No, basta! Zobaczycie!

I schował się pod pokład, dokąd go wabił zapach spreparowanych przez niego smarów.

6. Marzec. Messyna.

Wyładowaliśmy część naszej pszenicy... Takie to zmiany nastają... Sycylia, spichlerz dawny Rzymu, odbiera teraz podolską pszenicę. Natomiast ładujemy moc pomarańcz w skrzynkach. Pachną, aż nudzi. Doprawdy, że ten „Zaporożec“ zaczyna wyglądać, jak bazar, lub perukarski salon, tak cały pachnie. Hopson i jego olejek. Mille fleurs, ulubiona perfuma Fedory. Bergamotowa pomada Maryny, od

której rude jej włosy, aż lśnią, jak miedź kołpaka kompasu. Gulenko rozsiewa wokół siebie woń opoponaksu; astronom okrętowy śmierdzi juchtowemi butami, a Lew Pawłowicz koniakiem, jeżeli do tego dodać, że ilekroć Bijanica przesunie się przed mostkiem, to zalatuje od niego aromat czystego alkoholu zmieszany z jakąś perfumą bez nazwiska, gdyż okazuje się, że i ten łajdak, ze względu na Marynę, kupił w Konstantynopolu jakichś pachnidła i smaruje niemi czuprynę do osetedca podobną, bo ma zwyczaj podgalać ją na karku i skroniach, to podobieństwo do fryzjerskiego salonu staje się ludzającym.

Przy obiedzie kapitanowa objawiła:

— Dzisiaj, wyprawa do teatru. Lowka i ja idziemy, ale, że to wy, Iwanie Iwanowiczu, lepiej od nas po włosku umiecie... bo to, choć mój ojciec był włochem... ale to tak dawno było, że ja nawet go nie znałam wcale, więc i wy z nami idziecie — mówiła stanowczo, nie pytając, czy chce, lub nie.

Służba wolność traci. Niema co... zwiesiłem głowę i poddałem się losom z pokorą, pomimo, iż byliśmy ułożyli sobie z Hopsonem, na noc dzisiejszą, małą wyprawę... pasterskiej natury, mówiąc jego stylem. Tymczasem, Fedora mówiła dalej:

— Na teatr namówił mię master Hopson. Mówi, że doskonały tu balet, a ja zawsze miałam do niego słabość, tak dalece, że gdyby mię była matka usłuchała, to kto wie?... Zresztą, i tak, pomimo jej

woli, miałam debiutować... już wdową po moim pierwszym, tym biednym Azchaljanie... Ach ty szkaradniku! — zwróciła się do swego Lowki. — Nawinałeś mi się i pozbawiłeś świat wielkiej artystki. Zamiast zostać kapłanką najszlachetniejszej ze sztuk pięknych, wyjdę tu, pomiędzy wami, na morskiego wilka...

— Na najadę, lub syrenę — rzekł, przyjemnie zezując, Hopson.

— Bardzo proszę! — odparła, niby obrażona. — Komu najada, a komu Fedora Cezarewna.

I spojrzała na mnie słodko. Ale, że zawsze i na wszystkich patrzyła słodko i kapitan już był do tego przywykł, nie zwróciło to szczęściem jego uwagi. Spojrzałem zdziwiony na Hopsona, on rozwiódł rękami. Zrozumiałem, że chciał w ten sposób oddalić kapitańską parę z okrętu, aby spokojnie zająć się naszą wyprawą, lecz nie mógł odgadnąć, że tyraniczna Fedora i mnie iść rozkaże.

Poszliśmy do teatru, zachwycaliśmy się primaballeriną, rzeczywiście ładną dziewczyną. Szczególnie Lew Pawłowicz gustował w niej niepomiernie, tak, że nawet przed żoną nie mógł tego ukryć.

— Ha kanalia, krasawica! — wołał co chwila — Jakie uda... co za łydki... patrzcie! Iwan Iwanowicz, bo to ja nie dla siebie mówię, a dla was... Nu jejo!... Bóg z nią... przecież mam żonę... cóż u licha?

— Czyż doprawdy taka ładna? — marszcząc brwi, pytała mnie Fedora. — Ja, bo nie znajduję... jeszcze trochę, a byłaby taka ruda, jak Maryna.

Pepita nie była ruda, lecz blondyna, o złotognistych włosach, ślicznie zbudowana, wysoka, zgrabna, a zarazem silna i duża, ale mnie jeszcze mniej wypadało, aniżeli kapitanowi, obstawać przy swoim zdaniu o piękności tancerki, wobec Fedory, która bardzo nie lubiła, aby przed nią chwalono wdzięki innych kobiet, odparłem więc z lodowatą obojętnością:

— Phi!... Tak sobie...

Po trzecim antrakcie, kocioł kapitana, którego manometrem był właściwie jego nos, pokazywał już dość wysokie ciśnienie, gdyż, zostawiając nas w łoży uczęszczał sam do bufetu. My z Fedorą przebywaliśmy w głębi łoży, gdzie znajdowaliśmy przyjemne zajęcie. Powróciliśmy na „Zaporożca“ sami. Kapitan pozostał na brzegu razem z Hopsonem. Zajął widocznie moje miejsce w pasterskiej wyprawie. Domyślałem się, że dla niego Bachus tam rej wodził.

7. Marzec.

Pokazuje się, że Pepita — to pasterka Hopsona, o której mi on mówił, podpływając do Messyny, przynajmniej była nią, wówczas, kiedy w balecie zajmowała niższe, aniżeli prima-balleriny, stanowisko i podczas, kiedy on, w licznych swych podróży, zawadzał o Messynę, ona upiększała jego pobyt u stóp Etny, a on ozłacał tanią biżuterją jej bogaty biust, a opromieniał fałszywymi brylantami jej ładne uszy i paluszki. Widocznie zachowała wdzięczną pamięć o tych hojnościach ówczesnego



maszynisty, bo wczoraj, widząc, że i on awansował, również jak ona, przyjęła kolacyjkę, na którą Hopson zaprosił także kapitana.

Ten urwis anglo-francuz siedział w teatrze, gdzieś nad nami i był niewidzialny, ale, podczas każdego antraktu, schodzili się z Lwem Pawłowiczem w bufecie, kładąc podwaliny koniakowe pod nocną orgię. Co tam dalej działo się, niewiem, bo Hopson tyle tylko zeznał, a potem milczał, jak grób.

Kończymy ładowanie pomarańcz i mamy jutro około południa odbijać od brzegu. Szkoda mi trochę Messyny. Śliczne miasteczko, rozrzucone, niby amfiteatr, na stoku góry, nad wspaniałą cieśniną, ale ja na morzu czuję się najlepiej i dlatego zawsze cieszę się, kiedy podnoszą kotwicę.

7. Marzec. W nocy.

Okropności się dzieją. Co to będzie na tym „Zaporożcu“? Zejdzie biedaczysko na jakiś operetkowy parowiec. Dziś, przed wieczorem, zjawiała się na nasz pokład, we własnej osobie Pepita... daleko mniej ładna w spacerowym stroju, aniżeli w baletowym... naturalnie, uda i łydki giną niewidzialne, przytem w długiej sukni chodzi niezgrabnie, jakby połamana.

Udała, że nie zna ani kapitana, ani Hopsona. Kłamała, jak najęta, mówiąc, że ponieważ sezon baletu kończy się, więc ona, dowiedziawszy się, iż nasz statek jutro odbija z przeznaczeniem do Marsylii, chce się ułożyć o przejazd, aby jak najrychlej,

dostać się do tego miasta, gdzie jest zgodzona na kilka gościnnych występów... Czekają na nią niecierpliwie, już trzy razy telegrafowali. Szelma kapitan targował się z nią zawzięcie, bo Fedora była przy tem, i wyznaczył tancerce z pokojówką, którą ona z sobą zabiera, kajuty w przodzie okrętu, gdzie żywego ducha niema... No, wyobrażam sobie, że ten przód okrętu stanie się czemś w rodzaju *parc aux cerfs*, za dawnych, dobrych czasów Ludwików we Francji.

Już widzę, co to wszystko znaczy. Hopson pokazywał mi piękne rzeźbione korale, które kupił, a niepokoił się, widząc, że jednocześnie kapitan kupuje daleko cenniejsze brylantowe kolczyki... dla żony. Hopson ma taką minę, jakby nie wierzył, że to dla żony. Pepita, prawdopodobnie, ma na prawdę gościnne występy w Marsylii. Mądra włoszka za przejazd ani grosza nie zapłaci, a dostanie korale Hopsona, plus brylanty kapitana i po morskiej przejażdżce będzie jeszcze lepiej tańczyła w Marsylii... Ślicznie, ale co będzie z honorem „Zaporożca“... No!

Przychodzi mi na myśl, że być może, Lew Pawłowicz tak czarnych zamiarów niema, a tylko zmiarkował, że obecność Fedory na statku rozbudza zazdrość jego sztabu... Może obawia się, i chce klin klinem wybijać, wszedł w kompromis ze swemi zasadami dowódcy statku i poświęcił honor „Zaporożca“, nie wiedząc, że w swoim mężowskim... niewiele ma do stracenia.

8 marzec.

Pepita rozlokowała się w przednich kajutach. Pokojówka jej, dziewczyna z Kalabrii, niewiele ustępuje pięknością swej pani.

Na „Zaporożcu“ jeszcze spokojnie. Śmiało można powiedzieć stylem urzędowym: wsio abstait błagopałuczno\*), ale, niestety, albo grubo myłę się, albo przyszłość brzemienna w wypadki.

10 marzec.

Płyniemy, jak żółw. Pary w kotłach prawie nie ma. Przy ostatniej mej warcie zanotowałem szybkość trzech węzłów na godzinę... „Zaporożec“ zhańbiony! Parowiec, który z łatwością, przy wzburzonym morzu nawet, robi piętnaście węzłów... teraz, w prześliczną pogodę, pełźnie z szybkością trzech tylko węzłów? Można by go porównać z Kapuą... Obyż tylko nie spotkał nas los Annibala i jego rycerzy, skoro zarząd Towarzystwa dowie się o tych wczasach w okolicy Stromboli i Vulcano. Cała nadzieja w tem, że urzędnik, który lustruje dzienniki okrętowe, robi to: spustia rękawa\*\*), jeżeli nie chałatno atnosit sia k diełu\*\*\*).

Nie darmo marzec na świecie. Skoro tylko gwiazda polarna zabłyśnie swem bładem światłem na firmamencie, istna procesja kotów rozpoczyna się na naszym „Zaporożcu“.

\*) Wszystko stoi szczęśliwie — znaczy: wszystko w porządku.

\*\*) Opuściwszy rękawy.

\*\*\*) Po szlafrokowemu bierze się do rzeczy.

Jak nie Hopson, to kapitan przekrada się w pantoflach, pomiędzy zwojami lin, ku przodowi okrętu. Bijanica lawiruje w przeciwnym kierunku, od przodu ku tyłowi, gdzie, za altaną steru, czeka na niego mołdawanka. Kalabryjka, krokiem rozkochanej pantery, sunie do kajut-kompani, która przylega do legowiska Gulenki... a Fedora... cóż robić?... Dziennik, to spowiedź ze wszystkich czynów, myśli i zamiarów życia... bądźmy szczerzy... Fedora, w kapitańskich godzinach Pepity, wspina się, jak kotka po rynnie, po schodkach wiodących na mostek, gdzie, w zajmującej jego środek okrętowej kancelarji, w przybytku barometru, map, cyrkli, astronomicznych narzędzi, a nadewszystko księgi dziejów „Zaporożca“, okrętowego dziennika, znajduje... mnie.

Tam to, godziny schodzą nam na marzeniu, patrzaniu w gwiazdy przez oszklone ściany tej altany i na westchnieniach. Wprawdzie Fedora chrupie także cukierki, lub objada się pomarańczami, pomimo, że spogląda na mnie zamglonemi, podbitemi oczyma... Czem już ja nie byłem podczas tych seansów. Fedora w miłości jest pochlebcą... Po wikingu przyszła kolej na sułtana, potem — na poetycznego korsarza... musiała czytywać Fenimoorą Coopera. Dzisiaj porównała mię do morskiego węża, który kusi niešťęsną Ewę, o rybim ogonie... zupełnie chorobliwą wyobraźnię ma ta kobieta, pewnie to jakieś wspomnienie z widzianych reprodukcji obrazów Böcklina. To ostatnie porównanie niezupełnie szczę-



śliwe, ale, przy takiej namiętności do nich, najbujniejsza wyobraźnia wyczerpie się... to trudno! Ja sam już wyczerpany jestem... widę, jak mówi Hopson, i to do takiego stopnia, że na morskiego węża odpowiedziałem porównaniem jej do... samicy rekina. Podobało się jej to, znalazła, że mój komplement ma koloryt lokalny i oświadczyła, że, od tej chwili, będzie mię swoim rekinkiem nazywać... A ja myślałem o Lwie Pawłowiczu...

12 marzec.

Straszne rzeczy! Dopierośmy cieśninę Bonifacio przepłynęli. A co jeszcze straszniejsze, to, że Pepita, która już od paru dni zaczęła mię wabić zabójczymi spojrzeniami, w nie kapitańskich swoich godzinach, i kiedy Hopson spał kamiennym snem, po seansie z Lwem Pawłowiczem, w którym odświeżyli swe siły koniackiem, znalazła sposób odwiedzenia mię w okrętowej kancelarji, podczas psiej warty.

Jeszcze raz przekonałem się, do jakiego stopnia natura ludzka słabą jest. Ten przybytek żeglarskiej wiedzy, który już tyle słyszał przysięg robionych niewieście, ale należącej przynajmniej do floty, tymrazem, usłyszał zaklęcia i poetyczne metafory skierowane ku kapłance Terpsychory... I to nazywa się reisem handlowym z kukurydzą i pomarańczami?... Żeglarstwem?

Obiady i śniadania są wesole. Jakaś dziwna harmonja panuje między nami... nic dziwnego, takeśmy się dobrze poznali... zblizka. Jeden astronom Mie-

szajew, żyjący w surowej samotności, urozmacając ją sobie sekstanem, spogląda niewinnie po nas i dziwi się powolności jazdy. Hopson składa wszystko na maszyny, a chciwy wszelkiej wiedzy astronom naciska go, aby mu powiedział, co mianowicie w nich szwankuje. Hopson, in peto, posyła go do wszystkich djabłów, w czym dopomaga mu reszta towarzystwa i nareszcie, ogłasza:

— Wszystkie cylindry rozluźniły się, a tłoki wytarły... tak, że para ucieka... \*panimajecie?

— Ndas... to może od olejku różanego w smarach? A w moim barometrze merkurjusz znów opada... pora, grubo pora do Marsylii — odparł.

I naprawdę pora była, bo resztkami pary już jechaliśmy.

13. Marzec.

Tłoki lepiej funkcjonują. Hopson potrafił przyspieszyć bieg „Zaporożca”. Wynikło to jakoś z cichej narady Hopsona z kapitanem. Stanęli na mostku, popatrzyli na przód okrętu, spojrzeli potem po sobie, rękami rozwiedli z jakimś wyrazem niemocy, a po chwili, kapitan rzucił się do głosowej rury idącej z mostku do maszyny i stentorowym głosem ryknął: . . .

— Paru!... Mat' waszu!...

A zwracając się do Hopsona, rzekł spokojniej:

— Nu czoż? Może koniaczku palniemy — i dodał coś w rodzaju: na frasunek, dobry trunek.

Ranek nas znalazł na Marsyjskim rejdzie.

17. Marzec.

„Zaporożec“ ocknął się z marzeń. Pepita już tańczy w balecie. Podobno wczoraj miała na sobie brylanty bardzo podobne do tych, które kapitan nabył w Messynie. Tak mówi Hopson, ja tam nie wielką ochotę miałem przekonać się o tem naocznie.

Robota u nas wre. Wyrzucamy z naszego wnętrza kukurydzę i pszenicę, ale prawdopodobnie potem, dłuższy czas spędzimy w bezczynności, a to z powodu, że tutejsza agentura nowego ładunku dla nas jeszcze niema... i nie dziw, podobno jakiś kupiec marsylski, z powodu naszego opóźnienia, nie był w stanie dotrzymać terminu i znaczne straty poniósł, a to zraża innych do „Zaporożca“.

Ja obawiam się trochę tych wczasów marsylskich... aby czasem nie wypadło nam znowu ładować do przednich kajut Pepitę, kalabryjkę i ich kufry i odwozić to wszystko do Messyny z powrotem. Kapitan ma widocznie kłopoty z powodu znacznego opóźnienia, bo chodzi nasepiony, klnie pod wąsem i wspomina o prawie fortuny\*). Dziś, przy obiedzie rozchmurzył się i wyjechał z propozycją dla mnie.

— Ot, wiecie co, Iwanie Iwanowiczu? Poszli-  
byście za moim przykładem. Żeńcie się! Ja wczoraj odnalazłem tu starego znajomego armatora\*\*), nie-

---

\*) Tak zwane w morskiem międzynarodowem prawie składanie winy na vis major natury. Częstokroć nadużywa się tego prawa.

\*\*) Właściciel statków.

jaki Reol... Stary już bestja i powiadam wam.... Krezus! Sam nie pamięta, ile ma okrętów i parowych i żaglowych... To teść dla marynarza! Na to wszystko ma córkę jedynaczkę Janinę Nepomucenę... a przez skrócenie tak zwaną: Neptunette... Hę? Co to za imię dla żony żeglarza! Wsio atdaj jeszcze mało! Tembardziej, że nic byście nie dali, a tylko wzięli i to grubo... za to ręcę...

— A czy ładna przynajmniej ta Neptuneta? — spytała Fedora z nadąsaną minką.

— Panna, która ma w posagu kilka okrętów, ma prawo nie być ładną — odparł poważnie i z przekonaniem.

— Czy to przytyk do mnie, że ja nie mam nawet szalupy? — spytała kwaskowato Fedora.

— Sudarynia maja!\*) — wrzasnął Lew Pawłowicz. — Ty mi wniosłaś w posagu całą eskadrę wdzięków! I z galanterją cmoknął ją w pulchną rączkę.

— A wy pomyślcie, Iwan Iwanowicz, — zwrócił się do mnie. — Takiej partji na całym wybrzeżu Śródziemnego morza niema!

— Kiedyż-bo ja nie zamierzam żenić się — odparłem wymijająco, z powodu Fedory, za co też otrzymałem czarujące spojrzenie.

— Jeżeli Iwan Iwanowicz kręci nosem... to ja gotów jestem! — zawołał — Gulenko.

— Ech! Daragoj moj, Piotr Iwanowicz — rzekł

---

\*) Pani moja.



kapitan, wychylając piąty kieliszek wódki, bo był, jak mówił: admiralskij czas — Fiedot da nie tot! \*) Za powodzenie tamtego przy Neptunette ręczę, a już za wasze, nie pragniewajties... a dwugriwennawo \*\*) nie dam!

— A cóż takiego? Jabym tej flocie lepiej dał rady od niego!

— Nu tak!.. Flocie może... no Nieptunietie... Hm! hm!

I zaczął mię usilnie namawiać. abym poszedł z nim do Reolów i, poznawszy Neptunetę, z zamkniętymi oczyma puścił się w konkury, na zamknięcie oczu nastawał, dodając:

— Uż ja wam sastawliu pratiekcju! \*\*\*)

Skąd, u licha, na to swatostwo mu się zebrało? Hm! Czy aby nie domyśla się on czego i chce się mnie pozbyć czem prędzej?.. Żle...

\* \* \*

Ha... ha! — zawołałem, zaglądając do scherry — gobleru, który z kolei kazałem sobie podać. — Na złodzieju czapka gore! Oj, mój Jasiu! Czy ty czasem ze swoją niewinną minką nie odegrałeś tam roli Gérard'a, pogromcy lwów... Ja tu węższą krew! Krotchwila, jak nie widać, przejdzie w tragedję... Mój Boże! Jak zwykle w życiu. Z tymi żeglarzami, to żartów niema... ludek gwałtowny. Ani chybi, on tego

\*) Niby to a nie to.

\*\*) Dwadzieścia kopiejek

\*\*\*) Już ja wam zrobię protekcję.

Lwa zastrzelił i do morza wrzucił. A niby to dość miał już Fedory... Wybredny nicpoń. No, ale, co bądź było... zobaczymy, jak było.

\* \* \*

22 Marzec.

Zgadłem. Ładunku nie widać. Od kiedy tu stoimy, patrząc na Cannebiere, \*) trzy angielskie statki i dwa niemieckie przyplłynęły, oddały ładunek, nowy wzięły i odpłynęły... ot tak służy się handlowi... a my stoimy.

Już widać sądzono mi zostać właścicielem okrętów, albo raczej na teściowych parowcach pływać. Byliśmy z kapitanem u Reolów. Neptuneta... szpetniutka, no... ale przyzwyczać się można. Bieda tylko, iż papa Reol ma taką minę, że flotą póki żyje dzielić się nie zechce. Jeżeli tak, toby wyszło, że pomieniał stryjek siekierkę na kijek. Tu pobieram dobre gaże, liczą mi ruble al pari, za rubla cztery frańki, pomimo, że kurs niżej trzech, a tam bezinteresownie doglądałbym rodzinnego mienia Reolów. Ślicznie dziękuję! W każdym razie muszę oświadczyć kapitanowi, że jeżeli pragnie pozbyć się mnie, doprowadzając swatowstwo do skutku, to powinien otwarcie rozmówić się z papą Reolem o tych parowcach, bo żaglowych nie chcę, choć bardzo lubię na nich pływać, ale nie brać w posagu.

Mam biedę z Fedorą. Zazdrosna jak tygrysyca. Całe szczęście, że nie śmie jawnie przeszkadzać, bo

---

\*) Jedna z głównych ulic Marsylii. Wiedzie do portu.

się boi, że mąż gotów przewąchać... bo jednak, po głębszym namyśle, gdyby papa Reol puścił parę statków, a choćby, na początek, jeden, a dobry... hm... to kto wie?

Dzisiaj wieczorem, kapitan wyprawia na lądzie festyn dla rodziny Reolów. Naturalnie i ja tam będę. Fedora pod pozorem migreny odmówiła.

23 Marzec.

Kapitan i ja wróciliśmy z brzegu już rankiem. Festyn był wspaniały. Los mój i Neptunety prawie rozstrzygnięty. Wszyscy byliśmy kompletnie pijani. Reol nic wprawdzie stanowczego nie powiedział, na wszelkie aluzje Lwa Pawłowicza co do parowców, kręcił czerwonym nosem powtarzając:

— On verra ça... on verra ça. Cela dépend du jeune homme...

Mama Reol, tłusta baba, z ogromnemi brylantami w dużych, płaskich, jak u słonia, uszach, a pomimo to, attiffée comme un chien fou, jak to mówi Francuzi, opatrywała mię, jak ciele na jarmarku, mierząc okiem znawczyni od stóp do głowy. Lecz nieufność ta nie została się przed potokami szampana, któremi kapitan ją gasił, wołając co chwila, kiedy widział zbyt badawcze spojrzenia przyszłej teściowej przebiegające po całej mojej figurze:

— Garsonn! Szampanskawo!

Z butelki do butelki, doszło do tego, że papa Reol zaczął przy deserze podśpiewywać falsetem:

— Un crocodile s'en allant à la guerre!

Fit rassembler tous ses petits enfants  
Et leur parlant d'une voix grave et sévère...

Nie mógł nawet powstrzymać się od dalszego ciągu piosenki, pomimo obecności mamy Reol.

Lew Pawłowicz, takim głosem jakby wołał „pa-ru“, ze swej strony ryczał:

— Pus't nasze oruże gramit wragow Sławian \*).

Mama opowiadała mnie anegdotę o „canard ma-seillais“, który połykał żabę, a ja niby przypadkiem następowiałem na nogi Neptunecie, przyczem ona ich nie cofała.

Wstając od stołu, Lew Pawłowicz całował Reolę, a panią ścisnął w potężnych ramionach. Zdaje mi się, bo wśród oparów szampana, co mózg mój zalegały, wyraźnie zapamiętać nie mogłem, że, odprowadziwszy Neptunetę pod lustro, urwałem sztuczny kwiat z makartowskiego bukietu, który ozdobił stojący pod niem gierydon i ofiarowałem go jej, przyczem złożyłem na jej wążkach usteczkach narzeczeński pocałunek... Zdawało mi się, że przyszła teściowa widziała to i nic przeciw temu nie miała, bo w chwilę potem, ni stąd ni z owąd objawiła, że ceni w mężczyznach przedewszystkiem gorącą krew.

Państwo Reol, błędząc po restauracyjnym gabinecie, gdzie uczta odbywała się, co chwila do siebie mówili:

— De charmants gaillards... ces russes. Pecaire!  
Zdało mi się przytem, że papa Reol bardzo czule

---

\*) Niech nasz oręż gromi wrogów Słowian.



przytem obejmował swoją połowicę... jako przyszły zięć i mąż jedynaczki ich, znalazłem nawet, że za- nadto czule.

Kiedy, odprowadziwszy do domu przyszłą, jak zdawało się, moją rodzinę, wracaliśmy do portu i szli po Cannebière, Lew Pawłowicz zatrzymał się na środku szerokiego a pustego, o tak rannej porze, chodnika, palnął mię odwrotną stroną dłoni po brzuchu i wrzasnął radośnie:

— Hę! Obrobiliśmy wasz interes... pa fłotski! A żeś ją pocałował, to doskonale!

Przed chwilą napisałem, że los mój prawie rozstrzygnięty, lecz teraz, kiedy nocne opory szampana rozwiały się do reszty, po bliższem zastanowieniu, dochodzę do przekonania, że oprócz tego pocałunku pod lustrem, o którym mama Reol wie i deptania nóg pod stołem, o którym ona nie wie, nic właściwie takiego nie zaszło, co by zmianę mego losu i stanu zapowiadać miało, bo przecież, że papa Reol śpiewał: *un crocodile s'en allant à la guerre...* to jeszcze do niczego nie obowiązuje go... Ale, bo kapitanisko, to myśli, że wszyscy tak żenią się, jak on... fiut... fiut... fiut... już i po wszystkim. Mam jednak jeden atut w swojej grze, oto widocznie podobiałem się pannie. To samo widzi kapitan... ale... z Neptunetą, czy to aby atut... na przyszłość.

I kwiecień.

Jest ładunek. Pakujemy beczki oliwy przeznaczone do Cardiff, w Anglii, za parę dni mamy od-

bić od brzegów Francji. Moja sprawa małżeńska w zawieszeniu. Niby to zaręczeni jesteście. Neptuneta łowi każdą stosowną chwilę i chce mię całować, a jak zniecka zaskoczy mnie, to i całuje. Ale cóż? Kiedy tak to wygląda, że z nas czworga, to jest: państwa Reol, mnie i Neptunety, ona jedna nie waha się i szczerze się jej chce zostać zupełnie morską niewiastą. Ha, cóż? Nomen-omen. Reol oświadczył, że nic w zasadzie niema przeciw temu małżeństwu córki, tylko chce mię bliżej poznać i wypróbować naszą wzajemną miłość... czy to czasem nie jest słomiany ogień. Mnie się zdaje, że interes byłby ubity, gdybym ustąpił z pretensji do parowca „Le Neptune“, o którym kapitan dużo i często wspomina, jako o posagu Neptunety i nawet, oglądając go na rejdzie, rzekł:

— Nastajaszczij branienosiec! \*). A i nazwa coś mówi. Neptun dla Neptunety... Bidiou! Jak wy tu, w Marsylii, klniecie!

— Ale kiedyż bo moja córka ma na imię Janina Nepomucena — odparł Reol. — To tylko tak, ta sylaba „nep“ w Nepomucena, to zrobiła tę Neptunetę...

— I dobrze zrobiła, kochany Reol, — rzucił Lew Pawłowicz — bo to ładne imię dla córki armatora, wyznawcy wielkiego Neptuna.

— Co pan mówi, drogi kapitanie?... Ani ja, ani pani Reol, ani Neptuneta nigdy nie pływaliśmy

---

\*) Prawdziwy pancernik.

i, jak Bóg pozwoli, nigdy pływać nie będziemy! Jacyż my wyznawcy Neptuna? Handlowy interes, nic więcej!... Brat mój sprzedaje musztardę i inne konserwy, a mnie powiodło się na armatorstwie... Troun de l'air! Dla tego też nie byłbym od tego, aby dostać zięcia marynarza... wiadomo, oko... przyszłego dziedzica...

— Ano, widzicie Reol, duszà mają! Iwan Iwanowicz pasuje wam, jak rękawiczka do łapy!...

— Nie mówię nie, kapitanie serca mego... to się zobaczy... z czasem...

Uważam, że od czasu pocałunku pod lustrem mama Reol patrzy na mnie przyjaznem okiem, jakbym już dał zadatek szczęścia jej córce... gdyby ona wiedziała ile to zadatków Neptuneta mnie dała? Przyjaźń pani Reol tak rozgorzała, że zgodziła się na przeprowadzenie nas do Kadyksu, skąd powrócą swoim statkiem, który tam teraz ładuje się. Stary Reol kręcił nosem na ten projekt, ale ustąpił w myśl aksjomatu: ce que femme veut, Dieu le veut.

-- Bo i kiedyż my znajdziemy miłsze towarzystwo i pewniejsze przewodnictwo do spróbowania morskiej podróży, — mówiła pani Reol — jak nie z kochanym kapitanem Lion Pawłowicz — a z pod opuchniętej powieki zerknęła na kosze szampana, które wnoszono do spiżarni „Zaporożca“ i spytała:

— A macieź wy lód, żeby to wino zamrozić?

— Tak toczno, Wasze Błagorodje! — odpowiedział, stojący opodal, Bijanica, który rozumiał po

francuzku i oblizał łakomie wargi popierchłe, od słonych bryzgów morskiej wody.

3 kwiecień.

Jak ułożono, tak zrobiono. Od rana, panie Reol już są na „Zaporożcu“. W chwili, kiedy ostatnie przygotowania do odbicia od brzegu robiono, ujrzeliśmy kilka ogromnych kufrów, które tragarze na nasz pokład wnosili. W ślad za nimi zjawiły się Pepita z kalabryjką. Podeszła prosto do kapitana, przywitała się serdecznie i zaczęła umawiać się o przejazd do Kadyksu, gdzie, jakoby, chce koniecznie tańczyć... Ja myślę, że ona nie tyle w Kadyksie, co na „Zaporożcu“ chce potańczyć.

Szelma Lew Pawłowicz znowu zawzięcie targował się, aż wreszcie, wobec pochopności do ustępstw ze strony tancerki, musiał się zgodzić. Natychmiast kilka korków od szampana strzeliło i zapito tę sprawę. Mama Reol, jettant son bonnet par dessus les moulins, jak oświadczyła, a to z powodu, że plynie, wzięła czynny udział w libacjach. Widzę w tej nowej pasażerce palec Hopsona. Ten gałgan skończy na tem, że ożeni się z Pepitą, czy też z kalabryjką... trudno zmiarkować, z którą. Pepita z Fedorą zgodziły się jakoś, ale, co to będzie z burżuazyjnym dekorum mamy Reol... przecież ciągle pić szampańskie niema sposobu... przyjdzie opamiętanie!... Co to będzie? Neptunie ratuj!

5 kwiecień.

Awantury! Tylko nie te, com przewidywał. Te



panie nie mają czasu kłócić się, bo zaraz, pierwszej nocy po odpłynięciu z Marsylii, właśnie w chwili, kiedy znowu padałem ofiarą przewrotności Pepity, w okrętowej kancelarji, w obliczu barometru, który nagle opadł straszliwie, wpadł na nas wściekły mistral.

„Zaporożec“ jęknął wszystkimi stawami i rozpoczął taką sarabandę, jakiej pewnie nigdy w życiu nie wytańcowywały okrągłe łydki Pepity. Czkwaka nie dała jej dokończyć opowiadania o złym guście marsylczyków, którzy jej nie obsypali kwiatami, jak na to zasłużyła. Wyskoczyłem na mostek, odprawiłem Pepitę do przednich kajut, gdzie sąsiadowała z paniami Reol, i dałem sygnał: Wszyscy na pokład!

Widziałem, jak kapitan wyskoczył z przednich kajut i natknął się na powracającą Pepitę... co on tam mógł robić? Aa... pewnie pikieta i szampanik z mamą Reol... oboje to lubią. Kalabryjka, klapiąc pantoflami i przewracając się co krok po straszliwych pochyłościach pokładu kołyszącego się statku, biegła z kajut-kompani, obok której gnieździł się Gulenko, a w chwili, kiedy Lew Pawłowicz ciężko wstępował na mostek, ujrzałem, przy oślepiającym blasku błyskawicy, zez Hopsona chyłkiem wychodzącego z kapitańskiej kajuty. Bijanica stanął w służbowej postawie przed mostkiem, w oczekiwaniu rozkazów. Na głowie, zamiast sudwestki, miał łajdaczysko zawiązaną chustkę Maryny mołdawanki...

O Neptunie! Pożycz mi swojego trójzęba, abym nim potrafił spisać dla potomności to, co działo się

tej nocy i dni następnych na nieszczęśliwym „Zaporożcu“!

Istny sądny dzień! W takich okolicznościach, podczas straszliwej burzy, siedem kobiet, bo panie Reol miały czarnuszkę marsylianę za garderobianą, dziwnie komplikowało nasze położenie i utrudniało nam ruchy. Pisk, wrzask, lament nieopisany panował na „Zaporożcu“, który pewnie, po raz pierwszy, od kiedy wyszedł z budowlanych doków, coś podobnego słyszał i widział.

Zmyliliśmy drogi. Kiedy, po dwóch dobach huraganu, chmury rozerwały się nieco i Mieszajew, czatujący na tę chwilę z sekstanem w ręku, schwytał wysokość słońca i zrobił rachunki, okazało się, że jesteśmy nie daleko brzegów Afryki, na wysokości Malty. Zaraz potem, burza z podwójną siłą rozszalała. Trzeciej nocy, kapitan, który dotychczas stawiał czoło walce żywiołów i nie schodził z mostka, gdy my, oficerowie, mienialiśmy się kolejno, upadając już ze zmęczenia, poszedł do kajuty zasnąć. Była moja kolej warty.

Z natężeniem śledziłem za kierunkiem fal, wskazując sternikom jak mają kierować okrętem, aby nas ogromne bałwany nie wzięły z boku, spoglądałem na oświecony kompas i wpatrywałem się w dal, żeby zawczasu dojrzeć ognie spotykanych statków, na tem uczęszczanem morzu, i uniknąć śmiertelnego karambolu, kiedy wśród mroku i bryzgów rozbijanych o boki okrętu i wpadających aż

na mostek fal, spostrzegłem postać w bieli wspinającą się, z niezmiernym trudem, z pokładu ku mnie, po schodkach do drabiny podobnych. Była to Fedora, blada, przerażona, ciemne obwódki oczu posiniały, włosy rozpuszczone, ledwie wlokła nogami. Widziałem ten smutny jej stan przy słabem świetle oświetconego kompasu. Schyliłem się nad schodkami, chwyciłem ją wpół, dźwignąłem i złożyłem w kancelarji na otomanie.

— Co ci jest, Fedora? — spytałem niespokojnie.

— Jak to, co mi jest? — odparła mdlejącym głosem. — Choruję... umieram! Chcę umrzeć w twojem objęciu...

— Masz tobie! — pomyślałem.

Ledwie to ubolewanie i nad jej i nad moim losem przeleciało mi przez głowę, kiedy ujrzałem drugą postać podobniuteńką do pierwszej.

— Pepita! — krzyknąłem. — Czego tu?

— Chcę umrzeć razem z tobą!

— Kiedyż, bo ja, ani myślę umierać — protestowałem.

— To, w chwili konania, pchnę ciebie sztyltem... aby razem...

Więcej powiedzieć nie mogła, bo straszna czkawka jej nie dała. Ulokowałem ją na fotelu, obok Fedory, a nie było to łatwym, bo musiałem rosłą i tęgą tancerkę nieść na rękach od schodów do fotelu. Zaledwie potem zdołałem przebiedz binoklem widnokrąg i, widząc nadchodzący z prawej strony, od

pełnego morza, ogromny, spieniony bałwan, dać sternikom sygnał: półtora rumba w prawo, kiedy jakieś obnażone, chude i kościste ramię objęło mię za szyję, a zimne usta dotknęły mi czoła.

Wyrwałem się, odskoczyłem, spojrzałem... Neptuneta!

— Jean, mon ami... mon pauvre Jean! — krzyknęła rozzwierającym głosem. — Umieramy przynajmniej razem, dusze nasze ulecą... do... do...

Podeszła znów tuż do mnie, zachwiała się na nogach, musiałem objąć jej kibić, aby nie runęła, w tem, kurcz żołądka napadł nieszczęśliwą i uczułem, jak ciepły potok oblał mi cały przód nieprzemakalnego, niby to, płaszcza. Złożyłem ją na drugim fotelu, obok Pepity.

W chwili niebezpieczeństwa, przyszły do mnie w chronologicznym porządku, jakby się zmówiły... najprzód Fedora, potem Pepita, a Neptuneta ostatnia. Kiedy układałem Neptunetę, z kanapy i z fotelu Pepity rozległy się dwa głębokie, przejmujące, z czkawką zmieszane jęki. Pochylony nad Neptunetą, aby jej głowę ułożyć na poręczy, uczułem, jak dwie strugi o gryzącej, ostrej woni, oblały moje plecy, szyję, głowę, zrzucając z niej sudwestkę... W tej chwili, olbrzymi wał wody, pieniać się i sycząc, wpadł z prawej strony na statek i groźnie go pochylił na lewo. Wszystkie trzy runęły na podłogę.

— Giovanni!... Giovanni mio carino! — jęknęła Pepita.



— Jean! Mon pauvre Jean! — westchnęła Neptuneta, której chwilowo ulżyło.

— Wańka! Mój rekinku!... Mój wężu morski! Mój kochanku! — wrzasnęła przeraźliwie Fedora, zerwała się z podłogi, zarzuciła mi pulchne ramiona na szyję, podczas, gdy nowy potok, z ust jej lejący, zalewał mię gorzką falą żołądkowego soku, a blada, zielona prawie twarz, jak zmora wyglądała.

Tymczasem, tamte dwie wiły się po podłodze przybytku wiedzy nawigacyjnej. Oglądałem się za jakąś pomocą. W tem, ktoś szarpnął drzwiami, otworzył je i stanął. Spojrzałem... kapitan!

Drzwi z przeciwnej strony zaskrzypiały... Obejrzałem się... pani Reol, nie w lepszym stanie od córki.

A Fedora, wciąż wisząc mi na szyi, jak nieprzytomna, krzyczała:

— Wężu morski! Wikingu! Mój kochanku! Wańka! Ty mi nie dasz umrzeć!

— Jean! Zdrajca! Chce żenić się z Neptunetą... a jest kochankiem kap...

Mama Reol nie dokończyła, z okropnie wykrzywioną twarzą rzuciła się do Lwa Pawłowicza. Ten, widząc co się święci, schwytał ją obu rękami za głowę i, mocno ściskając, dopomógł jej w oblaniu rodzonej córki, która, w tej chwili, u nóg matki leżała, jak nieżywa.

— Kapitanie... Lwie... ratuj! — jęczała matrona.

Zdrętwiałem. Siłą oderwałem splecione ramiona Fedory, złożyłem ją na kanapie obok pani Reol, którą tam kapitan pieczołowicie umieścił przed chwilą, i stałem, jak winowajca, przed nim.

On chwilę popatrzył w koło, potem na mnie i rzekł:

— Proszę za mną.

Stanęliśmy na mostku przed kompasem. Byłem przygotowany na wszystko. Lew Pawłowicz, z drwiąco spokojnym uśmiechem pod wąsem, rzekł:

--- Pazdrawliaju! Wsie tri... nu, znacit damskij kawalier... Maładiec! \*). Macie próbkę tego, co ja miałem u Wężowych wysp... No, a w Kadyksie rozstaniemy się... chwilowo. Rozumiecie, na łądzie, to co innego, ale pływać, tak we troje, na „Zaporożcu“ ... Kak - to nie łowko... \*\*). Później... jak ona będzie na brzegu... Miłosti prosim \*\*\*) na „Zaporożca“ znowu. A teraz, idźcie spać Iwan Iwanowicz... no, i umyć się — dodał, śmiejąc się...

Schodząc z mostku, słyszałem, jak mruczał:

— Nu, nu! Wiesiołyj małyj... wsie tri?... Maładczina! \*\*\*\*).

10 kwiecień. Kadyks. Na łądzie.

Wyleczony jestem. Morska choroba zakończyła morską idylę. Na żadną z tych pań nie mogę pa-

\*) Winszuję! Wszystkie trzy, to znaczy damski kawalier... Zuch!

\*\*\*) Jakoś nie zręcznie.

\*\*\*\*) Zmiłowania prosimy — znaczy: zapraszamy.

\*\*\*\*\*) Wesoły chłopak... wszystkie trzy... Zuszek.

trzeć, bo sam zaczynam dostawać morskiej choroby. Jak one tam wyglądały tej nocy, w obliczu barometru, przed okrętowym dziennikiem... no! Neptunie, niegodziwe twoje figle! Wczoraj pożegnałem się z kolegami i z zacnym Lwem Pawłowiczem, który na pożegnanie powiedział mi:

— A Neptunetę bierzcie, tylko z „Neptunem“.

Pękło dwa kosze szampana. Panie Reol wróciły do Marsylii przez Hiszpanię, lądem. Miały dość morza. Pepita tańczy w Kadyksie, podobno z większym powodzeniem, aniżeli w Marsylii. Ja, jutro, wstępuję do służby na „Le Rapide“.

\* \* \*

Złożyłem dziennik, wyssałem słomką resztę płynu z dużej, szklanej czary, wstałem z fotelu i, wyciągnąwszy członki skurczone długim siedzeniem, poszedłem na spotkanie nadchodzącego Domorskiego, a widząc go z daleka, jak szedł, wysmukły, barczysty, przystojny, niby uosobienie wdzięcznej, młodzieńczej siły, energii i odwagi, myślałem sobie, że nic dziwnego w tem, iż niewiasty tak biorą się do takiego draba, jak ten Jaś.

— Panie Janie, — rzekłem do zbliżającego się — teraz znam pana, jak byśmy byli bracia rodzeni. Tak... tak... śmiało, rażno i wesoło brać życie za зуб, to człowiek zawsze wypłynie, no... i będzie miał o czem wspominać, kiedy zaczną reumatyzmy na starość łupić.

— Ha! Szkoda mi było i „Zaporożca“ i Lwa Pawłowicza i Bijanicy, a nawet... Fedory — i dodał, uśmiechając się: — Ale cóż? „Zaporożec“ był dla mnie stanowczo za wesołym okrętem, bo mam w głębi duszy trochę ukraińskiej melancholii, jakąś potrzebę ciepłego, domowego ogniska, życia rodzinnego... naturalnie, tęsknię do tego, czego mi zupełnie brak... ale, to ognisko chcę założyć w swoim kraju. Jeżeli kiedy ożenię się, to tylko z polką.

— No, to widzę, — odparłem — że, pomimo, iż pan szuka nowych dróg, polakiem pan był, jest i będzie... a jeszcze więcej kocham pana za to.. Dajże pan wyściskać się po polsku!

Chwyciłem zacnego Jasia w objęcia i, pomimo mojej godności glob - trotera, wyczałowaliśmy się głośno, jakby kto z pistoletu palił, jakbyśmy byli nie na kosmopolitycznym parowcu-kolosie, lecz gdzieś, w głuchej wiosce, wśród piasków i lasów, lub zgubionej w czarnych bruzdach i zielonych polach stepu.

— A ja, panie Janie, lubiłbym jednak taki wesoły okręt, — rzekłem, wracając myślą do „Zaporożca“ — ale ot... nie mam szczęścia. Tu, na tym waszym „Le Rapide“ pustka, panie, jak w lesie.

— Tak się to panu zdaje, że lubiłby pan taki statek. Spróbowałby pan tego życia, co było na „Zaporożcu“... pan, taki marzyciel — i uśmiechnął się pod młodziutkim wąsem — a tam, nawet pomarzyć, patrząc w bezmierną dal oceanu, czasu nie było... przekonał się pan z mego dziennika...



No... marzenie-marzeniem a... a... a cóż się dzieje z „Zaporożcem“?

— Pływa, pewnie zawsze z opóźnieniem, Cóż pan chce? Na to on „Zaporożec“. Spotkałem go parę miesięcy temu na Czerwonym morzu, u wylotu Suezkiego kanału. Powiadam panu, o pół mili morskiej zalatywał od niego zapach róży... Zdało mi się, że widzę na mostku Lwa Pawłowicza. Chwyciłem trąbę akustyczną i wrzasnąłem im na przywitanie:

— Wiwat krasawica Fedora!... Morie pa kaliena?

---

## II.

### A NUŻ... PRZEPLÝNIEMY?

Z Hawru, Jan Domorski do Bolesława Dożyńskiego w Krakowie.

Kiedy żeglowaliśmy razem po Śródziemnym morzu na „Le Rapide“, obiecaliśmy sobie, że znajomość nasza nie poprzestanie na tem, tak zwykłem w życiu, przypadkowym i jednorazowym spotkaniu. Bo i szkoda by było... tak jakoś przystaliśmy do siebie. Pisałem dwa razy do Warszawy i żadnej odpowiedzi nie otrzymałem. Przez czas pewien chodziło mi po myśli, że, byle z oczu, to i z pamięci. Przykro mi się zrobiło i pisać przestałem, lecz najniespodzianie już, otrzymałem bardzo spóźnioną odpowiedź i przekonałem się, że to tylko ciągłe podróże były powodem tak długiego milczenia, ja także opóźniłem się z odpowiedzią, ale za złe mi tego niech Pan nie bierze, bo ja znowu jestem na „Zaporożcu“, który, jak Panu wiadomo, zawsze z opóźnieniem pływa. Zdziwi to pana zapewne, ale cóż?... On en revient toujours à ses premières amours.

Kiedy, wpływając do portu w Hawrze, poznałem już z daleka „Zaporożca“, ten statek, na którym po raz pierwszy podpisałem swoje nazwisko w okrętowym dzienniku pod spisaną w nim historją pierwszej mojej oficerskiej warty, serce moje uderzyło mocniej, jak na widok starego przyjaciela. Pan, co tyle pływa, zna zapewne to uczucie, które łączy żeglarza z jego wędrownym domem, towarzyszem doli i niedoli.

Skoro tylko obowiązki służby pozwoliły i „Le Rapide“ długim swoim bokiem powoli i płynnie przybił do portowej grobli i należycie uwiązany został, natychmiast, udałem się do kapitana z prośbą o kilkogodzinny urlop.

Dowiedziawszy się o obecności dawnego mojego okrętu w porcie, kapitan, uwzględniając tak ważną przyczynę, przychylił się do mojej prośby i w kwadrans potem, byłem już na pokładzie „Zaporożca“.

W sztabie jego żadnych zmian nie znalazłem, brakło tylko Fedory i mołdawanki Maryny. Naturalnie, potem co zaszło, kiedyś, pomiędzy Marsylią a Kadyksem, o czem Pan wie, jeżeli pamięta z dziennika mojego, nie śmiałem zapytywać o Fedorę, lecz pocziwy Lew Pawłowicz natychmiast wątpliwości rozwiązał, muskając bowiem dobrze już szpakowatego wąsa, że to był, swoim zwyczajem, nagrany do wysokiego ciśnienia, stentorowym głosem zawołał:

— A wiecie? Iwan Iwanowicz, mój gołąbku! Że u nas już bab na pokładzie niema! Nu ich sawsiem!\*)

\*) no, je ze wszystkim.

Wyrzuciłem Fedorę na brzeg w Taganrogu. Wypłacam jej alimanta i niech sobie siedzi... Czy uwierzycie, że my tu, kiedyś, z jej powodu, o mało nie pobiliśmy się z Hopsonem... Hopson! — zawołał w rurę głosową do izby maszyn — Jest tu Iwan Iwanowicz! Chodźcie no tu, opowiedzieć, jak to my czut'-czut' draki nie zawieli\*) z wami... pamiętacie?... W Dardanelach. — Zwrócił się do mnie. — O mały włos, że z nas nie porobiła dardanelskich osłów... Ho... hoo!... pomyślałem sobie... ty sudarynia całego „Zaporożca“ nam do góry dnem wywrócisz! Ale nie tak - to będzie! Ty, gołąbko, zostawaj sobie na brzegu a nam daj pływać spokojnie... Nu, i w Taganrogu... Boh s niej! I spokój mamy teraz... Znaczy poprawili się rebiata\*\*)... A nie prawda-to? Hopson? — zwrócił się ku, nadchodzącemu szybkim krokiem, mechanikowi.

— Comment va? Jeune homme! — krzyczał Hopson, radośnie zezując ku mnie — Hę? Vieux choux! Otóż znowu jesteście? — i potrzęsał silnie moją ręką.

— Giacomo! Szampanskowo! — wołał Lew Pawłowicz.

Przy szóstej butelce, barometr kapitana stał na zupełnej pogodzie. Namawiał mię do powrotu na „Zaporożca“, perswadując:

— Co wy będziecie tym francuzom służyć? Nu, ich! K nam miłosti prosim! Właśnie trzeci oficer

---

\*) omal bijatyki nie rozpoczęliśmy.

\*\*) Dzieci.



puścił nas w trąbę. W Odesie kanalia uciekł z jakąś „bierzeroj“, jak mówi Hopson. Na razie nie było nikogo pod ręką, musieliśmy i tak odbijać... Ale ciężko! Ja muszę trzecią wartę stać, niby młody gardiemarin.\*) Nu, pokorno błagodariu\*\*)!... W szlupku\*\*\*), Iwan Iwanowicz, i po bagaż wasz na „Rapide“.

Pomyślałem, że na „Zaporożcu“ pływając, może mi się prędzej zdarzyć, iż będę mógł kraj i rodzinę odwiedzić, co było niepodobieństwem, służąc na „Le Rapide“ Zresztą, widziałem, że rebiata poprawili się, że „Zaporożec“, przynajmniej pod niektórymi względami, stracił na zbytnej swojej, dawnej wesołości.

Od słowa do słowa, od butelki do butelki, skończyło się na tem, że na trzeci dzień objąłem swoje dawne stanowisko i już ładowałem w „Zaporożca“ beczki z winem i skrzynie z sardynkami.

Stąd płyniemy do Cardiff, doładować okręt węglem. Miło by mi było otrzymać tam słówko od Pana i dowiedzieć się, czy długo też Pan wytrzyma u stóp wieży Marjackiej, słuchając hejnałów. Już stąd widzę, że jeżeli tam znalazł się jaki kwiatek swojski, to może ten zapach do stolicy Jagiellonów potrwa... A tam są kwiatki!... Ho... hoo! Ale cóż, kiedy same tylko lilijki.

P. S. Niech Pan z listem pospieszy, bo w tej chwili

\*) Najniższy stopień oficerski w rosyjskiej flocie.

\*\*\*) Pokornie dziękuję.

\*\*\*) Szalupa — zdrobniale.

dowiaduję się, że z Cardiff mamy już prosto płynąć do Singapoore. Takie rozporządzenie od Zarządu nadeszło.

\* \* \*

Z Krakowa, B. Dożyński do Cardiff na „Zaporożcu“ J. Domorskiemu.

Same lilijki powiada Pan? Hm! Widać, że dawno nie był Pan w kraju... jakieś dziewicze wspomnienia z niego Pan wywiózł. Prawda, że wyrostkiem Pan go opuścił. To tak z daleka wygląda. Takie lilijki, że nawet nie mam czasu długo pisać i tylko tę pocztówkę wyprawiam, aby przyjacielowi dać znak życia, a sam zmykam... gdzie pieprz rośnie, a to, żeby nie trafić na swojską odmianę Fedory. Nie mam czasu. Do widzenia! Powiada Pan Singapoore? Kto wie? Może i niezadługo... do widzenia się. Posłałem już po doróżkę. Pilno mi. Z pierwszego dłuższego przystanku napiszę, w każdym razie, i do Cardiff i do Singapoore. Tymczasem, proszę listy adresować do Konstantynopola.

\* \* \*

Na morzu, J. Domorski do B. Dożyńskiego w Konstantynopolu.

Kartkę od Pana otrzymałem jeszcze w Cardiff. Mieliśmy katastrofę na „Zaporożcu“. Oprócz niewielkiej ilości ładunku wziętego w Hawrze, napchaliśmy pełny statek świeżym węglem. Zupełnie już przygotowani byliśmy do drogi, luki, wiodące z po-

kładu do wnętrza okrętu, zamknięte grubemi deskami, brezentami i żelaznemi sztabami. Hopson i ja staliśmy przy luce, w tyle okrętu, obok nas kręcił się chłopiec okrętowy. Pamiętam, że jedną nogę oparłem na brzegu luki, podczas gdy Hopson opowiadał mi jedną z nieskończonych swoich hulackich historji. Nagle, usłyszeliśmy straszliwy huk, i jakaś niezmierna siła obaliła nas z nóg, w oczach nam przeleciała jakby czerwona, jaskrawa błyskawica, uczułem wielkie gorąco. Trwało to jedno mgnienie oka. Ocknęliśmy się obaj, leżąc na pokładzie. Pierwsza rzecz, co mi wpadła w oczy, była to zmiana w twarzy Hopsona, na którą spojrzałem: bakembardy jego przestały istnieć, zamiast nich dwie czarne plamy, jak pogorzelnisko po spalonym lesie, widniały na policzkach. W ślad za tem, ujrzałem chłopca okrętowego pływającego we krwi i konwulsyjnie drgającego o kilka kroków od nas, na pokładzie. Z kolei spostrzegłem otwartą lukę, desek, brezentów, sztab, ani śladu, jakby ich tam nigdy nie było.

Nadbiegł Lew Pawłowicz i objaśnił nam, że widział przez lukę wylatujący olbrzymi słup ognia, zajmujący cały obwód luki i wznoszący się, najmniej, o jakie sto metrów w górę. „Zaporożec“, jak mówił, drgnął cały i cofnął się, jak armata przy wystrzale. Sam nie wiedział, co by to było i obawiał się, że mamy ogień we wnętrzu statku.

Zakrzętailiśmy się około chłopaka, ale już tam nie było co robić. Nie żył, zabity uderzeniem od-

łamu deski, lub żelaznej sztaby, w głowę. Hopson i ja zdrowiuteńcy jesteśmy, jeżeli nie liczyć jego bakembardów, któremi tak pysznił się. Zaszumiło na „Zaporożcu“. Podczas gdyśmy chcieli sprawdzić, czy czasem nie mamy ognia w okręcie, czy nie pali się tam węgiel, co łatwym nie było, wobec szczelnego upakowania całej pojemności statku, nadpłynął holo-wnik, z rozkazem od naczelnika portu, i uwiózł nas, nie pytając czy chcemy, lub nie, na pełne morze, gdzie nas, co prędzej pożegnał, odpływając z powrotem. Zabroniono nam wejścia do portu, gdzie stały setki okrętów węglem naładowanych, w obawie ognia. Położenie nasze było fatalne. Sprawdzić, czy węgiel pali się, nie było sposobu. Podejrzewaliśmy, iż wybuch był spowodowany przesyleniem powietrza pod pokładem przez gaz węglowy, który wybuchnął przy zetknięciu się z przyływem świeżego powietrza wpadającego gdzieś, przez jakiś, przypadkowo zrobiony, mały otwór. Czy boki i dno „Zaporożca“ wytrzymały napór gazów, niewiedzieliśmy, miał to nam pokazać stan wody w spodzie statku, na nic jednak ta wiadomość przydać się nam nie mogła, bo w takim razie zatonęlibyśmy i to, niezwlekając. Woda jednak nie przybywała. „Zaporożec“ zuch. Wytrzymał. Wart jedwabnych żagli, jakie miały czajki jego imienników, kiedy powracały, naładowane łupem, ze Stambułu. Położenie nasze polepszyło się o tyle, że przynajmniej natychmiastowe zatonięcie grozić nam przestało, ale jeszcze nie szczególne.



Dochodzimy do przekonania, że to był tylko wybuch gazu i przypuszczamy, że on nam węgla nie zapalił i spłonął w powietrzu, lecz musimy trzymać luki otwarte, aby gaz węglowy ulatniał się i nie mógł znowu przesyć zamkniętego pod pokładem powietrza. Dobre to podczas pogody, ale co będzie, kiedy burza nas spotka, wtedy musimy luki zamykać, bo inaczej, wpadniemy z deszczu pod rynnę. Z tem wszystkiem, okoliczność, że mamy pod stopami ogień, bynajmniej jeszcze nie wykluczona, bo, przy szczelnem wypełnieniu statku, węgiel może nieznacznie przez długi czas tlić się, aż, któregoś poranku, lub, co gorsza, wieczora, pożar wybuchnie.

Chodzimy wszyscy, jak struci, bo do żadnego portu sumienie nam nie pozwala zawinąć, stanąć znów na kotwicy, na rejdzie którego z nich, i tak stać, niewiedzieć dopóki, także nie ma sposobu, no... i małodusznie.

Żal bierze patrzeć na dwie pasażerki, które mamy na statku. Są to: matka z córką. Matka, wdowa po urzędniku, którejś z angielskich agencji naszego Towarzystwa, szczególnym trafem polka, pani Rolicka. Córka jej panna Stanisława, młode dziewczę lat może dziewiętnastu. Zarząd wydał rozporządzenie kapitanowi „Zaporożca“, aby je w Cardiff zabrał na statek i odwiózł do Singapoore, skąd łatwiej im już będzie dostać się do Tonkinu, gdzie starszy syn pani Rolickiej ma posadę przy francuzkim domu handlowym i wezwał do siebie matkę i siostrę, gdyż,

po śmierci ojca, nie mają gdzie się podziać, ani też żadnych środków do życia.

Po świeżej jeszcze stracie ojca i męża, obie te panie są bardzo zgnębione i smutne; boją się tej dalekiej podróży, w którą puściły się i nieznanego, a tak różnego od Europy, kraju, do którego jadą, a teraz, są zatrwożone tem, iż jakby na wulkanie płyną... Ba! Na wulkanie ogień by tylko groził, a tu i ogień i parę tysięcy metrów wody pod stopami. Osobliwie matka jest strwożona i rozstrojona tą ciągłą groźbą, co nad nami wisi. Panna Stanisława lepiej znosi to położenie. Zdaje mi się, że silniejszy duch ją ożywia. W smutnych, błękitnych oczach, obok smutku i marzenia, płoną jakieś iskierki, których pochodzenia nie umiem jeszcze odgadnąć. Dotąd, tyle tylko wiem, że one ślicznie odbijają z jasno-płowemi włosami od czarnej, żałobnej sukienki. Ale płyniemy razem aż do Singapoore... a może i dalej, jeżeli nasz wulkan wybuchnie. Czy tak, czy owak, będę miał czas zbadać, co to za iskierki...

Nazajutrz.

Spotkaliśmy łódź łocmańską. Przybiła do „Zaporożca“. Powierzam jej pękatym, silnym bokom i brunatnym żaglom ten list, razem z raportem Lwa Pawłowicza do Zarządu, o naszym smutnem położeniu. Jeżeli nie spłoniemy gdzieś, na Atlantyku, lub Śródziemnem morzu, to zawiniemy do Messyny, aby zaopatrzyć się w świeżą żywność i przygotować się

do tak długiego rejsu po oceanie Indyjskim. Tam może znajdę list od Pana.

\* \* \*

Na morzu. J. Domorski do B. Dożyńskiego, w Konstantynopolu.

Wczoraj mieliśmy smutny obrzęd na „Zaporożcu“. Nie tylko na pannę Stanisławę, lecz i na mnie wywarł on silne wrażenie, bo pierwszy raz w życiu widziałem pogrzeb na morzu. Biednego Drobynę, chłopca okrętowego, wrzucono do morza. Nigdy nie zapomnę tego ponurego plusku wody, pod ciężarem owiniętego w płótno ciała.

Mnóstwo myśli snuło się po mojej głowie, zmieniając się powoli, górowało jednak poczucie straszego, zupełnego osamotnienia tych zwłok wśród oceanowego pustkowiec... Nic wokoło, żadnego przedmiotu, na którymby oko spoczęło, niebo i woda zlewające się w jakąś całość kulistą, a pomiędzy nimi ta reszta człowieka spadająca w otchłań przyrody. Nigdy może tak silnie, jak w tej chwili, nie uczułem, że widok morza okrytego niebem, robi wrażenie czegoś niematerjalnego... zapomina się, że woda składa się z atomów, że wiszące nad nią powietrze to także materja, że za niem, w światowej przestrzeni, unoszą się chmury kosmicznej materji, a dalej, wśród fal eteru, płyną bryły światowe bez liku... Dla mnie, w tej chwili, spokojne, szaro-zielonawe morze zlewające się niewyraźną, chwiejną linią z lekko zam-

glonem, szaro-błękitnawem niebem, zdawało się czemś nieuchwytnem, zmysłami nie odczutom, jakąś pierwotną, bezmierną pustynią przyrody, czemś wiecznem, co już było przed początkiem czego bądź...

Przy mnie, wsparta o bort, stała tuż blisko Stasia Rolicka. Usłyszałem, jak szepnęła prawie bezwiednie, patrząc w tę nieuchwytną dal marzącemi oczyma:

— Wypłynął z natury... walczył chwilę świadomie... i, zanim zdołał zdać sobie sprawę z tego przelotnego bytu, znów powraca na jej żywiołowe łono, aby gdzieś... kiedyś... znowu wynurzyć się... To los wszystkiego co żyje... to życie samo...

Zamilkła, zamyślona, a po chwili, jeszcze cichszy szept z ust jej wyleciał:

— Ale piękny ma grobowiec to dziecię zielonych stepów.

Spojrzałem, zdziwiony, na nią. Dopełniła moich myśli. Słowami określiła moje wrażenia. Również cicho powiedziałem:

— Piękny, wielki, a niepojęty, jak przyroda, w pierwotnych swych żywiołach, nie ubarwiona życiem świadomem siebie, które jest wyjątkiem w jej bezmiernych obszarach i wiecznem trwaniu...

Podniosła na mnie modre oczy, spojrzała w moje dziwnie głęboko i, jakby bezwiednym ruchem, podała mi rękę, milcząc. Tego spojrzenia i tego uścisku drobnej dłoni wysuniętej z pod czarnej zasłony nigdy nie zapomnę...



— Ha! Lubisz katał' sia... lubi i sanoczki wazit' \*) — jako mowę pogrzebową wygłosił Lew Pawłowicz i, zjeżywszy wąsy, zaproponował Hopsonowi kieliszków parę koniaku.

— A cóż? — odparł anglo-francuz. — Pour nous remettre du coeur au ventre... nie zaszkodzi... A z tego chłopca rekiny rade będę... tłusty był próżniak... nikt gorzej od niego butów nie czyścił — poprawił opatrunek, który mu na policzkach zastępował opalone bakembardy i dodał filozoficznie, idąc na koniaczek:

— Tamtędy, rekinom na śniadanie, wszystkim nam kiedyś droga... to też, póki żyjemy... No, niechno ja się tylko do Messyny dobiorę...

List ten wyprawię już chyba z Messyny, a odpowiedzi czekam aż w Aden... a zresztą, niech Pan spróbuje do Messyny napisać.

\* \* \*

Z Konstantynopola, B. Dożyński do J. Domorskiego w Messynie.

Chwast rośnie, gdzie go nie posieją. Takiego „Zaporożca“, z takim sztabem, djabli nie wezmą. O ile znam fizykę, przypuszczam, że gaz węglowy spłonął w powietrzu, lecz węgla nie zapalił. Płyńcie więc spokojnie. Zasięgałem zdania uczonych, utrzymują toż samo. A w miarę, jak po drodze spalacie

---

\*) Lubisz z góry zjeżdżać to musisz lubić i sanki wozić.

węgiel, niebezpieczeństwo przesylenia gazem węglowym coraz większych ilości powietrza, zastępujących wybrany węgiel pod pokładem, zmniejsza się.

Ja tam, na tym wesołym pokładzie waszym, widzę inne niebezpieczeństwo, a mianowicie: przesylenia pewnego zapalnego serca przez te, jeszcze bliżej nieokreślone iskierki błękitne. Chociaż ta Stasia wygląda mi na zupełnie inny gatunek, aniżeli Fedora, ale może jeszcze groźniejszy, a ze znanem mnie usposobieniem waszego sztabu, obawiam się aby nie doszło do stanowczej, tym razem, „draki“, jak mówi wasz Lew... Bacność!

Co z sobą zrobię, jeszcze nie wiem. Wiem tylko, sądząc po niektórych wskazówkach, że Konstantynopol, jak dla mnie, jeszcze jest zablizko Krakowa. Następny list, kochany Panie Janie, adresuj jeszcze tu. Jeżelibym już nie długo tutaj popasał, to, odjeżdżając, zostawię wskazówki, dokąd mają mi korespondencję przesyłać. Koniecznie muszę morzem oddzielić się od Fedory numer drugi, bo już jest tu, blizko. Mam pewne zamiary. Przed przyjacielem mogę się do nich przyznać. Oto, od kiedym przeczytał w pańskim dzienniku o tej Fedorze numer pierwszy, tak mi w głowę ona wlała, że noszę się z myślą, czy by mnie nie udało się pocieszyć tę biedną, na brzeg w Taganrogu wyrzuconą. Myśl ta zaczyna wprost przechodzić w *idée fixe*.

Jako *cosmopolite et bon vivant*, przepadam za krwią mieszaną. Kto wie, czy następny mój list do

kochanego Pana nie będzie czasem z Taganrogu. Chyba nie potrzebuję prosić o sekret... chociaż, o ile znam, przez Pana, waszego Lwa, myślę, że to mu jest, jak mówią Niemcy: wurst und pipe... Wolałbym ja romansik z kapitanową na pokładzie, pod bokiem kapitana, ale wyboru nie mam, a Fedora zajechała mi do głowy... Ze Stasią ostrożnie... to nie Fedora!... Czołem.

\* \* \*

Z Taganrogu, B. Dożyński do J. Domorskiego w Aden.

List pański, kochany Panie Janie, odebrałem... w Taganrogu. A tak! Zrobiłem, jak mawiał mój mentor, pan Bocichocki: d'iun pier de ku. Zniknąłem z oczu Fedorze Nr. 2, niech się bawi w Stambule, skoro aż tam mię goniała, i poznałem Fedorę Nr. 1. Czy pocieszę ją po stracie sztabu „Zaporożca“, jeszcze nie wiem, ale zdaje mi się że tak. Chyba nie pomyśli Pan, że to zarozumiałość z mej strony. Przedstawiłem się, jako Twój przyjaciel, bo domyślałem się, że ona ma słabość dla przyjaciół swoich przyjaciół.

Z listu Twego widzę, Panie Janie, że z dwojga złego, wolę Fedorę niż Stasię, bo ta, to jakaś filozoficzna odmiana pasterki, mówiąc obrazowym stylem Hopsona... Głęboko, ale ponuro... a to już najgorzej. Trzymaj się, Panie Janie. Nie piszę o szczegółach mego pożycia z Fedorą. Jak będzie co cie-

kawego, to doniosę. Tymczasem, zwykłe preliminarja, z Tobą rzeczy poszły raźniej, ale, bo ja nie jestem węzłem morskim, a przytem z Tobą było to na Bosforze i, przed chwilą, spotkaliście byli Lotiego i Azyadée.

Dłużej dziś nie piszę, bo widzę, żeśmy stanęli obaj na przeciwnych końcach miłosnej huśtawki, ja jadę w górę i doznaję miłego łechtania. Pan zaś zjeżdżasz w dół i... aby ci się nie przypomniał koniec Twojej potrójnej idyli... No, ale wołę o tym końcu nie myśleć, bo znalazłbym się w położeniu smakosza, który znajduje w pasztecie z truflami, cały kłębek włosów. Obyś, Panie Janie, nie zjechał za głęboko... pocieszam się jednak tem, że huśtawka znowu Ciebie w górę wyniesie, a Ty, jako żeglarz, przywykłeś do huśtania.

\* \* \*

Z Aden, J. Domorski do B. Dożyńskiego w Taganrogu.

List kochanego Pana odebrałem, czekał już nawet tu na mnie, bo płyniemy, zwyczajem „Zaporożca“, z opóźnieniem. Niedarmo Lew Pawłowicz często mawia: Wremia swajo, nie kuplenoje\*). W Messynie bawiliśmy niepomierne długo. To jakiś feralny port dla „Zaporożca“.

Jedyny ładunek, jaki tu wzięliśmy, jest, niech sobie Pan wyobrazi... Pepita z kalabryjką, tym ra-

---

\*) Czas swój... nie kupiony — rosyjskie przysłowie.



zem, bez żadnych już targów i pozorów gościnnych, gdzie bądź, występów.

Te panie, tak sobie wstąpiły na nasz pokład, niby konieczna część jego sztabu. Jestem pewien, że gdyby nie ustawy, które są antyfeministyczne, to Lew Pawłowicz wpisałby je na role\*) okrętowe, jako członków załogi. Jeszcze trochę, a Pepita gotowa wartę odbywać, raz na mostku z kapitanem, to znów — przy maszynach, z Hopsonem. Ten łajdaczysko znajduje, że mu za mało, iż smary pachną różanym olejkiem, który do nich miesza, że bujna jego wyobraźnia widzi, w nawpół nagich palaczach, haremovych eunuchów, zachciało mu się jeszcze odaliski, chociaż, co prawda, tym razem pobyt Pepity u nas przypisuję głównie kapitanowi, który, od kiedy odbył ów pamiętny rejs z żoną do Marsylii, tak się znarowił, że nie pojmuje, jak można pływać bez kobiet na pokładzie.

Tak... Towarzystwo nie dobrane. Panie Rolickie siedzą biedne przy stole, trochę zdziwione, trochę onieśmielone. Wprawdzie nie wiedzą nic o Pepicie, ale, że szydło z worka wyłazi co chwila, więc jakoś dziwnie po sobie spoglądają. Ja robię co mogę, aby rozmowy odwracać od niebezpiecznych tematów, ale, ze względu na obyczaje i upodobania u nas panujące, nie zawsze mi się to udaje, pomimo, że ci panowie, widząc z kim do czynienia mają, ha-

---

\*) Spisy załogi.

mują się, jak mogą. Nawet Pepita stara się udawać rzymską margrabinę. Już to wszyscy po trosze, jedni mniej, inni więcej, kochamy się w tej ślicznej Stasi. Ona zdaje się tego nie widzieć i pędzi tu, pomiędzy nami, życie tak, jakby dusza jej była gdzieindziej. Nie można powiedzieć, aby z jej oczu smutek wyglądał, to nie jest smutek, lecz raczej zamyslenie. Miła, grzeczna i uprzejma ze wszystkimi, ale, kiedy ją o co zapytać, to odpowiada tak, jakby ze snu zbudzona. Może to i lepiej, bo tak długie pożycie na statku z Pepitą byłoby inaczej zbyt uciążliwe dla niej.

Po pogrzebie Drobyny zbliżyliśmy się z nią trochę, chętniej ze mną rozmawia, aniżeli z innymi, a podczas silnej burzy, która nas zaskoczyła w Biskajskiej zatoce, kiedy trwoga o ogień we wnętrzu okrętu jeszcze trwała, przekonałem się, że w niej ani cienia obawy nie było. Patrzyła na potworne fale spokojnie, a w jej spojrzeniu widać było poddanie się wyrokom Opatrzności i jakby nieme zapytanie, czy to już ta fala, co idzie na nas do szturmu i pluje nam w oczy słoną pianą, ma ją w objęcia śmierci zanieść, i zdawało mi się, że nie ma ona nic przeciw temu, aby to już była ta właśnie.

Wtedy, stojąc obok niej, podczas gdy oboje mocno trzymaliśmy się za pręty poręczy otaczającej mostek, zapytałem, czy nie boi się. Odpowiedziała:

— Trochę prędzej... trochę później, jakąż to różnicę zrobić może? Po cóż bać się tego, co nieuniknione?

Pomyślałem, że może w tej chwili rozpętania żywiołów, wśród ryku fal i wycia wichru, uda mi się zbadać ten dziwny stan półsennej obojętności nie zrozumiały dla mnie i znowu spytałem:

— Pani, pomimo krótkiego jeszcze życia swojego, musiała wiele nieszczęść doświadczyć?

— Nie. Dlaczego pan tak myśli? Oprócz śmierci ojca, żadnych innych nieszczęść nie doznałam... zresztą i ta strata, chociaż smutek i tęsknotę spowodowała, nie może być nieszczęściem nazwana... to w porządku rzeczy. Przecież, podróżując, nie możemy ciągle stać w jednym porcie...

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale zamilkła. Próbowałem jeszcze:

— Tak przypuszczam, widząc w pani jakąś oziębłość, jakby niechęć do życia... Skąd to? Życie jeszcze całe przed panią?

— To nie żadna obojętność, ani też niechęć. Taką jestem od kiedy siebie pamiętam. Nigdy nie zastanawiałam się, dla czego taką jestem. Nie wiem czy mogłabym być inną... czy są ludzie, którzyby inni byli... Ot, panu przyznam się, że są dnie, w których czuję się... jakby to powiedzieć?... No, jakby jeszcze więcej zmęczona...

Długo jeszcze starałem się wniknąć w jej duszyczkę chorą, jak mi się zdawało, lecz czułem, że ona przedemną, przed mojem badaniem ucieka, a oczy jej, poważne, pełne zimnego światła, głęboko patrzyły w moje, z wyrazem zapytania także.

Koniecznienie chcę dowiedzieć się czegoś więcej o niej, zrozumieć dla czego ona jest taką dziwną, tak różną od innych kobiet. Przecież nie chora. Trochę blada, ale silna, kształtna, cera zdrowa, trudy morskiej podróży znosi wybornie; skąd ta jakaś nieczułość, to odrętwienie duszy?

\* \* \*

6 maj. Aden. J. Domorski do B. Dożyńskiego w Taganrogu.

Mamy tu jeszcze stać dni kilka. Tak jestem zaprzątnięty Stasią, że doprawdy nie wiem, dlaczego tak długo tu marudzimy. Domyślam się, że Lew Pawłowicz znalazł jakichś znajomych, lub przyjaciół, co ich ma po całym świecie, z którymi odświeża stosunki za pomocą szampańskiego... słyzałem coś także o arabskich tancerkach. Hopson wspominał, że Pepita uczy się od nich „la danse du ventre“, bo chce, w dzień urodzin kapitana, wystąpić z tym tańcem, aby uświetnić doroczną ucztę, którą on zawsze dnia tego, gdzie bądź znajdowałby się, wydaje swoim podwładnym.

Podczas, gdy moi koledzy i naczelnicy są po-grażeni w zajęciach... choreograficznych, ja staram się wybadać od pani Rolickiej, co tylko mogę z jej przeszłości, w nadziei, że to rzuci światło na stan duszy i charakter Stasi.

Widzi Pan, jak ja prawie naukowo biorę się do rzeczy, niby lekarz, co chce wiedzieć nawet o dziedzicznych skłonnościach pacjenta... ale, bo przyznam się Panu, jako przyjacielowi, że z głębi duszy



pragnę uleczyć tę śliczną, drogą Stasię... taki mi jej żal... taki żal, kiedy patrzę w te dziwne, zamysłone, głębokie, jak morze, oczy.

Pani Rolicka, widocznie znękana życiem, patrzy nań beznadziejnie, lecz spokojnie, nie spodziewa się już niczego, nie tylko siebie, ale i dla córki także. O synie swoim mówi, że się on zamęczy, również jak ojciec jego i dziad, a niczego szczególnego nie dobieje się, pomimo, że za morze pojechał gonić... wiatr w polu.

— Bo widzi pan — mówiła mi — szczęście, to nie dla naszej rodziny. Ona go już dawno niema, a czy mieć je kiedy będzie... Bogu to wiadomo. Ja, przyznam, zwątpiłam o tem... jakoś wszystko nie na to się składa. Michał Rolicki, pradziad Stasi, zmarnował znaczną fortunę, a potem, zginął gdzieś w legjonach, w Hiszpanii, czy na San-Domingo, nikt nawet nie wie gdzie, kiedy i po co właściwie. Seweryn, syn jego, nie zdołał do reszty dojeść pozostałości po ojcu, kiedy, młodym jeszcze porucznikiem od ułanów, położył głowę na rodzimem polowisku pod Grochowem. Zostawił wdowę z niemowlęciem i bardzo już małemi środkami do życia. Może pan sobie wyobrazić, przez co matka z synem przechodzili? Znieśli wszystkie biedy i nędze materialne, wszystkie upokorzenia i bóle duszy. Władysław poznał mię w Odesie, gdzie byłam nauczycielką bez patentu i biegałam, dając lekcje pokrywomo, po dwa złote za godzinę, on służył w biurze agentyry Towarzystwa żeglarskiego. Pokochaliśmy

się... i głód z biedą pobraty się. Mojej rodziny dzieje jeszcze smutniejsze... po wielkich walkach, wielkich ofiarach, przyszły wielkie gorycze i zawody, okropne cierpienia i nędze... Niema o czem mówić... nie my jedni... nie my pierwsi i ostatni. A już moje i Władysława życie... w tem nic już wielkiego nie było; mała, szara, codzienna, zmusna walka o kawałek chleba, bez odrobiny radości, jako dodatek do niego, a teraz i tego biednego pracownika naszego nam zabrakło... — i twardo spojrzęła w dal, przed siebie, suchemi, srogimi prawie oczyma.

Panie Bolesławie, usłyszawszy to, zrozumiałem duszę Stasi... treścią jej: głębokie, dziedziczne a śmiertelne znużenie... To blady kwiatek wyrosły, z pnia podciętego siekierą losu. Tem droższy mi jest!... Panie Bolesławie, mój przyjacielu, czy rozumiesz, co się w mojej duszy dzieje? Śliczny, barwny ptaszek w niej śpiewa, ale tak smutno... mój Boże! Bo ten ptaszek nie ma z czego i nie ma gdzie gniazdzka uwić. Przecież my oboje, jak podróżne gołębie jesteśmy... gorzej nawet, bo one wracają do gołębnika, a nasz gołębnik piorun zdruzgotął i spalił... Już wiem, co mi Pan odpowie: ostrożnie z tym liryzmem, bo nim gołębnika nie odbudujesz... Czy zgadłem? Jeżeli tak, to powiem: ma Pan rację, ale cóż? Kiedy rozum swoje... a serce... swoje.

\*

25 Czerwiec. Odesa. J. Domorski do B. Dożyńskiego w Taganrogu.

Przyjacielu nie ubolewaj nademną. Los przeciął węzeł uczuć, który zaczynał mię oplątywać w nierozwikłane sploty swoje... przeciął nagle, sprawił ból straszliwy i bodaj bardzo długotrwały, a najpewniej ciągly... Ale to tam, w głębi duszy, tylko, wszystko łka i jęczy, bo zahartowany żeglarz zęby zacisnął i potwarza sobie: Mniejsza o to, może tak i lepiej, bo jeszcze jeden robotnik cały hart swego ducha do odbudowania gołębnika będzie mógł przyłożyć... on już nigdy w nim gniazdka swego nie uściele... ale to nic... gołębnik stanąć musi!

Było tak: w kilka dni po ostatnim moim liście, kiedy Pepita zgłębiła już wszystkie tajemnice wschodniego tańca, odbiliśmy z Adenu, kierując się prosto ku Colombo, na Cejlonie. Pani Rolicka zwierzyła się przedemną, że towarzystwo Pepity jest jej niemiłe, a dla Stasi zupełnie nie stosowne i, pod pozorem choroby, przestała uczęszczać do kajut-kompani na obiady także, bo na kolacje, że były zwykle jeszcze gwarniejsze, już i dawniej nie przychodziła. Prosiła Lwa Pawłowicza, aby jej i córce podawano jedzenie w kajutach, u przodu okrętu, gdzie mieszkały. Zauważyłem, że bardzo się to spodobało całemu sztabowi i zdjęło z niego nieznośny przymus i dwuznaczność położenia, co tak długo ciążyły na tych szerokich naturach.

W kajut-kompani, w oczekiwaniu uroczystości dnia urodzin Lwa Pawłowicza, zapanowały wesołość i swoboda. Pepita ledwie usiedzieć mogła, tak się jej

chciało popisać nowym tańcem, który, podobno, daleko drastyczniej od arabskich tancerek wykonywała. Libacje, powstrzymywane cokolwiek, uprzednio, przez obecność pani Rolickiej, z nową siłą zapanowały.

Niepomny na brak wszelkiej przyszłości uczucia mojego dla Stasi, upajałem się niem, niegorzej, aniżeli oni szampanem, starając się nic po sobie nie dać poznać i nie śmiejąc ani słowem zdradzić się z niem przed nią.

Płynęliśmy po oceanie Indyjskim, straszliwy skwar nas prześladował. Niebo od niego zbiałało, szeroka i gładka, a ciężka, jak roztopiony ołów, fala miarowo kołysała „Zaporożcem“, tchu w pierś zaczerpnąć nie było sposobu, świat, zdało się, był olbrzymim jakimś piecem. A kiedy bezpromienne słońce zapadało za afrykański ląd, noce ponuro wyglądały, słabo oświetlone, przez fosforyzujące fale, a w ich parnociu jeszcze trudniej żyć było, aniżeli w dziennych płomieniach podzwrotnikowego słońca. Zdało się, że jakiś ciężar ogromny ludzkie piersi gniecie, nikt miejsca sobie znaleźć nie mógł i wszyscy bezsennie te straszne noce spędzali.

Lew Pawłowicz ociężałym krokiem, w zaniedbanym stroju, snuł się pod namiotem rozpiętym nad pokładem i mostkiem, sapał i często do Hopsona wołał:

— Uf! Żariszcie... dołożu wam\*)!... Hopson! Trzeba coś wypić chyba... Hej, Giacomo!... Groggu!... Klin klinem najlepiej.

\*) Upalisko... raportuję wam.



Przygotowywał się do obchodu dnia urodzin. Stasia nerwową swoją naturą odczuwała dziwne rzeczy. Podeszła do mnie, kiedy wartę odbywałem, i cicho powiedziała:

— Już blisko kresu jesteśmy... Coś się stanie z nami. Co? Niewiem. Ale zbliża się... szybko. To straszne słońce może nas spali.

Błada była, usta bezkrwiste. Podzwrotnikowy klimat już podkopywał jej zdrowie... Mój Boże! — pomyślałem — Co to będzie w Tonkinie? Uspakajałem ją, tłumacząc, że taka pogoda jest, w tej strefie i na tem morzu, zjawiskiem zwykłym, że zresztą, gdyby to nawet skończyło się cyklonem, to, przy pomocy bożej, wyjdziemy z niego cało. Czy to „Zaporożec“ jedną już burzę wytrzymał? Przecież potężny jego kadłub wykuli najlepsi angielscy majstrowie.

Na jutrzejszy wieczór była zapowiedziana uczta kapitana. Pepita, która wybornie znosiła podzwrotnikowy klimat, przygotowała swój arabski strój, w nim bowiem miała wystąpić.

Nadszedł tak dawno oczekiwany dzień. Solenizant, otrzymawszy życzenia od załogi i sztabu, chodził rozpromieniony i zapraszał na obiad. Panie Rolickie wymówiły się od udziału w uczcie, składając się chorobą przez zabójczy upał spowodowaną. Kiedy siadano do stołu, była właśnie pora mojej warty i stałem na mostku. Chodziłem, oglądając widnokrąg. Nic jeszcze nie zapowiadało zmiany pogody, noc zapadła nagle, pośepna, ciemna, zarazem ciężka,

i duszna, jak uprzednie. Po powierzchni oceanu, drgając, przebiegały smugi fosforycznego światła, niektóre z nich, spowodowane przepłynięciem w głębinach jakiegoś morskiego potworu, ciągnęły się w dal, aż ginęły, zwężając się na widnokręgu. „Zaporożec“ zostawiał za sobą spienioną, świetlaną drogę. Suche, rozgrzane dziennym skwarem powietrze, pochłaniało dźwięki tak, że z mostka ledwie słyszałem łomot śruby statku i stłumione wiwaty wybuchające z kajut-kompani przez otwarte szeroko górne, na pokład wychodzące, jej okna. Widnokrąg chwilami pałał odbłaskiem dalekiej błyskawicy, a te świetlane fałe, rozrzedzone, migotliwe i dla oka prawie nieuchwytnie, przelatywały w koło mnie... czułem je raczej, niż widziałem. Nieświadomie prawie spełniając swą służbę, pogрузyłem się w marzenie ciężkie, pólsenne, a pot kroplami okrywał mi czoło.

Wkrótce, pani Rolicka ze Stasią wyszły na mostek, do mnie, wiedząc, że całe życie statku ześrodkowało się w jadalni. Spodziewały się znaleźć na powietrzu choć trochę świeżości, bo mówiły, że w kajutach odetchnąć wprost niema czem. Podczas gdy rozmawialiśmy i pani Rolicka, cofając się pamięcią w przeszłość, przypominała, wśród parnoty podzwrotnikowej nocy, przyjemności umiarkowanego klimatu ojczyzny, już dość późno w noc, usłyszeliśmy kroki kapitana, zbliżające się ku nam, od tyłu okrętu. Za nim szedł Hopson. Po ich chodzie i głosach można było poznać w jakim stanie są

głowy. Matka i córka pospiesznie zeszły z mostku, i chyłkiem odeszły do swojej kajuty.

Lew Pawłowicz, podchodząc, krzyczał:

— Iwan Iwanowicz, chodźcie tam do nas, do kajut-kompani! Przecież musicie moje zdrowie wypić! Cóż u djabła?... A Pepita nie chce tańczyć bez was... Mówi, że nie po to uczyła się w Adenie, żeby mieć tak mało widzów!... No, chodźcie!

— Jakto? A któż na mostku zostanie? — odparłem.

— Nuu... mostek nie przepadnie. Wróćcie. Cóż u licha?

— Ależ zbliżamy się do wyspy Sokatora... tam, daleko w morze podwodne skały wychodzą... Musi ktoś być na mostku...

— Kakaja tam Sakatora?... Nu jej!

— Bijanica niech stoi tymczasem. — Doradził Hops-on. — Bocman, dawno pływa... Nom d'une bergère! Jeune homme! Cóż u licha stać się może, w ciągu jakiej pół godziny? Nie bądźcież głupim, jeune homme! — a czkawka pijacka, co chwila, im obu mowę przerywała.

— Jak sobie panowie chcecie, a nie mogąż ja swego stanowiska opuścić w nocy, w niepewną pogodę... w bliskości niebezpiecznych brzegów...

— Jakie tam brzegi?... Czuczelo jegi pietsko-je! \*) — wrzeszczał Lew Pawłowicz.

— Nie mam prawa! Nie mogę! — protestowałem.

— Nu... ja że kapitan! Ja wam prikazuju, to nie wasza rzecz! Stupajtie \*\*) — krzyczał dalej — Sa-

---

\*) Balwan egipski. \*\*) Ruszajcie.

katora? Pustiakii! \*). Głupie jakieś skały mają nam w zabawie przeszkadzać? Także? Pepita chce koniecznie, żebyście na nią patrzyli, mówi, że inaczej tańczyć nie będzie! A to kobietka... kukołka! \*\*).

Obaj weszli, jeden za drugim, na mostek, wzięli mię pod ręce i uprowadzili siłą do jadalni; po drodze, Lew Pawłowicz, idąc niepewnym krokiem, pokrzykiwał:

— Skały?... Sakatora?... Niczewoo! A woś... \*\*\*)  
przepliniemy!

Zapomnieli nawet Bijanicę posłać na mostek. Spotkanemu majtkowi kazałem zawołać go i powiedzieć, żeby mię zastąpił i nie schodził, aż ja wrócę. Majtek, idąc z tyłu za nami, szepnął mi:

— Iwan Iwanowicz, Bijanica pijany...

Chciałem wyrwać się i wrócić na wartę, lecz siła złego dwóch na jednego. Oparli się, zwiedli mię ze schodów i zaparli w głębi kajut-kompani na kanapie. Przechodząc przez altanę, z której wiodły schody w dół, do kajut, i gdzie w głębi znajdowało się koło od steru, spostrzegłem, że obaj sternicy mają niezwykle czerwone oczy... znak, iż oni także obchodzili dzień urodzin naczelnika.

W jadalni okrętowej orgja szalała. Pepita, ujrawszy mnie, klasnęła w dłonie i podskoczyła ku mnie z kielichem w ręku, umoczyła w nim usta i podała mi go z zalotno-szyderskim uśmiechem:

---

\*) Drobnostki. \*\*) Laleczka. \*\*\*) Nic to! A nuż!



— Srogi wąż morski niech się da skusić... tym kielichem przynajmniej...

Cóż miałem robić w takim towarzystwie? Do rozsądku daremnie było przemawiać. Mam mocną głowę, pomyślałem więc, że wypiję parę kieliszków i niepostrzeżenie wymknę się na wartę. Śpiewy rozległy się w najlepsze. Lew Pawłowicz, z uporem pijanego, uczeplił się mnie, dowodząc, że muszę innych dopędzić i zmuszał mnie do picia. Zawezwano kalabryjkę, która miała ze swoją panią tańczyć. Pepita wykonała „la danse du ventre“, zdobyła szalone oklaski i wiwaty, pito, już nie wiem, po raz który, zdrowie wesołej pasażerki. Lew Pawłowicz z Hopsonem kłócili się o to, który z nich ożeni się z Pepitą, a który — z kalabryjką, tej ostatniej Gulenko bronił zawzięcie. Nasz sztab, po pijanemu, zawsze uczuwał popęd do stanu małżeńskiego, co Lew Pawłowicz usprawiedliwiał przysłowiem. „Głodnoj kumie, chlieb na umie“ \*). Astronom Mieszajew opowiadał o swoich spostrzeżeniach nad koroną słoneczną, podczas zaćmienia, przyczem kłamał bezczelnie, bo nigdy zupełnego zaćmienia słońca nie widział, a kiedy zakrzyczano, aby nie nudził biesiadników astronomją, zaczął śpiewać ochryplym głosem byczka \*\*), którego Pepita natychmiast rzuciła się tańczyć, bez względu na to, iż strój wschod-

---

\*) Głodnej kumie, chleb na myśli.

\*\*\*) Taniec ludowy rosyjski, inaczej nazwany „kamarinskij“.

niej odaliski wcale nie odpowiadał temu tańcowi rodem z nad brzegów Kamy i Oki. Pomimo to, wzbudziła taki zapał, iż zdawało się, że „Zaporożec“ drży cały od niego... Aż zadrżał naprawdę...

Wprzód, okropne wstrząśnienie czuć się dało, potem zaraz trzask i zgrzyt złowrogi. Stół, na którym rozrzucone leżały resztki obiadu i próżne butelki, pomimo, iż był przytwierdzony do podłogi, przewrócił się. Jeszcze przez chwilę czułem, że statek powoli posuwa się naprzód, przy czem, zgrzyt i łomot nie ustawały, aż wreszcie stanął.

Biesiadnicy wszyscy zerwali się na równe nogi i stanęli, jak skamieniali. Skoczyłem na pokład i zaraz ujrzałem, że „Zaporożec“ przodem pogrąża się w wodę. W tem, uczułem potężne drganie śruby i statek znowu wstrząsł się całym kadłubem. Naturalnie, odgadłem co się stało i co w tej chwili działo się:

„Zaporożec“ natknął się na podwodną skałę i korpus jego, gdzieś, u przednich części, przedziurawiony, a maszynista, pod nieobecność Hopsona, dobija go cofaniem w tył... Tak, dobijał, bo statek natknięty na skałę, z otworem przez nią samą, w części, zatkanym, przy braku wiatru i fali, walczyłby z zagładą przez kilka, a może i kilkanaście godzin, lecz, oswobodzony, z ziejącym otworem u spodu, musiał zatonać w kilkanaście minut. I w rzeczy samej, nie doszedłem do połowy długości okrętu, gdy już ujrzałem, że przód jego coraz groźniej i coraz gwałtowniej zanurza się. Byłem przekonany,

że najdalej za kwandras, może i wcześniej, „Zaporożec“ zatonie.

Wpadłem po drodze do mojej kajuty, porwałem dwa korkowe pasy, które tam wisiały, opasałem się jednym z nich, a z drugim w ręku, rzuciłem się ku przednim kajutom. Jedna tylko myśl w głowie mi tkwiła: Stasia... ratować Stasię!

Spotkałem ją u góry schodów wiodących do kajut.

— Woda bucha do kajut, — rzekła, blednąc, lecz spokojnie — niech pan matkę ratuje... panie Janie!

Nie odpowiadając, opasałem ją korkowym pasem, chwyciłem jak dziecko na ręce i zaniósłem na przedni kraniec okrętu. Tam nie wypuszczałem jej z objęcia, czekałem i pilnie śledziłem za pogrążaniem się okrętu, na którym zapanował nieopisany zamęt.

— Do pomp!... Mat' waszu... — ryczał Lew Pawłowicz.

— Co tu pompy pomogą? — pomyślałem, widząc, że „Zaporożec“ zaczyna już zwolna wirować.

— Szalupy!... Szalupy na wodę! — krzyczał Gulenko.

Widziałem, jak Hopson, straciwszy przytomność, zamiast wywołać na pokład palaczy i maszynistów, sam pogrążył się w otworze do maszyn wiodącym.

Majtkowie biegali bezładnie od jednej łodzi do drugiej, w trwodze i zamieszaniu, nieprzytomni, nie wiedząc co robić, jak wziąć się do spuszczenia ich na wodę. Część ich, posłuszna rozkazowi kapitana, rzuciła się do pomp. Wyraźnie widziałem, że

wszyscy, i oficerowie i majtkowie, gdyby nie byli pijani, zdążyliby jeszcze łodzie spuścić na wodę. Krzychałem z całej siły:

— Łodzie spuszczać co prędzej! Łodzie na wodę!

Lecz głos mój ginął wśród zgiełku i zamieszania. Przy słabem świetle zawieszonych na pokładzie, pod namiotem, różno-barwnych latarni, które miały illuminacją uświetnić obchód dnia tego, ujrzałem Pepitę w stroju odaliski, rzucającą się z płaczem w objęcia Lwa Pawłowicza, a on ją odtrącił tak, że upadła na pokład. Po wykrzywieniu jego twarzy poznałem, jak strasznie musiał zakłąć w tej chwili.

Tymczasem, woda coraz gwałtowniej napływała do wnętrza statku. Stojąc na samym przodzie okrętu, widziałem, jak prędko zmniejszała się odległość dzieląca mnie i Stasię od powierzchni wody. Stasia wrywała się i nalegała błagalnie, abym matkę ratowałem... Cóż miałem jej odpowiedzieć? Milczałem. Lecz widząc, że gotowa mi się wyrwać i nie będę mógł stosownej chwili wybrać, aby rzucić się z nią do morza, przekonawszy się, że okręt tonie, a załoga nie zdoła w porę łodzi spuścić, skoczyłem w morze wcześniej, niż zamierzałem.

Lewem ramieniem objąłem wpół Stasię, a prawem płynąłem, starając się, jak najprędzej, oddalić się od tonącego okrętu, wiedziałem bowiem, że w chwili, kiedy on pogrąża się na dno, tworzy się



wielki wir wody groźny nie tylko dla płynącego człowieka, ale mogący nawet wciągnąć spory okręt. Płynąłem, nie oglądając się po za siebie, nie wiedząc, w którą stronę dążę, byle prędzej, byle dalej, od straszego wiru. Stasia instynktownie pomagała mi, pas korkowy utrzymywał ją na powierzchni, ale przytomności nie tracąc, próbowała płynąć o własnej sile. Widocznie jednak zmieszana i stropiona była, bo już nawet o matce nie wspominała.

Jak długo już płynęliśmy, kiedy nagle, usłyszałem straszny okrzyk, sprawy sobie zdać nie mogę, bo w myśli mojej panował zamęt taki, że działałem jakby automatycznie, to też teraz, niby we śnie widziane, przedstawiają mi się wypadki tej okropnej nocy. Odwróciłem się w stronę krzyku i ujrzałem, jeszcze na chwilę, „Zaporożca, jak wirował coraz szybciej i gwałtownie pogrążał się. Ujrzałem ludzi stojących na pokładzie i wspinających się na maszty i reje, ręce ich wzniesione ku niebu, usta, rozwarte rozpaczliwym krzykiem, żegnały życie. Lecz było to widzenie ulotne... trwało może minutę, nie dłużej. Nagle, wszystko znikło i tylko wierzchołki masztów jeszcze chwilę z wody sterczały. Uczułem prąd ciągnący mię w stronę zatopionego okrętu, począłem z nim walczyć całą siłą, płynąc w przeciwnym kierunku, aż wreszcie, zdyszany, z tężejącymi członkami, zatrzymałem się, bo już dalej tak prędko płynąć nie mogłem, lekkim ruchem prawej ręki i nóg podtrzymałem się tylko na wodzie... pamiętam, że po chwili

objąłem Stasię prawem ramieniem, bo mi lewe omdlało.

Zostaliśmy we dwoje tylko w tem oceanowem pustkowiu, zawieszeni pomiędzy niebem i wodą... Ogromna trwoga ogarnęła mię wtedy, uczułem się tak małym, tak słabym wśród otaczających ogromów... Gorąca, nagła walka z natychmiastowem niebezpieczeństwem minęła. Nastawała druga jej część, powolna, nieubłaganie długa, walka z wycieńczeniem sił, z głodem, z upałem, z pragnieniem, długie godziny, może doby całe, powolnego konania, w naprężeniu do ostatka każdego ścięgna i mięśnia ciała, każdej sprężyny woli i siły ducha mdlejącego w tej nierównej walce z siłami przyrody, patrząc na męczarnie towarzyszki niedoli.

Unosiliśmy się na długich, posuwistych i gładkich falach, prawie bez żadnego ruchu, tyle tylko, aby nie zatonać. Szło mi o możebne oszczędzenie sił, abyśmy mogli jak najdłużej utrzymać się na wodzie i doczekać pomocy od przepływającego okrętu, którego wyglądałem, spodziewając się, że, na tem uczęszczanem morzu, nie upłynie kilka godzin, a ujrzę w oddali dym, lub żagle. Nieskończenie długie godziny wlokły się powoli, szczęściem, z biegu czasu sprawy sobie nie zdawaliśmy, oboje byliśmy odurzeni nagłym biegiem wypadków. Mówiliśmy do siebie oderwanemi słowami i tylko o natychmiastowych naszych potrzebach. Pytałem towarzyszki, czy jej co nie dolega, czy nie słabnie,

ona niepokoiła się czy nie nazbyt mi ciąży. Widziałem, że, od wschodu, jutrzeńka rumieni już niebo i wodę. Wkrótce potem, promienie słońca strzeliły nagle z morza i bardzo rychło dotkliwie uczuć się dały. Przebiegłem wzrokiem widnokrąg i wprawnym okiem przekonałem się, że nigdzie żadnego statku nie widać. W stronie wschodu, w blasku migocących od promieni światła fal, dostrzegłem nie wyraźnie jakiś mały, biały przedmiot, co by to było dojrzeć nie mogłem. Należało przypuszczać, że to coś, co ocalało z „Zaporożca“. Chciałem, orjentując się do wschodzącego słońca, płynąć ku południowi, lecz przyszło mi na myśl, że oddałibyśmy się od drogi okrętów, płynących od Czerwonego morza do Indji, ale natomiast, zbliżałbym się do Sokotory.

Podczas, gdy chwiałem się w wyborze tych dwóch kierunków, spojrzałem jeszcze raz w stronę, gdzie, przed chwilą, widziałem ów biały przedmiot. Teraz, kiedy słońce już trochę podniosło się nad widnokrąg, wyraźniej go widziałem, lecz jeszcze nie mogłem rozróżnić, co to jest. Pomyślałem, że skoro rzecz ta unosi się na wodzie, zatem pomocą nam być może i skierowałem się ku niej. Zrazu, Stasia płynęła dzielnie, tak, że ledwie ją podtrzymywałem, lecz, po upływie może pół godziny, słabnąć zaczęła, choć się do tego nie przyznawała. Coraz silniej trzymałem ją.

Po godzinie, kiedy słońce już paliło, jak ogniem,

nasze niczem nie przykryte głowy, nagle zesłała i zawisała mi na ręku. Odtąd, musiałem ciężko pracować. Poznałem, że widziany przedmiot jest łodzią z „Zaporożca“ spuszczoną na wodę i zapewne przypadkiem wypuszczoną przez oszalałą z trwogi załogę. Pilno mi było dostać się do niej, lecz wkrótce, spostrzegłem, że chociaż zbliżam się ku niej, ona, pod lekkim podmuchem zachodniego wiatru, ucieka odemnie.

Rozpocząłem tedy rozpaczliwą gonitwę. Nawpół zemdlona Stasia, w miarę, jak siły moje wyczerpywały się, zaczynała mi ciężyc niezmiernie. Co chwila, musiałem ją to prawą, to znów lewą ręką unosić. Zdarzało się, że podpływałem do łodzi, zdawało się, iż już... już jej dosięgam, aż lekki powiew wzmagił się nieco i, niby żyjąca istota nam wrogą, odsuwał znów ocalenie dalej, coraz dalej.

Znowu godzinę, lub dłużej, pracować musiałem, aby łódź dopędzić. Zdyszany, bez tchu, z zesztwniałymi członkami, z przelatującymi żółtymi błyskami w oczach, z gardłem wyschniętem i ustami spalonymi przez słońce i pragnienie, płynąłem ciągle, krzepiąc się całą siłą woli. Nadchodziły chwile, kiedy już chciałem upuścić Stasię i sam bezwładnie zanurzyć się w te straszne, ziejące pod nami głębie. Nęciły mię one swem cieniem i chłodem.

Nie mam pojęcia po ilu godzinach tej męki dopadłem nareszcie łodzi i wolną ręką za jej krawędź chwyciłem. Tak byłem wyczerpany, że długi czas



upłynął, zanim zdołałem Stasię dźwignąć i w łodzi złożyć, a potem, sam do niej się dostać.

Wypocząwszy, czerpałem dłońmi wodę i lałem ją na głowę zemdlonej, aby ją ocucić. Podniosła powieki, lecz oczy jej były błędne i nieprzytomnie patrzyły, żar straszny bił od niej, mówiła, ale nie do rzeczy. Ułożyłem ją, o ile można było, wygodnie i zwilżałem ciągle jej głowę.

Obejrzałem się po wnętrzu łodzi i, znalazłszy wiosła, wziąłem z nich jedno i, kierując się ku północy, powoli płynąłem. Ogień z nieba leciał, czułem, że z odkrytą głową długo ani ja, ani ona, nie wytrzymamy tych palących promieni. Zdjąłem z siebie lekką, flanelową kurtkę, rozdarłem ją na dwie części, jedną z nich zmoczyłem i owinąłem nią głowę leżącej Stasi, drugą zastoniłem się od słońca...

I tak błąkałem się dzień cały i znowu drugą noc z nieprzytomną towarzyszką, w gorączce. Cierpiałem głód, a nadewszystko straszliwe pragnienie, upadałem z bezsenności, bo zasnąć bałem się, aby nie przepuścić zbawczego okrętu, a gotów byłem i dwa razy tyle cierpieć, byłem mógł czem ulżyć biednej Stasi... lecz to nie było w mej mocy.

Myślę, że, kiedy goniliśmy łódź, ona uległa porażeniu słonecznemu. Ciągle okładałem jej głowę zwilżoną flanelą, lecz ten słaby środek widocznie nie pomagał, bo widziałem, jak, z godziny na godzinę, gorączka wzmagała się, aż, nad ranem drugiego dnia, ocknęła się z niej, przytomniej nieco

spojrzała na mnie i pić poprosiła. Starąłem się wytłumaczyć jej, że żądanie to, choć bardzo skromne, żadną miarą spełnione być nie może. Poruszyła spalonymi wargami i zapadła w półsen, podczas którego wrywały się jej urywane słowa:

— Idę... wciąż idę... korałem... perłą... kwiatem... Wody! Nie trzeba... napiję się, ile zechcę... Tam woda chłodna... świeża...

Po chwili, zbudziła się znowu, spojrzała na mnie zamglonymi oczyma i rzekła spokojnie:

— Byłam kiedyś korałem, perłą na dnie morza... a jeszcze dawniej, byłam pianą morską, żyłam tylko chwilkę... świeciłam fosforycznym blaskiem u szczytu sinej fali... i roztopiłam się... zniknęłam... aby znowu zbudzić się gdzieś, jako kwiatek nadbrzeżnego wrzosu, to znów wiotką łodygą algi morskiej... długo błąkałam się po bezmiarach życia... Tu, teraz, trochę cierpiałam, chwilę myślałam, jeszcze krócej kochałam... i znowu dalej, i dalej... bez końca...

Westchnęła. Łzy potoczyły się po nagle zbladłych policzkach, rzuciła się w tył, i tak już leżała nieruchomo w łodzi z głową wspartą na ławie. Złociste włosy, w tym nagłym ruchu, rozsypały się po białej sukience.

Rzuciłem się ku niej... Nie żyła.

W kilka godzin później, musiałem ją pogrzebać po żeglarsku. Wziąłem ją na ręce i powoli, ostrożnie złożyłem na tej sinej fali, o której wspominała. Zapłakałem, jak wąż, bezsilne dziecię... Pa-

łące słońce lży wysuszyło, łagodna, szeroka i gładka fala kołysała ciągle łódź moją... jak długo? Niewiem.

O zachodzie straszego słońca, myśl moja uciekła, czuć przestałem, przez chwilę, zdało mi się, że zapadam w otchłań, wśród której płynąłem i potem, już nic nie pamiętam.

Zbudziłem się na angielskim okręcie, który mię zawiózł do Port-Said, a stamtąd, na spotkanym tam parowcu Towarzystwa, dostałem się do Odesy.

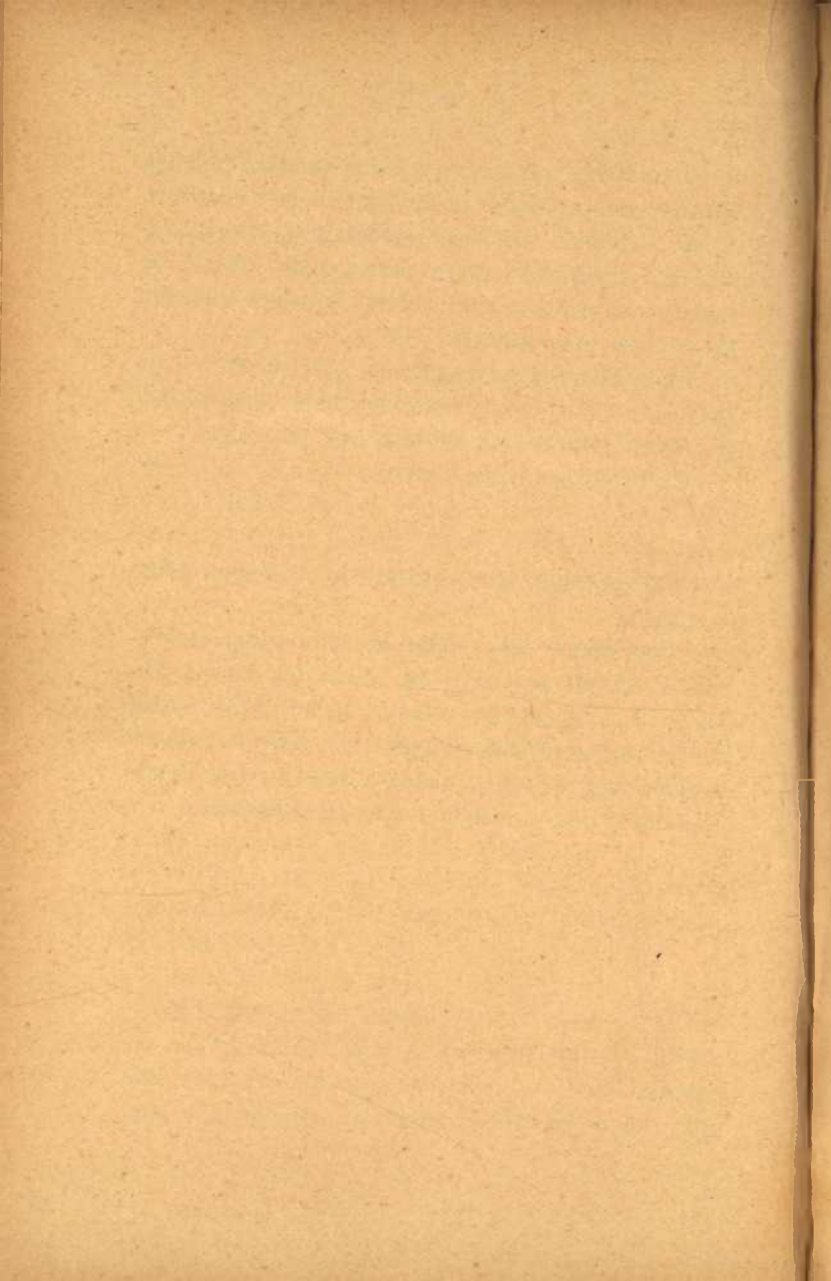
Ciało zdrowe... ale dusza?...

\* \* \*

Z Taganrogu. B. Dożyński do J. Domorskiego w Odesie.

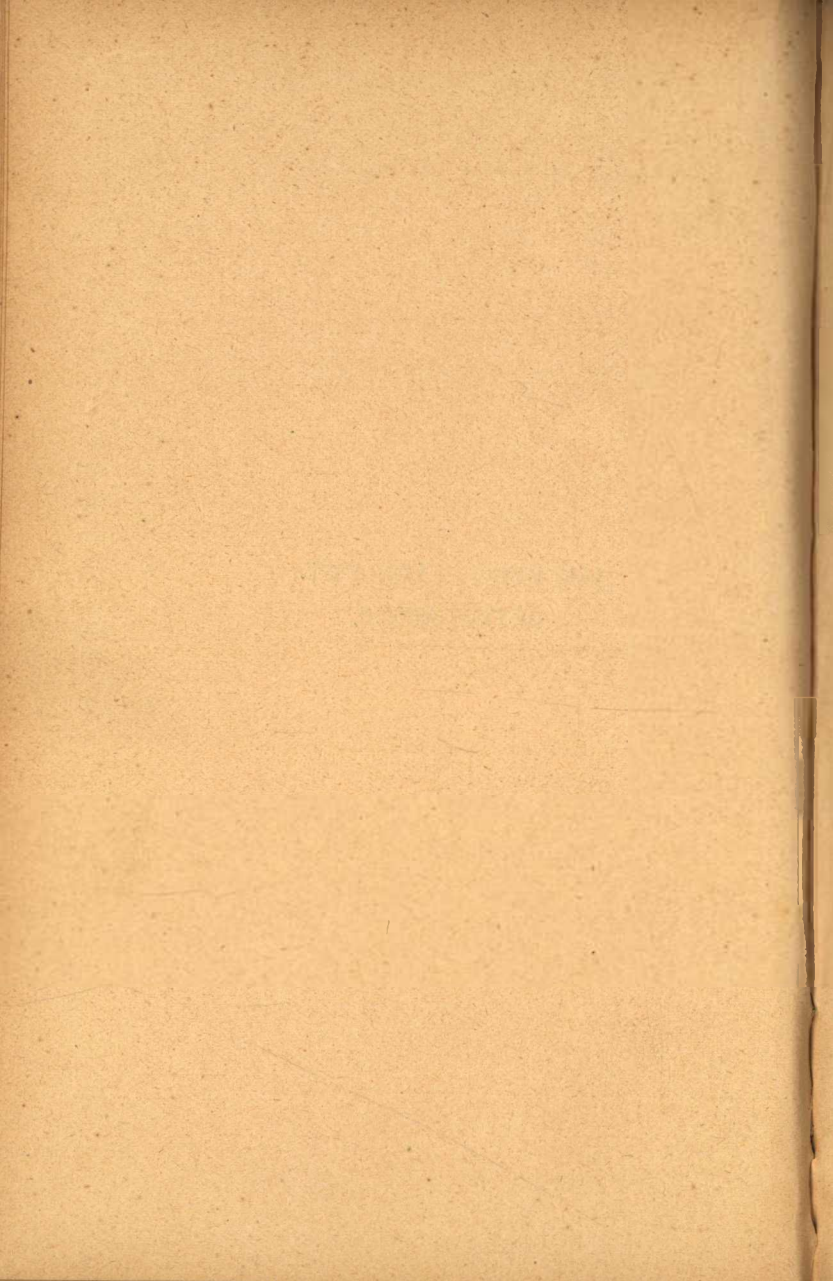
Natychmiast jadę... Ha! Kiedyś wszyscy utoniemy w oceanie przyrody, tak samo, jak śliczna Stasia... To w porządku rzeczy. Tylko, może byśmy dłużej trochę pływali, gdyby nas los nie zmuszał żeglować na wesołych okrętach Towarzystwa Taganrońskiego, pod komendą Lwów Pawłowiczów.

---





JAK BYŁO – TAK JEST.  
BÊTISE RESTE.



JAK BYŁO – TAK JEST.  
BÊTISE RESTE.

– Czy hrabiowie Pyszniewiczze już przyjechali, Marcinie? – pytał, wygalowanego lokaja, pan Hektor Nudatowicz, wchodząc do mieszkania swego w powiatowem mieście litewskiem, Purchawinie.

– Już jest, proszen Jasnego!

– Znowu Jasnego? Błaźnie jeden!... Kiedy ja ciebie wyszkolę?... Ileż już razy tłumaczyłem ci, że mówi się: jaśnie pana, a nie: jasnego? Cóż to za tytuł, u licha: jasny?

– Chto jego wie, proszen jasnego pana... ci ono tytuł, ci jak? Tego nicht nie wie...

– Osioł! – burknął, z gestem bezsilności, pan Hektor, zrzucając w przedpokoju długi, wiejski płaszcz -- Powiesz Ciereszce, żeby wyprzęgał, nie pojedzie z powrotem do Propinaciszek. Tu będę nocował... ruszaj!... Aa... czekaj, powiesz mu, żeby, jak konie wyprzęże, skoczył do Jankła krawca i kazał mu być jutro rano gotowym... siądzie na ko-

zioł i pojedzie ze mną do Propinaciszek... jaśnie pani go potrzebuje.

— Słucham Jasnego!

— Znowu? — krzyknął groźnie, idąc przez przedpokój do bawialni.

Marcin rzucił się do drzwi wiodących na ulicę, lecz nie zastał już u podjazdu Ciereszki z końmi i powozem. Musiał po błocie brnąć, przez wjazdową bramę w podwórze, ku stajni, dokąd stangret już zajechał. Zły, przebierając się ostrożnie w ciemności, mruzczał:

— Nieszczęście!... Znów buty zmieniać przyjdzie sien, bo zaraz Jasny dla hrabiów harbaten podawać każe... Te, to przynajmniej hrabie... wiesz, jak do nich gadać... pan hrabia i tyle... to kuźden wie. A nasz? To jakiści jasny, ci jaśnie, ci jasniesz... ni jak nie zgadniesz... Gdyby jego już hrabion zrobili... ci jak? Boże odpuść... Oś tobie naa!... I chlupnął w kałużen!... Sobacze szczęście!... Przyjdzie sien nie tylko buty, ale i portki zmieniać! Bieda, dali Bóg!

Pan Hektor Nudatowicz, wszedłszy do dość okazałej bawialni, szedł przez nią z miną nadskakującą i pełnym atencji pośpiechem, a zbliżając się do gości, mówił głośno:

— Witam... witam panów! Jakże wdzięczny jestem, że hrabiowie pospieszyliście na moje wezwanie. Pilno mi było podzielić się z panami moimi wątpliwościami, powiem nawet obawami... a także



usłyszeć o tem, co hrabia Kastor z Wilna przywozi... jakie wieści.

Mówiąc, ścisnął dłonie dwóch tęgich, wysokich mężczyzn, o grubych rysach twarzy, noszących u obu te same rodowe cechy, co zdradzało odrazu, na pierwszy rzut oka, iż są braćmi. Gospodarz mówił dalej:

— Pozwoliłem sobie wezwać na tę poufną naradę jeszcze parę osób. Ooo! Niech hrabia Poluks będzie spokojny! — zwrócił się ku bratu hrabiego Kastora. — *Nous serons entre nous...* sama śmietanka... żadnych szlachetek - krzykaczy... żadnych zagorzalców! Towarzystwo zupełnie select!... Będą: książę Rymski, baron Widwiłł, kawaler Alfred Rogmunt, no... i ten Larski Zygmunt... Za tego przepraszam panów... ale cóż hrabia chce? -- mówił, zwracając się do Kastora Pyszniwicza, który, słysząc wymówione przez gospodarza nazwisko, podskoczył zlekka w fotelu i cofnął go w tył, oblekając dużą swą twarz w lodowaty wyraz. — Musimy i dla popularności coś zrobić... Pan Larski, młody wprawdzie, nie koniecznie fine fleur... jako pochodzenie... bo co do obejścia się i wychowania, sami wiecie hrabiowie, że jest zupełnie correct... ale ma mir u szlachty. Zapewne... pożałowania to godny fakt, że popularnością on cieszy się, a nie który z nas, lecz fakt, a z faktem każdym my, polityczni i moralni przywódcy społeczeństwa, liczyć się musimy... No... i ten Larski, nibyto udaje poważnego, ale w gruncie rzeczy pustak i zdaje się, że lgnie

do naszego kółka, a nieźle go się czasem koncepty trzymają... bywa zabawny. Po naszych uciążliwych trudach ekonomiczno - społeczno - politycznych i następujących po nich kolacjach nieźle pośmiać się, to pomaga trawieniu... n'est ce pas, comte Castor?

— E... e... e... zapewne — wykrztusił hrabia Kastor. — Ale, żeby Larski miał być zabawny... c'est trop dire.

— Uhm! — mruknął hrabia Poluks. — Zabawny, nie zabawny, ale bogaty, a wiesz przecie Kastorze, że fundusz grunt.

— E... e... e...! Fundusz grunt... Komuż to mówisz, hrabio Poluksie? Przecież to moje własne słowa powtarzasz. To jedno z moich najniezłomniejszych przekonań. Posłuszeństwo i szacunek dla wszelkiej władzy, cześć dla funduszu, to moralne podstawy, o które wsparłszy się, człowiek... przywoity, chcę mówić, człowiek, to jest: pan... nie zbłądzi nigdy. A jeżeli do tego dodać głębokie uwielbienie dla nazwiska... je m'entends... nie dla każdego nazwiska, a tylko dla dobrego... to właściwie, można dojść do pewnej doskonałości.

Pan Hektor, wlepiwszy szare swe oczy w oblicze hrabiego Kastora, kiwał łysą głową, a blada jego twarz wyrażała, za pomocą rozdętych nozdrzy, dumny szacunek dla wyliczanych przez utytułowanego gościa cnót, podczas, gdy białą, wypieszczoną ręką lekko rozczesywał długie, szaro-blond bakembardy.

W przedpokoju dały się słyszeć głosy oczekiwanych członków Purchawińskiego areopagu. Pan Hektor Nudatowicz powstał i skwapliwie, acz poważnie, poszedł ku drzwiom, witać śmietankę śmietanki, bo poznał głos księcia przybywającego w asystencji barona.

— Szanownego wice-prezesa! — wołał przez nos księżę Rymski, a sapaniem zdradzał przedwczesną rozedmę żołądka i, podawszy dwa palce panu Hektorowi, kołysał duży swój brzuch w kierunku hrabiów Pyszniwiczów, którzy, powstawszy, witali nie tyle sąsiada, ile problematycznego potomka litewskich kniaziów, nadczłowieka, który słusznie czy niesłusznie, w to nikt nie wglądał, używał listowego papieru ozdobionego kolorowanym herbem owiniętym w gronostajowy płaszcz i nakrytym pęką, przysadkowatą mitrą.

Powitania jeszcze się nie skończyły, kiedy aktorskim krokiem, przystając co chwila i obrzucając towarzystwo znaczącym, wymownym wzrokiem, wszedł pan Alfred Rogmunt, kawaler zagranicznych orderów, a w chwilę po nim — Zygmunt Larski witany chłodno, lecz grzecznie i jakby z odcieniem jakiejś obawy. Pan Nudatowicz, widząc, że powitania, jakkolwiek należycie ceremonjalne, mają się jednak już ku końcowi, nie zwlekając, przystąpił do celu zebrania.

— Szanowni panowie! — rzekł. — Skoro wszystkie partje naszego Purchawińskiego Towarzystwa rolniczego... P. T. R., jak je dla skrócenia nazy-

wamy, są tu przedstawione w osobach swoich najwybitniejszych i najświetniejszych reprezentantów, możemy już przystąpić do otwarcia naszego posiedzenia. Ze względu na to, iż przedmiotem obrad naszych dzisiaj mają być kwestje mające mało wspólnego z rolnictwem, uważam za potrzebne, nie zajmować należnego mi ex-officio prezydjalnego krzesła, lecz zaproponować panom, abyście raczyli obrać prezesa dzisiejszej narady.

— Słusznie... słusznie, — rzekł książę Rymski. — Chwali się panu wice-prezesowi naszego P. T. R. ta skromność, bo wszak przyznacie panowie, że pod nieobecność naszego prezesa, radcy tajnego Padgulałowa, nie kto inny, jak on, pan Hektor Nudatowicz, zatwierdzony przez władzę wice-prezes, ma bezsprzeczne prawo przydywania na dzisiejszem zebraniu, zarówno, jak i na każdym innym... Taka skromność, panowie, — tu, mówca głos podniósł — staje się obywatelską zasługą! A, że wszelka zasługa wymaga nagrody, zanim więc przystąpimy do obioru prezesa dzisiejszej narady, proponuję, aby wszyscy uczestnicy zgromadzenia uczcili tę zasługę wice-prezesa przez powstanie... Czy zgoda?

— Zgoda! Zgoda! — zawołano i wszyscy obecni, powstawszy, oddali gospodarzowi głęboki ukłon, za który on kilkakrotnem pochYLENIEM swego długiego i giętkiego grzbietu dziękował.

— A teraz, prosimy o gałki — rzekł poważnie książę. — Będziemy głosować tajnie.



— Za pozwoleniem! — zawołał Larski. — Jeżeli kardynałowie, w konklawe, obierają niekiedy papieża przez tak zwaną adorację, to dla czegoż byśmy nie mogli i my, tak samo, postąpić w dzisiejszem naszym, wiekopomnem zebraniu?... Przecież towarzystwo nasze, w tym składzie, jak je w tej chwili widzę, jest właściwie towarzystwem wzajemnej adoracji... Dla skrócenia więc przedwstępnych czynności, podaję nagłący wniosek: obierzmy księcia przez adorację!

— Aaa!... Przepraszam! — zawołał książę. — Pan Larski zapomina o wielkiej partyjności panującej w naszym Purchawińskim Towarzystwie rolniczem... Tak nie można... fiut... fiut... fiut i obrali prezesa obrad! Co by na to powiedziała nasza szanowna opozycja? — słowo: szanowna, książę wymówił z takim przekąsem, że równało się ono właściwie temu, jak gdyby powiedział: łotrowska. — Jedna rzecz, na którą zgodzić się mogę wobec łaskawej i pochlebnej dla mnie propozycji pana Larskiego, jest to, że służę szanownemu zgromadzeniu za pierwszego z rzędu kandydata.

— Tak... tak! — ozwały się głosy. — Prosimy o gałki! Tajne głosowanie!

— Formalistyka jest duszą ładu — rzekł sentencjonalnie hrabia Kastor. — Niezapominajmy, panowie, że kraj na nas patrzy i ocenia nasze postęпки, a władze tolerują nasze zebrania o tyle, o ile one zachowują biurokratyczne tradycje! E... e... e... forma grunt.

Larski, jako enfant terrible zgromadzenia, objawił, że ponieważ osoba prezesa, jaka dziś i na dzisiaj z urny wyjdzie, jest mu zupełnie obojętna, on od głosowania usuwa się. Odszedł w róg dużego salonu, gdzie stało pianino pani Eugenji Nudatowiczowej i, podczas, gdy obecni z należytą powagą oddawali się głosowaniu, on cicho przygrywał do tej ceremonii kadryla z pięknej Heleny.

Na pierwszy ogień poszedł książę Rymski, jak sam zresztą tego życzył i... przepadł ogromną więk szością, bo otrzymał tylko jedną białą gałkę... swoją własną. Jego miejsce na cenzurowanem zajął hrabia Kastor i doznał tegoż losu, co i poprzednik... jedna biała gałka przerywała czarną jedno-stajność negatywnych głosów. Czyją ona była... wszyscy doskonale wiedzieli.

Toż samo spotkało po kolei wszystkich kandydatów. Tajne głosowanie skończyło się, a pozostało bezskuteczne. Prezesa nie było... bezkrólewie w dalszym ciągu panowało. Od fortepianu grzmiąta teraz szalonym tempem ostatnia figura kadryla, zakrawająca na kankana.

— Oto macie, panowie, parlamentaryzm! — krzyczał kwaśno hrabia Poluks. — Lepiej było nie próbować, a trzymać się władzy oficjalnej!... Cóż teraz zrobimy?

— E... e... e... — jękał hrabia Kastor — hrabia Poluks ma rację. Niech wice-prezes przyduje z urzędu.

— A widzi księżę, — rzekł, zrywając się od fortepianu, Larski — że lepszą była adoracja, którą proponowałem.

Księżę Rymski miał minę obrażoną i półgębkiem zapraszał gospodarza na przewodniczącego dzisiejszemi obradami. Ów nie dał się prosić, podszedł do przygotowanego stołu, nakrytego zielonem sukniem, gdyż, po skończonych posiedzeniach i kolacyjkach, zwykł był on służyć także członkom Rady P. T. R. do poufnego baczka, porwał stojący na nim dzwonek i, donośnie zadzwoniwszy, objawił, że posiedzenie jest otwarte, poczem, zawezwał, aby przytomni zajęli przygotowane już siedzenia stosownie do swoich barw politycznych.

Członkowie Rady P. T. R. posłusznie i sprawnie to spełnili. Księżę Rymski zasiadł na skrajnej prawicy, gdzie za kolegę służył mu hrabia Kastor. Centrum przedstawiali: hrabia Poluks, baron Widwiłł i Alfred Rogmunt, stopniując jednak swoje stanowiska. Hrabia Poluks siedział po prawicy, obok brata, a Alfred Rogmunt zbliżał się do Larskiego, który stanowił skrajną lewicę.

— Panowie! — zagaił posiedzenie teatralnym głosem pan Hektor jeszcze bledszy niż zwykle. — Przedewszystkiem, uważam za swój obowiązek podziękować wam za zaszczytne dla mnie zaufanie wasze, które, raz jeszcze, powołało mię do przewodniczenia tak świetnemu zgromadzeniu, w skład którego wchodzi samo czoło naszego Purchawiń-

skiego Towarzystwa. Bądźcie panowie pewni, że zaufania tego nie zawiodę, gdyż celem mego życia, jest właśnie powodzenie naszego świętego P. T. R. i dla tego pozwoliłem sobie wezwać was, panowie, na to dzisiejsze zebranie... ale, potem o tem. Przedewszystkiem, musimy prosić naszego delegata, hrabiego Kastora Pyszniewicza, aby raczył nam zdać sprawę z misji swojej, w której jeździł do Wilna. Jak zapewne pamiętacie panowie, prosiliśmy hrabiego, aby raczył interwiewować głównych aktorów wiekopomnej wileńskiej demonstracji lojalności i zadowolenia ze statu quo, abyśmy poznać mogli całą głębię szlachejnych pobudek, które popchnęły wileńską śmietankę do stóp Katarzyny Wielkiej, abyśmy obmyślić mogli z naszej strony czyny również lojalne, a zasługi pełne, które by może i nasz partykularz ozdobiły paru odznaczeniami w rodzaju tych, któremi ich tam tak hojnie i wspaniałomyślnie obsypano... Hrabio Kastorze! Prosimy o sprawozdanie.

— E... e... e... wicie panowie, że: a tout seigneur tout honneur — odpowiedział, powstawszy, interpelowany. — Najprzód zatem, poszedłem na śniadanie do hofmajstra... były, między innymi potrawami, wyborne ostendzkie ostrzygi i bardzo przyjemny sauternes do nich. Potem, na obiedzie byłem u szambelana, tam, że to on szlachcic bez tytułu rodowego, zjadłem huzarską pieczeń i flaczki wymśnienite... ale, trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, bo ja, panowie, mam wysoko w sobie roz-



winiętą wdzięczność żołądka, że znalazły się także i trufle à la serviette oblane wyborowem paille d'origine... Ponieważ chciałem rzeczy zbadać gruntownie, dałem się zaprosić do jednego z kamerjunkturów na kolację, a że już późno było i po całodzienniej pracy nad sprawami publicznymi apetyt wcale niezgorszy mi się otworzył, jadłem tam paszтет strasburski, kawior astrachański, popijając vieux nuit, że już o innych rzeczach nie wspomnę... No, i, de fil en aiguille, doszedłem do przekonania, że oni inaczej postąpić nie mogli, bo krok ten podyktowany im został przez rozum polityczny, sumienie ekonomiczne i serce podwładnych... są to własne epitety hofmajstra, szambelana i kamerjunkra... A że pięknie i mądrze zrobili, dowiodły tego następstwa... tytuły, których oto mam pełne usta, a wydają mi się one tak słodkimi, że radbym móżdż ich codziennie używać w życiu naszym sąsiedzkiem, a nawet mojem domowem.

Larski poprosił o głos. Pan Hektor, acz niechętnie, udzielił mu go, bo był mężem, jak sam mówił, a cheval na regulaminie P. T. R., który z nieskazitelną sprawiedliwością dopuszczał do głosu każdego, byle oń grzecznie prosił.

— Z opowiadania hrabiego Kastora widzimy, że hofmajster, szambelan i kamerjunkier dali mu odpowiedź godną sławnej, perskiej akademji milczącej. Przedstawili mu i skosztować dali kwiat materiałów spożywczych, obawa utraty których, była

z pewnością najpierwszym i najsilniejszym bodźcem ich wspaniałego czynu, bo przecież, tylko pod panowaniem silnej władzy, podwaliny której, na Litwie, położyła wielka monarchini, litwini, należący do warstwy select, mogą zażywać dobrodziejstw cywilizacji pod najcenniejszą ich postacią sauternu, ostryg i trufli! Ooo! Wilno, to nie nasz Purchawin! Mądrzy tam mężowie... mało słów, lecz dużo czynu... zamiast marnych dyskusji i gorących uniesień — pożywne i smaczne obiady i śniadania... Oni daleko zajdą!...

— Proszę o głos! — zawołał Alfred Rogmunt, przerywając mowę Larskiemu.

Larski w tem zebraniu bywał tylko tolerowany, albowiem obfite śniadania i obiady nie tylko nie zabijały dowcipu jego członków, lecz przeciwnie, stosowane przez długie lata, tak silnie odżywiły ich organizmy, że zaostrzyły wszystkie biologiczne funkcje, a więc, pomiędzy innymi, i sprawność mózgów. Wskutek czego czuli oni, że Larski pozornie tylko do nich należy. Sauternes i inne wina, których szlachetne pierwiastki od tylu lat krążyły w ich żyłach, pomagały ich lotnym umysłom domyślać się ironji w wystąpieniach tego pana. Pan Hektor zatem, skwapliwie dał głos panu Alfredowi, odbierając go jednocześnie Larskiemu.

— Ja tam nie wiem, — mówił, powstawszy, kawaler zagranicznych orderów — o jakiejto milczącej akademji mówi pan Larski... i wiedzieć nie

chę. Skoro on ją chwali, musiała to być jakaś akademja tromtadratów, z którą nie chcę mieć nic wspólnego. Odpowiem tylko na ostatnie jego słowa: oni daleko zajdą. Czas przyszły niewłaściwie tu przez mówcę użyty został. Oni już daleko zaszli i to, zadziwiająco prędko... Ja, panowie, na piwo miszurysowi, w Purchawińskim zajeździe, nie zdołałam dać tak prędko, jak oni swoje nagrody dostali. Służyć to nam może za wskazówkę i naukę, jak cnoty: pokory, posłuszeństwa i uległości rychło nagradzane bywają, jak błogie skutki osiągają... Panowie! — zawołał z zapalem mówca, tocząc tragicznie oczami po zebranych. — Wąż zazdrości ukąsił mię w samo serce! Słuchajcie, panowie! Gdyby tak nas, Purchawińskiego powiatu obywateli, spotkał ten sam zawrotnie szczęśliwy los... Gdybyśmy tak mogli, dla różnaitości, zamiast rzucać sobie w łeb hrabiami, książętami, baronami, które to tytuły, choć piękne same w sobie, lecz się już przez uszy przelały... gdybyśmy mogli powiadam, siedząc za zielonym stolikiem przy wincie, kadzić sobie ekscelencjami, szambelanami, kamerjunkrami, lub na zebraniach naszego P. T. R. słyszeć takie odgłosy: pan Szambelan ma głos... czy Wasza Ekscelencja będzie dzisiaj przemawiał i t. d. Gdybyśmy tego dożyli, panowie, nic by już nam do szczęścia nie brakło, bo, nie ubliżając Wilnu i wspomnieniom, które świeżo stamtąd wywiózł hrabia Kastor, chyba nasze śniadania i obiady tamtejszym nie

ustępują. Dowód tego złoży zapewne dzisiejszą kolacyjką nasz prezes i amfitrjon, pan Hektor, pomny na to, że każdy z nas, śpiesząc na jego wezwanie do miasta z dóbr swoich, przejechał spory kawał szkaradnej drogi. — Tu, mówca skłonił się przed prezydującym i usiadł, dając tem znak, że, tymczasem, wyczerpał swą oratorską swadę.

Przewodniczący odparł:

— Mam nadzieję, że Purchawin nie powstydzi się przed Wilnem. Kucharz mój i dwóch kuchcików, — przysłani tu, z Propinaciszek, pracują już od rana. Pozwolę sobie jednak, łaskawi panowie, menu kolacji zachować w tajemnicy. Niespodzianki kulinarne łechcą wyobraźnię, a potem wzbudzają wdzięczność żołądka... Będziecie panowie dziś jedli... á la fortune dn pot! Niestety jednak, nie samym chlebem człowiek żyje. Dusza ludzka ma wyższe aspiracje, które, przed chwilą, tak wymownie pan Rogmund przedstawił... Jeżeli wąż zazdrości ukąsił go za serce, to mnie, od paru tygodni, od chwili, kiedy doszły uszu moich wieści o zaszczytach wileńskich, wąż ów splotami swemi owinął całą duszę!... Czy uwierzycie panowie, iż nie tylko sen straciłem, lecz nawet na apetycie szwankować począłem? Przepadły moje zabiegi i prace karlsbadzkie... kilkotygodniowa, uciążliwa djeta, którą tam, tego lata, znosiłem, na marne poszła!... Bieda jest matką wynalazków. Po mozolnych pracach, gdy w samotności swojej gorzelanej kancelarji w Pro-



pinaciszkach czyniłem tytaniczne wysiłki myśli, aby wynaleźć sposoby dorównania Wilnu, szczęśliwy koncept błysnął mi nareszcie w głowie i oto zebrałem was, panowie, politycznych przyjaciół moich... powiem więcej — braci moich po prawomyślności, aby wam przedstawić projekt, którym, śniem tużyc, nie tylko dorównamy Wilnu, lecz je zakasujemy, a nie tylko w lojalności i wielkich z niej w przyszłości owocach, lecz także i w otrzymaniu słodkich nagród natychmiastowych, które, te marzenia, co je przed chwilą tak malowniczo wypowiedział pan Rogmunt, w rzeczywistość obróca...

— Słuchamy!... Słuchamy! — rozległo się w dużym salonie miejskiej rezydencji pana Hektora.

— Z początku, panowie, nosiłem się z zamiarem, abyśmy tu, w Purchawinie, wystawili własnym naszym sumptem posąg wielkiej monarchini, którą Wilno i jego okolice uczciły, bałem się jednak, że świat nas oskarży o brak konceptu, o plagiat, że gotowi roztrąbić, iż, jak to mówią rosjanie, Purchawinscy działacze prajeżeli na obratnych \*). Śmieszność jest straszliwą bronią, panowie. Gdyby przewidywania moje co do tego sprawdziły się, tak pożądane nagrody mogłyby nas ominąć i posąg ów, zamiast radością napawać serca nasze, napełniałby je goryczą zawodu, co znów, z biegiem czasu, mogłoby źle oddziaływać, jeżeli nie na naszą lojalność, która

---

\*) Dosłownie: przejechali się na powrotnych (koniach pocztowych) znaczy: odegrzany koncept.

jest á toute épreuve, to na uczucia naszych potomków, którzy, przechodząc obok niego, przeżuwaliby gorzką myśl: „a jednak, za ten posąg powinienbym szambelaniem być... a nie jestem... niema sprawiedliwości na świecie... nawet w Petersburgu“. I tak, zwolna, lojalność przyszłych pokoleń na szwan! narażoną być by mogła, pomimo naszych wychowawczych zabiegów i wielkich przykładów... A my panowie, powinniśmy nie tylko dla siebie pracować ale i dla przyszłości... Niech, kiedyś, potomność powie, że jednak istniało przynajmniej jedno pokolenie wielkich mężów, statystów i polityków, które położyło podwaliny panowania przodujących klas w narodzie. Wymyśliłem zatem coś zupełnie nowego. Uczymy naszą wielką dobrodziejkę, stawiając tu, na rynku Purchawina, pomnik jej duchowemu bratu, jej koledze i współpracownikowi naszego wiekowego szczęścia... Fryderykowi Wielkiemu!... Tak, tak, panowie, nie wytrzeszczajcie oczu ze zdumienia! Tak... Fryderykowi!... W ten sposób, jeżeli nasze władze nie zrozumieją tej delikatnej i wykwiintnej alluzji naszej, tego oddania hołdu Katarzynie via Fryderyk i nie wynagrodzą nas tytułami Petersburskimi, to dostaniemy Berlińskie odznaczenia... a kto tam wie, jaki szambelan... dość, że szambelan!...

— Brawo wice-prezes! Brawo! — zawołano. — Pyszny projekt! Delikatnie i uprzejmie dla swoich władców, — rzekł książę, zapomniawszy o regulami-

nie Purchawińskich posiedzeń, który wymagał, aby proszono o głos — a zarazem, rzecz zupełnie nowa, oryginalna, nie odegrzana uroczystość, no... i zjednanie przyjaciół w sąsiednim państwie... Zostać pruskim kamerjunkrem, lub szambelanem niema nic przykrego...

— Genialny pomysł kochanego wice - prezesa! — z entuzjazmem zawołał baron Widwił. — Nowe źródło zaszczytów, tytułów i orderów odkryte! Brawo pan Hektor!

— Ślicznie dziękuję — rzekł przewodniczący — za niezastężone pochwały... Chociaż, rzeczywiście, pomimo wrodzonej mi skromności i popędu do usuwania się w zacisze domowe, przyznać muszę, że pomysł to niepospolicity... Jednakże, szanowni panowie, widzę się zmuszony przywołać zgromadzenie do należytego porządku obrad, bo panowie wszyscy mówią, nie prosząc o głos.

Chwycił dzwonek i w gwar rozmów członków Rady P. T. R. wprawną ręką, która od kilku już lat piastowała to narzędzie trzymające na wodzy języki współobywateli, cisnął przeraźliwy jego dźwięk. Pomimo podniecenia, spowodowanego pomysłem swego wice - prezesa, radcowie, na ten znany odgłos, niby żołnierze na dźwięk trąbki, umilkli karnie, a pan Hektor ciągnął dalej:

— Jedyłą słabą stroną projektu jest, że obciąży on nasze kieszenie niemałym podatkiem, bo obawiam się, że wśród szerszego koła członków P. T. R.

zbyt popularnym on nie będzie. Sądzę, że my, tu, w tem zamkniętem kółku wybranych obecni, będziemy musieli całość kosztów ponieść...

— Proszę o głos! — zawołał hrabia Poluks, przerywając. — Bo zapomnę, co mam do powiedzenia.

— Hrabia Poluks ma głos! — objawił pan Hektor tonem lekkiego zniecierpliwienia.

— Czy możemy tu, w Purchawinie, — rzekł hrabia Poluks — stawić pomnik obcemu, bądź co bądź, monarsze, chociażby nawet i pokrewnemu duchem naszej polityce, bez zezwolenia naszej władzy... to pytanie? Ooo!

— Od kilku lat, jak piastuję urząd wice-prezesa P. T. R., — odparł pan Hektor, dumnie rozdymając nozdrza i wodząc po obecnych tryumfującym spojrzeniem — nałamałem się dostatecznie do dyplomatycznego sposobu myślenia. Czyż hrabia przypuszcza, że o tem zapomniałem? Przecież to elementarne. Oto jest — dodał, wyciągając papier z pod sukna stołu — prośba o zezwolenie na ten akt lojalności, że tak powiem... międzypaństwowej.

Odczytawszy prośbę, wice-prezes rzekł:

— Jak widzicie, panowie, umotywowałem rzecz należycie i dość zręcznie. Napomknąłem w końcu o zaszczytach, które spotkały Wilnian i, jak uważaliście, przymówiłem się o takież same dla nas, inicjatorów drugiego, acz całkiem oryginalnego, wydania Wileńskiej uroczystości.



— Proszę o głos! — rzekł flegmatycznie hrabia Kastor.

— Hrabia Kastor ma głos! — objawił przydujący.

— Wdzięczność od nas należy się szanownemu wice-prezesowi za tak świetny pomysł. Pora, aby e... e... e... Europa zobaczyła i przekonała się, iż nie tylko nie jesteśmy owym „brandon“, tą głównią, w której drzemie zarzewie Europejskiego pożaru, lecz przeciwnie, piastujemy w sercach naszych wszelkie zachowawcze ideały, głęboki szacunek dla faktów dokonanych i, raz na zawsze, rozstaliśmy się z dzikiem marzeniem o jakimś niewczesnym dla sąsiadów, a bodaj i nas samych niewygodnym, a buntowniczym zmartwychwstaniu. Dobrze pan prezes powiedział: akt międzypaństwowej lojalności! Naturalnie, iż, w ten sposób, prześcigniemy Wilno, a to jednak nie łatwe zadanie. Ono bowiem okazało lojalność tylko względem jednego państwa, a my — względem dwóch!

— Proszę o głos! — odezwał się Larski.

— Pan Larski ma głos — niechętnie mruknął dziedzic Propinaciszek.

— My, panowie, — zawołał wyrodek Purchwińskiej Rady — prawdę powiedziawszy, byle tytuły, orderzy i prawo spokojnego pędzenia wódki, możemy okazywać lojalność wszelkim państwom, jakie są na świecie... uprawiać lojalność nie tylko międzypaństwową, lecz nawet wszechpaństwową...

Stawiam wniosek! Oto, abyśmy na projektowanym pomniku Fryderyka wmurowali pamiątkową tablicę na cześć Henryka Plantageneta angielskiego, który pierwszy ujarzmił Irlandję, a z drugiej strony cokułu — takąż samą tablicę dla królowej Wiktorji, sławiąc zniszczenie Boerów.

— A cóż pan myśli, — porywczo; zapominając znowu o regulaminie, zawołał książę Rymski — że byłoby to tak źle, jak ton pański każe wnioskować, iż pan, w gruncie rzeczy, o tem sądzi? Świat, panie, potrzebuje porządku, spokoju, panowania silnych i bogatych, a dążyć do tych praw swoich może tak po trupach niespokojnych osobników, jako też i narodów burzliwych, demagogicznych... Przecież nie żadne rzeczpospolite, nie jakaś głupia równość i czułośćkowość dadzą nam ostrygi, trufle i szlachetne wina?...

Dzwonek znowu ostro do porządku przywołał krewkiego księcia, a, gdy cisza nastąpiła, pan Hektor rzekł:

— Sądzę, że teraz, nic nie zmieniając w redakcji przygotowanego przezemnie podania, w którym są ustępy i zwroty wprost poetyczne nawet, zechcecie, panowie, podpisać je z wyszczególnieniem wszystkich waszych tytułów i posiadłości, a następnie, przystąpimy do zapisywania ofiar, które każdy z nas złożyć zamierza na posąg Fryderyka Wielkiego w Purchawinie.

Obecni podchodzili po kolei do stołu i pod-

pisywali podanie do władz, a na drugim arkuszu, przedstawiającym listę subskrypcyjną, wystawiali skromne swe datki.

Larski uchylił się od obu zapisów, a na wymówki i przekładania sąsiadów odparł:

— Nie mam ani gorzelnicy, ani rektyfikacji... żyję wyłącznie z rolnictwa, a to, jakoś kuleje i zupełnie dochody przynosi, pomimo prac naszego P. T. R.... Na pomnik zatem i składkę nie piszę się... Chowam pieniądze na posąg Nabuchodonozora, kiedy nareszcie i nim namyślicie się ozdobić rynek w Purchawinie... a tak myślę, że nie długo na to czekać mi wypadnie.

Przytomni tej herezji, wznosząc ramiona, z oburzeniem odwracali się od niego. Gdy jednak pan Hektor rzucił okiem na listę subskrypcyjną, twarz mu się wydłużyła nieco i rzekł kwaskowato.

— Jednakże, moi panowie, pomnik nasz zapowiada się skromniutki. Widzę na liście tylko trzysta czterdzieści dwa ruble, jeżeli dobrze dodawanie zrobił. Z własnej szkatuły dokładam osiem, dla okrągłego rachunku, zatem trzysta pięćdziesiąt... To zamało... stanowczo zamało! Panowie!... No! Un bon mouvement! Pomyślcie o skutkach waszej ofiarności... Niech mię kosztuje... qui ne risque rien, n'a rien... dorzucam od siebie sto rubli, w nadziei, że każdy z panów daleko hojniejszym okaże się... Oto lista leży i czeka nowej kolejki zapisów...

Książę wstał ciężko, zbliżył się do stołu i coś niewyraźnego nabazgrał. Za nim poszli wszyscy

i wkrótce, pan Hektor mógł stwierdzić, że przybyło jeszcze trzydzieści rubli kopiejek pięćdziesiąt.

— Mamy zatem, — odezwał się — czterysta osiemdziesiąt rubli pięćdziesiąt kopiejek... bardzo mało, bo przecież na konkurs potrzeba i na podróże komitetu, który panowie będziecie łaskawi natychmiast wybrać... a honorarjum rzeźbiarza, kosztu odlewu... bankiet inauguracyjny... Może myślicie, panowie, że na to wszystko wystarczy? Co?

— Takie rzeczy — cicho odparł baron — robią się zwykle kosztem ofiarności szerszych warstw ludności... Samym tylko wybranym trudno...

— Baron ma rację — pomrukiwano.

Pewien chłód zmienił entuzjastyczny, przed chwilą jeszcze, nastrój zgromadzenia. Hrabia Kastor zaryzykował:

— E... e... e... fundusz grunt! Nie widzę, dla czegośmy się rujnowali pro publico bono...

— Hrabia zapomina, — podchwycił Larski — że publiczność nie zostanie szambelanami, hofmajstrami i kamerjunkturami.

— E... e... e... panie Larski — precedził przez zęby hrabia Kastor — ja o tem pamiętam, lecz wiem także, że plebs dla swoich patrycjuszów także coś zrobić powinien, bo inaczej, gdzieżby się podziały wygody płynące z uprzywilejowanych stanowisk... Il faut être logique, monsieur Larski — i, wymawiając to plebejskie, w jego mniemaniu, nazwisko, hrabia skrzywił się, jakby coś kwaśnego miał w ustach.



Tymczasem, pan Hektor wyprostował się na przydzielanym swym fotelu, dumnie rozdał nozdrza głębiami swemi czerniejące na bladej twarzy i rzekł z chełpliwą, zadowoloną z siebie miną:

— Ten skromny wynik zapisów przewidziałem, panowie. Bądźcie spokojni, mam i na to radę... Kupimy w Berlinie gipsowy odlew, którego z istniejących już posągów, każemy go powlec metalową farbą naśladowującą kolor spiżu i ustawimy go na cokule drewnianym, pomalowanym w żyłki, niby marmur. Przecież nam o trwałość tak dalece nie idzie? Nie zapominajmy, że w Wilnie zaszczyty posypały się natychmiast po uroczystości, w dni kilka. Dla czegoż by dla nas nie miało się to również telegraficznie załatwić... a co potem będzie z pomnikiem? Mój Boże!... Prędzej nabierze cech szanownej starości. Przyszli obywatele Purchawina będą mogli szczyć się, że wystawiono go jeszcze za życia wielkiego męża, zaraz po ostatecznym rozbiórce kraju... a nam, szambelanom i kamerjun-krom nikt godności tych nie ujmie... A co będzie potem? Phi! Après nous le déluge!

— Brawo, kochany wice-prezes! Doskonale! — wołali uradowani Purchawińscy magnaci.

— Nasz prezes Padgulałow — rzekł Larski — powiedziałby: i dioszowo i sierdito \*).

---

\*) i tanio i gniewnie — żartobliwe określenie czegoś jakoby dobrze zrobionego.

— E... e... e... panie Larski, — odpowiedział na to hrabia Kastor — tak zawsze trzeba, bo e... e... e... fundusz grunt, a zaszczytami gardzić także nie można.

— A teraz, panowie, — zawołał pan Hektor — składaam insygnja mojej prezydjalnej godności: dzwonek i ołówek i schodzę w szeregi zwykłych śmiertelników... je m'entends... śmietanki śmiertelników, utytułowanych śmiertelników i proszę łaskawych gości na skromną kolacyjkę... czem chata bogata tem rada... Proszę bardzo!

Drzwi od jadalni otworzyły się na ściężaj, w nich ukazał się Marcin w zmienionych butach i nowych spodniach i wrzasnął;

— Niechaj Jasne idon jeści kolacjen!

Gospodarza blada twarz powlekła się lekkim karminem, a przechodząc około Marcina, jej właściciel nie wytrzymał i szturchnął go pięścią pod bok.

Chata pana Hektora, a raczej najmiłsza jej komnata, jadalnia pałała licznemi światłami, i ustawione na stole kwiaty mieszały swą woń z zapachem wykwintnych potraw i drogich win.

Goście, wchodząc, mile tym widokiem i zapachem połechtani, szeptali jeden do drugiego:

— Niema to jak nasz wice-prezes... to głoowa... On zawsze tak: i wilk syt i koza cała...

\* \* \*

Pan Hektor z Propinaciszek był człowiekiem czynnym; sprawami publicznemi rządził, również ener-

gicznie i arbitralnie, jak własną gorzelnią, miękł tylko wobec urzędników w ogóle, a urzędników akcyzy szczególnie, że jednak, w sprawie pomnika Fryderyka Wielkiego w Purchawinie, nic takiego nie było, do czego by akcyznicy wtrącać się mogli, popchnął ją dzielnie w świat.

Zaraz po kolacji, która przeciągnęła się długo w noc, po zgromadzeniu Rady P. T. R., kazał jeszcze wice-prezes podpisać wszystkim niezmiernie uniżenie zredagowane podanie do władz berlińskich, w którym objawiali ci panowie o swoim zamiarze uczczenia pamięci wielkiego, a pomimo to, tak sympatycznego monarchy. Nazajutrz, nie wrócił do rodzinnych Propinaciszek, zanim nie wysłał prośby i podania do obu stolic. Larskiego uprosił, aby, jako nie należący do inicjatorów wystawienia pomnika, pozwolił pod swoim adresem przysłać z Berlina cennik figur gipsowych i rysunki istniejących w Niemczech wizerunków wielkiego męża, nie wyłączając konnych, bo pieścił się myślą wystawienia konnej figury, jeżeli, zebrany fundusz, wystarczy na to. Larskiego chciał użyć za pośrednika, aby nie zdradzić się przedwcześnie z wyborem materiału, z jakiego posąg ma być odlany.

Załatwiwszy to wszystko, obszedł uważnie rynek Purchawiński, przystając po węglach placu i powołując na pomoc bardzo skromne, drzemiące w sobie, instynkty artystyczne, dla obrania miejsca, gdzie ustawi owo gipsowe narzędzie, którem spodziewał się zdo-

być szambelańskie hafty. Zatrzymał swój wybór na kawałku placu, na którym stojąc, posąg, widziany od wylotu głównej ulicy miasta, ślicznie odbijałby na tle brudnej, obszarpanej ściany starego zajazdu pomalowanej, niegdyś, na blado-błękitną barwę, a to tembardziej, że w miejscu tem wznosiło się wzgórze o łagodnych stokach, utworzone przez gromadzone tam od wieków śmiecia i rumowiska.

W ten sposób można było oszczędzić na wymiarach posągu, bo wyda się tam wyższym, będąc otoczony w około niziną placu. Pan Hektor był dobrym gospodarzem i miał, co się zowie, administracyjną głowę. Dokonawszy tych wszystkich prac, odjechał do Propinaciszek, gdzie musiał podejmować naczelnego urzędnika akcyzy, który mu swoją wizytę zapowiedział. Owo zapowiadanie wizyt było stale umówione pomiędzy dziedzicem Propinaciszek i akcyznikiem.

Larski, przez cały ten dzień, kręcił się około pana Hektora, towarzyszył mu na pocztę, podczas wysyłania podań do dwóch stolic, użył także rady przy wyborze miejsca na pomnik, tak, że pierwszeństwo, oddane pagórkowi śmieci pamiętających, bezwątpienia, czasy rozbiorowe, było właściwie jego dziełem. To zainteresowanie się Larskiego pomnikiem dziwiło nieco wice-prezesa, bo wiedział, że on, w głębi duszy, wcale nie podziela ultra-konserwatywnych przekonań Rady P. T. R.; pomyślał jednak, że dziś, pan Zygmunt żałuje już wczorajszej opozycji swojej



i radby do sprawy pomnika przystać, a powstrzymuje go tylko pewien wstyd z tak nagłej zmiany poglądów.

— Zapachniał nieborakowi tytuł, chociażby kamerjunkra — przemknęło po głowie pana Hektora i postanowił pierwszych kroków nie robić ku niemu, w nadziei, że im dłużej Larski odosobnionym pozostanie, tem grubszą składką będzie musiał swoje nawrócenie opłacić.

— W ten sposób, może i na konną figurę starczy — mruzczał wice-prezes, wsiadając do powozu. — A koń będzie przecież wart szambelana...

W parę tygodni po pamiętnem posiedzeniu pomnikowem, w Purchawinie, przed ganek w Propinaciszkach zatoczył się pocztowy powóz i z niego wysiadł jakiś pan w szarym, zakurzonym płaszczu, a wchodząc do sieni, zrzucił go i ukazał wytrzeszczonym ze zdumienia oczom Marcina wspaniałą, suto haftowany mundur, opasany błękitną wstęgą. Podszedł do lustra, poprawił rude włosy i także, krótko przystrzyżone bakembardy, zdjął z nosa ciemne okulary, przetarł je chustką i znowu starannie na zwykłym miejscu osadził, a zarzuciwszy zamazyście pod pachę stosowany kapelusz ze srebrną kokardą, odwrócił się do zdrętwiałego z uszanowania Marcina i kazał mu, łamaną polszczyzną, oznajmić panu, że

hofrat Wilhelm fon Ferüktenburg przyjechał wprost z Berlina dla widzenia się z herr fon Nudatowitz.

Marcin, z wytrzeszczonemi w dalszym ciągu oczyma, wpadł do pysznego gabinetu pańskiego i jednym tchem recytował:

— Proszene Jasnego, przyjechał jakiś bardzo Jasny, prosto z Burdelina... mówi, że huprat, ci haprat i chce, gdyby naszego Jasnego zobaczyć, a taki ma frak na sobie ze złotem i jakonści szmaten czarno pod pachon... a stał przed lustrem i gładził czub czerwonieńki taki, jak marchewka. Ja nigdy takiego pana nie widział... musi to Jaśniejszy, a nie prosty Jasny...

— Co?... Co?... Co ty bredzisz, ośle jeden? W mundurze? Z Burdelina? Jakiego Burdelina? Haprat?... Ty, gałganie, albo zwarzjowałeś do reszty, alboś się upił!... Co ten pan mówi? Czego chce? Gadajże do rzeczy!

— Proszene Jasnego — bąkał, wystraszony, Marcin. — On chce, gdyby zobaczyć Jasnego... umyślnie z Burdelina przyjechał... Jak Boga kocham mówił, co z Burdelina... a sam -- huprot, a jak nazwisko jego, to ja zapomniał, jakieście niezwyczajne nazwisko... fun, ci fin... lichy jego wie. Gada, że zrozumieć człowieku ni jak nie można...

— Dosyć ośle! Proś go tu! Zaraz!

— Słucham Jasnego!

I Marcin rad, że się od pana wyrwać może, skoczył do przedpokoju i po chwili, z trzaskiem otwo-

rzył drzwi przed gościem, a, pamiętny na niejednokrotnie otrzymany rozkaz oznajmiania głośno o gościach, wrzasnął:

— Pan Huprat z Burdelina!

. . . . .  
— Jestem hofrat Wilhelm fon Ferüktenburg — przedstawił się przybysz po niemiecku, podchodząc z atencją do gospodarza. — Czy z panem wice-prezesem P. T. R., Hektorem fon Nudatowitz, mam zaszczyt mówić?

— Tak jest, panie radco Dworu — odparł zdziwiony pan Hektor, oblekając bladą twarz w wyraz oficjalnej grzeczności. — Niech pan siada... bitte sehr — dodał, mówiąc także po niemiecku, bo wcale nieźle władał tym językiem, będąc dawniej studentem heidelberskiego uniwersytetu. — Czemu zawdzięczam zaszczyt odwiedzin pańskich?

Gość dostał z haftowanego złotem fraka dużą kopertę i, powstawszy z fotelu, który już był przed chwilą zajął, złożył panu Hektorowi głęboki ukłon, mówiąc:

— Wasza Ekscellencja raczy przyjąć akt nadający mu godność szambelana berlińskiego Dworu. Jest to odpowiedź na podanie szanownych członków Rady P. T. R., w którym objawiają zamiar wystawienia pomnika Fryderykowi Wielkiemu in Pürhaffin... Berlin wolałby, aby pomnik ten stanął w nieco znaczniejszym mieście niżeli Purchawin, ale dobrze to rozumie także, że wszyscy lubią ozdabiać wize-

runkami dobrodziejów ludzkości swoje rodzinne miejsca. Wasza Ekscellencja niema pojęcia po jakich to dziurach u nas, w Niemczech, stoją pomniki Fryderyka i Bismarka... sędzę, że im gorzej w Purchawinie chyba nie będzie...

Pan Hektor, tymczasem, to bladł, to czerwieniał i całą siłą woli starał się poskromić burzliwe ruchy swego do głębi wzruszonego serca, nareszcie zaczął bąkać:

— Panie hofracie... wdzięczność moja... dla berlińskich władz... dla pana... mój Boże!... który tak długą, nużącą podróż odbył w celu wręczenia mi... Panie hofracie, zaręczam, że dozgonna wdzięczność granic niema... również oddanie się moje... Berlinowi... tak samo bezgraniczne jak i Petersburgowi...

— Ooo! Ekscellencjo... taka kleinigkeit... niema o czym mówić. O zadowoleniu pańskim nie omieszkać donieść... gdzie należy. A wdzięczność możecie panowie okazać bardzo łatwo. Wzniesicie także pomnik bliższemu naszym czasom bohaterowi, który także nie mało o was myślał. Pewnie Ekscellencja domyśla się kogo mam na myśli? O Bismarku chcę mówić... Ha! Inaczej nie prześcigniecie Wilna, które ma Katarzynę i późniejszego od niej działacza Murawjewa... wy zaś będziecie mieli Fryderyka i Bismarka. Taka już era zapomnienia przeszłości nastąpiła... U nas chodzą pogłoski, że ma w Moskwie stanąć pomnik Batyja, a na Kulikowem polu — aż



trzech naraz tatarskich chanów Złotej Ordy... Jeżeli serjo będziecie reflektować na Bismarka, to mogę wam obiecać pewne subsydja z Berlina... tak, tak... serdeczną pomoc ziomków Wielkiego Fryderyka, tego opiekuna waszego, który nie tylko sam losem waszym szczerze zajął się i dobroczynnie, ale uczynił więcej, bo już wprost macierzyńską opiekę wielkiej monarchini wam zjednał...

I hofrat łzę rozczulenia z oka otarł, a pan Hektor, spojrzawszy na dyplom szambelański, którym pieścąc się, z rąk go nie wypuszczał, czuł, że i jego oczy zwilżają się, a zapał go ogarnia na te historyczne wspomnienia. Duma, że jest sam, poniekąd, w historję wplątany, rozpierała jego cichą, skromną duszę, a nie chcąc dać się zdystansować przez hofrata, pomrukiwał z przekonaniem:

— Tak! O tak! Cała plejada wielkich umysłów i serc, dobroczyńców ludzkości... jasnych gwiazd przyświecających jej pochodowi na drodze... postępu... Niechże pan hofrat raczy w domu moim rozgościć się... Zaraz śniadanko... Co pan hofrat pija? Pewnie piwo lubi? Bier trinken, oo ja... ja wohl. Właśnie nie dawno sprowadziłem parę skrzyń pilznera, bo i my tu, jako wierni przyjaciele, pijamy wasz ulubiony trunek naprzemian z drogą sercu naszych wschodnich panów wódką... i to, jak ja naprzykład, własnego wyrobu.

— Przepraszam Ekscellencję, ale nawet kufelka pilznera przyjąć mi nie wolno. Odjeżdżam natych-

miast, wiozę do waszej stolicy niezmiernie ważne komunikaty natury handlowo - politycznej i mam specjalną, tajną a nie znoszącą zwłoki misję... Jedno, co zrobić mogę, to zabrać ze sobą próbki pańskiego spirytusu... znam w Berlinie kilku fabrykantów przerobów spirytusowych, może więc będę mógł za jednym zamachem usłużyć Ekscellencji nie tylko szambelaństwem, ale i interesikiem... za przyzwoitym kurtażem, rozumie się... Mój Boże! Tak, zaszczyty zaszczytami, a handelek swoją drogą... Teraz świat na tem stoi... wojny o to się toczą...

— Bardzo wdzięczny będę, szanowny hofracie — skwapliwie zawołał pan Hektor, w którego sercu zadrgała struna nie mniej od próżności czuła. — Oto są... bardzo proszę. — Powstał i, wzięwszy parę flaszeczek z oszklonej szafki stylu empire, podał je hofratowi. — A sprawę kurtażu, spodziewam się, iż załatwimy ku zobopólnemu zadowoleniu.

— Muszę już pożegnać pana szambelana — rzekł, powstając, hofrat i, napychając kieszenie świetnie haftowanego fraka flaszkami ze spirytusem, dodał: — Przyczem, pozwalam sobie, ja, skromny hofrat złożyć moje uszanowanie tak wysoko postawionej osobie...

Kłaniał się nisko i tyłem cofał się ku drzwiom, a kurbety jego miały jakiś niezwykły szyk gracji pełen. Pana Hektora uderzył ten widok i na resztę życia w pamięci jego wyrył się, pomyślał, że tak musieli kłaniać się grandowie hiszpańscy przed

Karolem V, lub dworacy stający przed obliczem Króla-Słońce, i szedł, przeprowadzając gościa ku drzwiom, a idąc, na każdy ukłon — odpowiadał ukłonem, starając się naśladować ruchy dworskiego bywalca.

W przedpokoju, w obecności zdrewniałego z podziwu Marcina, ukłony te, rosnąc w grację, przeszły nareszcie w rodzaj tańca, przyczem, trochę już dychwawczy dziedzic Propinaciszek, sapiąc, cudów zręczności dokonywał, jak gdyby tańczył menueta.

Przez szpary od drzwi, wiodących do dalszych pokoi, patrzyli: pani Hektorowa, obecnie już szambelanowa, młody Agamemnon Nudatowicz, szambelanic, panna Pisia, szambelanówna i mademoiselle Emma Bonsec, guwernantka, francuzka, potajemna republikanka. Przez szpary w innych drzwiach baletowi temu przyglądała się zdumiona służba. Ciekawość wszystkich tych widzów napięta była do najwyższego stopnia i jedynie ona hamowała silnie podrażnioną potrzebę śmiechu.

Nareszcie buchnął srebrzysty śmiech panny Bonsec, a po chwili, zawtórowała mu niepohamowana wesołość we drzwiach od kredensu.

Dziwny jakiś wyraz przeleciał po twarzy hofrata, policzki mu nabrzmiały, oczy omal z po za okularów nie wylazły. Pan Hektor, zły i oburzony, wziął to za oznaki gniewu, był pewny, że się niemiec obraził, bo przecież do siebie tych śmiechów wziąć nie mógł... tego jeszcze w Propinaciszkach nie bywało.

Hofrat, jeszcze raz skłoniwszy się niezmiernie głęboko przed szambelanem, pośpiesznie rzucił się ku drzwiom od ganku, a za nim wyleciał gospodarz. Wsiadając już do pocztowej bryczki, gość cofnął się nagle, mówiąc:

— Ale... ale! O małym nie zapomniał! Czy panu szambelanowi wiadomo, że etykieta wymaga, aby nowo mianowany szambelan przedstawił się, jak najrychlej, u Dworu. Przewidując, że Ekscellencja niema wzoru mundurów naszych szambelanów, ośmieliłem się przywieźć go jemu... Oto jest... Według tych wskazówek każdy krawiec mundur panu uszyje... o buty jestem spokojny... w ostateczności, pan sam potrafi je sobie uszyć... Ich empfehle mich... Hab die ehre!

Wskoczył do bryczki. Pocztylion zaciął konie i zwiastun tak dawno i gorąco pożądaných zaszczytów znikł tak, jak przybył... niby senne marzenie.

\*  
\*  
\*

— Co ta głupia Bonsec sobie myśli, Żeńciu? — mówił pan Hektor do żony, chodząc, ubrany w kwiecisty jedwabny szlafrok i czerwone pantofle, po dywanie zaścielającym sypialnię, gdzie pani Eugenia, leżąc w łóżku, piła kawę, ustawioną na lakowym japońskim stoliczku obok koszyka z ciastem i srebrnej maselnicy. — Roześmiała się w nos hofratowi, czem go naturalnie obraziła, bo wyraźnie widziałam, jak wydał ze złości policzki, aż mu się rude wąsy zje-



żyły... Ale co to niemiec, proszę cię?... Jaki to takt i jaka cierpliwość, pomimo słusznego gniewu, który nim miotał, nie zapomniał oddać mi wzoru na szambelański mundur, już na wsiadanem... A jaka tam uprzejmość w Berlinie? Uważałaś, że ten wzór malowany jest akwarelą i to artystycznie malowany, więc widocznie specjalnie na moją intencję... *quelle attention délicate*? Ale, wracając do Bonsec, przyznam ci się, że ta francuzka coraz mniej mi się podoba... Jakaś republikanka zapamiętała... prawdziwa córka rewolucji... jakobinka! Bo i jakże? Wszyscy w domu, nie wyłączając nawet ciebie, tytułują mię szambelanem... nawet ten osieł Marcin stara się wymówić: *excellencia*...

— Stara się, — przerwała pani Eugenja — ale nie udaje mu się to jeszcze, kochany mój szambelanie. Czyż nie słyszałaś, jak wczoraj wieczorem wrzasnął: *proszene Waszej Jelencji, kolacja podana*... *Très peu stylé ce garçon*... doprawdy, wątpię, czy będziemy mogli trzymać go teraz, przy tem nowem, a tak świetnem pomnożeniu zaszczytów naszego domu. Co uchodziło wice - prezesostwu, nie może się zgodzić z szambelańską godnością.

— A no jużć tak. Tembardziej, nie możemy dłużej znosić tej Emmy, tej jakobinki, która za nic nie chce wykrztusić *excellencji*, kiedy do mnie mówi... Zdawałoby się, że to tak trudno. Cóż u licha? Przecież od tego wrzody nie porobią się jej na języku... dość nim miele, a jakoś bezkarnie.

Zamilkł szambelan, a przyśpieszony krok jego i kłapanie pantofli o pięty, zdradzały pewne wzruszenie. Po chwili, podszedł do kominka i, wzięwszy stojącą na nim, już w ramki wstawioną akwarelę, przedstawiającą wspaniałą osobę, ubraną w bardzo fantastyczny i jaskrawy mundur, mruknął:

— Hm! Ta szelma! Niech no ona mię zobaczy w tym mundurze, to chcąc nie chcąc, zacznie mi sypać szambelanami i ekscellencją... Żeńciu, czy ty pomyślałaś o zapasach potrzebnych na jutrzejszą kolację, przecież wiesz, że księżę Rymski, hrabiowie Kastor i Puluks, a także baron zapowiedzieli, że jutro zjeżdżają in gremio winszować mi szambelańskiej godności... Jednak, ja marudzić z podróżą do Berlina nie będę; skoro tylko Jankiel mundur wygotuje, zaraz jadę, bo to widzisz... z tą etykietą żartów niema, gotówem się spóźnić i przekroczyć etykietalny termin... piękna historia!... Ale... czy Pisia wygotowała list do księgarza w Berlinie, aby mi przysłano zbiór etykietalnych przepisów obowiązujących na Dworze?... Muszę je wystudjować... ba! Na pamięć wyuczyć się. Bo jakże? Szambelanowi wypada zgłębić te pełne symbolicznego znaczenia ceremonje... chciałbym, będąc w Berlinie, gruntownie już tę wiedzę posiadać...

Po twarzy pana Hektora przeleciał odbłask głębokiego, wewnętrznego zadowolenia, podszedł do łóżka pani Eugenji i, dumnie rozdymając nozdrza, rzekł z tryumfującym uśmiechem:

— Widzisz, moja żabko, co to rozum? Kiedy obejmowałem majątek po ojcu, przynosił on zaledwie cztery tysiące rubli maximum i byłem sobie zwyczajnym panem Hektorem... dla bliższych — Hekciem. Teraz, mam zaledwie czterdzieści parę lat, a rzeczy tak stoją: widziałś, że za sam las dawał mi Chapaniec osiem kroć sto tysięcy, a ja nie oddam, jak za okrągły milion... i zobaczysz, że da; od kilku już lat jestem wice-prezesem Purchawińskiego Towarzystwa Rolniczego, za pan brat z książętami, hrabiami i baronami, no, a teraz, doczekałem się szambelana! Bagatela?... Nie darmo ta szelma Bonsec wczoraj mówiła: vous verrez, que monsieur mourra dans la peau d'un duc... ona to mówiła przez ironję... Ooo... wiem o tem! Ale coś mi się tak zdaje, że francuzica ani domyśla się, iż, nie chcąc, wyrzekła prorocstwo... Naturalnie, jak kto ma taką głowę, to inaczej być nie może!... Tak, Żeńciu, w czterdziestkę — szambelanem, wice-prezesem i milionerem, to niezgorzej... Widzisz, do czego prowadzi oddawanie pierwszeństwa rozumowi przed uczuciem? Ba! Uczucia?... Ce n'est pas ce qui m'étouffe!

— Ależ, mój kotku, — przerwała pani Eugenja rozpromieniona, czule na męża spoglądając — gdybyś nie był tak rozumny, to bym za ciebie nie poszła... Ooo! Wiedziałam co robię.

— Niechże pani szambelanowa raczy mi dać rączkę swoją do ucałowania — rzekł na to z galan-



terją pan Hektor, zbliżając się do łóżka z gościem, którego nauczył się od berlińskiego hofrata, iście dworskim gościem, jak mu się zdawało.

Pani szambelanowa nie tylko raczyła podać rączkę, ale dość chudem ramieniem swoim objęła mężowski kark i przytuliła szambelańską głowę do swego łona, tłumacząc mu, że brak altruistycznych uczuć nie wyklucza czułości małżeńskiej, której wybuchy zdarzają się na najbardziej nawet etykietalnych dworach... dla czegożby szambelański dwór w Propinaciszkach...

I nastaly chwile, w których szambelańska para, pod wrażeniem wewnętrznej radości, co dusze ich wypełniała po brzegi, zapomniała o tem, że on był dyspeptykiem i co lata do Karlsbadu jeździć musiał, a ona sztucznie wypełniała braki kobiecej urody, której, tak łaskawe skądinąd na nich nieba, poskąpiły posażnej pannie Eugenji...

.....

Kiedy szambelan opuścił sypialnię szambelanowej, powziąwszy wspólnie z żoną postanowienie, że skorzysta z jazdy do Berlina i, po prezentacji u Dworu, poszuka guwernantki niemki, na miejsce Emmy jakobinki, pani Eugenia zadzwoniła i, wchodzącej pokojówce, rozkazała:

— Poprosić pannę szambelanównę do mnie.

A kiedy piętnastoletnia panna Pisia, posłuszna wezwaniu, stawiała się, matka spytała ją:



— Pisiu, czy ty wytłumaczyłaś Janklowi, które hafty ma przyszyć na kołnierzu, a które na połach szambelańskiego fraka twojego ojca... Strasznie boję się, aby ten głupi żyd, który pewnie nigdy w życiu takiego munduru nie tylko nie szył, ale i nie widział nawet, nie nawarzył tam kaszy z temi haftami... To by dopiero była piękna historia tam, w Berlinie... kolosalny skandal... gotowiby w gazetach pisać.

— On, mamó, mówi, że zawsze szyje mundury dla sprawnika i stanowego... obiecuje, że zrobi dobrze...

— Moja Pisiu, — odparła matka z uśmiechem politowania — jak na szambelanównę naiwna jesteś... Gdzie Rzym, gdzie Krym... Sprawnik, stanowy, a szambelan... pomyśl tylko, mon enfant. Tu bats la campagne, Pisiu... a jednak, szambelanówna powinna... — i znów uśmiechnęła się błogo na dźwięk cudnej harmonji, zawartej w słowie szam... be... la... nówna.

Podczas, gdy Pisia odbierała pierwsze lekcje etykiety, pan Hektor, ubrawszy się, szedł własną osobą do oficyny, gdzie Jankiel szył mundur. Chciał dozorować osobiście tej delikatnej roboty. Od czasu odwiedzin hofrata fon Ferüktenburg, świeżo upieczony szambelan tak pogąrzył się w rozpamiętywanie swojej wielkości, że zaniedbał nawet gorzelnię.

Idąc przez podwórze, spotkał syna swego, szambelanica Agamemnona, vel Gapcia, jak go zwano

w codziennem, nie etykietalnym życiu. Dwunastoletni Gapcio, napatrzwszy się na robotę Jankla i nasłuchawszy się o przyszłej prezentacji ojca w Berlinie, zabawiał się odtworzeniem tej sceny. Złapał domowego mopsa „Wincika“, ubrał go we fraczek z czerwonej szmaty skrojony i uszyty przez made-moiselle Bonsec, na wzór tego, nad którym, w oficynie, pocił się Jankiel, włożył mu na głowę stosowany kapelusz ze złożonego papieru, z pióropuszem zielonej trawy u wierzchu i kazał mu służyć przed sobą, podczas, gdy przemawiał do niego, udając monarchę.

Pan Hektor trafił właśnie na chwilę, kiedy „Wincik“ z kwaśną miną, marszcząc swój czarny, pofałdowany pyszczek, wypukłemi, jak czarne gałki, oczyma wypatrywał z ukosa stosownej chwili, aby mógł drapnąć. Z całej jego postawy i miny wyraźnie było widać, że posyła do wszystkich djabłów swoje chwilowe szambelaństwo i prezentację przed swoim władcą Gapciem, który, przyprawivszy sobie sztuczne wąsy z kłaków i zadzierając je ku górze, prawił poważnie:

— Cóż ty sobie myślisz, marny szambelanie ja-kiś? Jak śmiesz stawać przedemną we fraku i kapeluszu, a bez spodni... Przecież, mój tatuś, szambelan, będzie miał śliczne spodnie ze złotym, szerokim lampasem. Winciku, łobuzie, zachowujesz się nie jak porządny szambelan, ale przypominasz mi raczej tego murzyńskiego króla, którego wizerunek

jest w nowej książce podróży, co ją na urodziny dostałem... Pamiętasz? Pokazywałem ci go, bo on również śmieszny, jak szambelan...

Dalej mówić nie mógł. Uczuł, że ucho jego ujęły jakieś twarde kleszcze. Po tem wrażeniu poznał ojcowskie palce, a po chwili, usłyszał jego grzmiący głos:

— Błaźnie jeden! Będziesz mi tu ośmieszał godność szambelańską i dworskie obrzędy? Pewnie mademoiselle nauczyła cię tych figli? Ale ja ci ten jakobinizm wybiję z głowy! — i potrząsał uchem imiennika króla królów. — Pamiętaj, że się nazywasz Agamemnon Nudatowicz i że jesteś wice-prezesowiczem, przyszłym dziedzicem gorzelni... ba... całych Propinaciszek, bo Pisia dostanie tylko czter-nastkę prawną... No, i szambelanicem, błaźnie! Słyszysz? Szambelanicem! Ruszaj na lekcję do pana Gimnazikowa! Umiesz przedrwiwać szanowne rzeczy, a nie wiesz, gdzie pisać trzeba *jat'* a gdzie *je*... gdzie *i* wośmiericznoje, a gdzie — diesiatiericznoje\*)... No, ruszaj! A żwawo!

Puścił szambelanicowe ucho, kopnął nogą Win-cika aż ów zaskomlał i podążył dalej, ku oficynie, myśląc:

— Czy całe Propinaciszki z gorzelnią i milio-nowym lasem dostaną się Agamemnonowi po dzisiej-

---

\*) Dwa gatunki litery *e* oraz dwa gatunki litery *i* w ro-syjskim alfabecie, które niewiadomo po co istnieją, bo wymawiają się identycznie jednakowo.

szych czułościach małżeńskich... to pytanie? Ba! A chociażby nawet? ...Wystarczy na dwóch. A nie? To majorat ufunduję... szambelanowi nie odmówią...

Myśl o majoracie zmieniona została przez poważne zagadnienie: czy lampas u spodni trzeba przyszyć na samym szwie, czy obok niego, a w takim razie, czy na przedniej części nogawic, czy na tylnej, bo na wzorze, pozostawionym przez hofrata, nie dość wyraźnie to widać.

„Wincik“, tymczasem, rozwinąwszy swój zwykle w obwarzanek zwinięty ogon i schowawszy go pod siebie, zmykał co tchu do ulubionej sobie garderoby, wlokąc za sobą poły czerwonego, szambelańskiego fraka, a Gapcio, widząc to, szedł na lekcję i machinalnie powtarzał część zadania łacińskiego, na dzisiaj, przez pana Gimnazikowa, wyznaczonego:

— Sic transit gloria mundi...

\* \* \*

Wice-prezes P. T. R., szambelan, o ile wszystkim i jemu samemu zdawało się, dziedzic Propinaciszek z gorzelnią i przyległościami, pan Hektor Nudatowicz, wyjechał do Berlina już od paru tygodni i jeszcze nie wracał. Nawet listów od niego nie było.

Ilekróć Marcin, wnosząc na srebrnej tacy korespondencję świeżo z poczty przywiezioną, zapytywał panią szambelanową:



— Proszene Jasnej szablonowej, ci jest już list od naszego Jasnego Jelencji, ci prędko już z Burdelina powróci? Już dwie niedzieli minąwszy, jak Jasny pojechał i jak niemà, tak niemà.

Szambelanowa flegmatycznie odpowiadała:

— Głupiś, mój Marcinie. Takie dziwolągi wygadujesz, że ktoś niewtajemniczony, nie zrozumiałby wcale... Radzę ci nauczyć się tytułów należycie, bo inaczej, nie będziesz mógł pozostać kamerdynerem nie tylko u szambelana, ale nawet u marnego kamerjunkra.

— Uczeń sien, proszene Jasnej szablonowej... mam wypisane... Jan, kredencierz, wypisał dla mnie Rankami, kiedy jeszcze czwarta nie biwszy, wstajen i uczeń sien... ale nijak nie wymówien.

— No dobrze... dobrze, staraj się... bo kiedy Jego Ekscellencja powróci, to będzie źle... a teraz, możesz odejść.

I szambelanowa, przepatrując pocztę i widząc brak listu od męża, pocieszała się myślą:

— Point de nouvelles, bonnes nouvelles.

Niekiedy, sąsiedzi, ciekawi losów swego wiceprezesa, duszy P. T. R., dowiadywali się do Propinaciszek. To hrabia Kastor, lub hrabia Poluks, czasem obaj razem, to znów ksiązę Rymski, albo kawaler orderów Rogmund wysiadali przed gankiem z uherhowanych, błyszczących powozów i pytali otwierającego portjery Marcina:

— A co? Wrócił pan szambelan?

— Nie... jakości nie słyhać. Jasna Jelencja siedzi jeszcze w Burdelinie.

— A pisał?

— Chto jego wie? Jasna szablonowa powiada, co nie.

I radcowie P. T. R. szli pocieszać słomianą wdowę. W miarę, jak czas upływał, pytania ich były coraz natarczywsze, pociechy coraz potrzebniejsze. Zwolna, zgorzenie z tak przedłużonej fugi ogarniało Purchawińską okolicę. Zaczynano szemrać:

— Il nous tient le bec dans l'eau... czy słyszane rzeczy? Puścił P. T. R. i nas w trąbę i stanął tam na czynną służbę... Ha? Lepsze szambelaństwo, niż Purchawińskie wice-prezesostwo!

Wkrótce jednak, kiedy i listy w dalszym ciągu nie nadchodziły, obawa zaczęła unosić się nad dworem i gorzelnią w Propinaciszkach i nad Purchawińskimi radcami. Sprawy zalegały, kwestja balotowania nowych członków P. T. R. nie cierpiała zwłoki, a tymczasem prezes Padgulałow siedział w Petersburgu, a wice-prezes szambelan, w tak interesującej chwili, jak w wodę wpadł.

Zebrało się nareszcie posiedzenie Rady Towarzystwa i wydelegowano hrabiego Kastora, aby jechał do Berlina i tam dostał języka o losach ojca P. T. R., bo radca tajny Padgulałow był tylko jego ojczymem. Na wyjeźdnie szanownego delegata odbyło się okolicznościowe śniadanko, takie, jak-to

radcowie P. T. R. umieli je urządzać, aby ich czasem Wilno nie zawstydziło.

Larski, rozczulony, wołał do hrabiego Kastora:

— Niechże hrabia powie tam szambelanowi, że osieroceni tutaj czujemy się, że jesteśmy jako stado baranów bez pastucha, że dusze nasze tęsknią do tytułów, które on i dla nas wyrobić obiecał, a oczy nasze spragnione widoku posągu, który podniesie nasz Purchawin do rzędu światowej sławy grodów. Niech mu tam wielkoświatowe zaszczyty nie obrzydzą swoich domowych, rodzimych, Purchawińskich kadzideł... Przecież nikt mu tu ich nie szczędzi... que diable? Tu, w domu, o miedzę ma swego księcia, swoich hrabiów, swego barona i kawalera... Cóż on u licha lepszego znajdzie w Berlinie? Niech hrabia jedzie w dobrą godzinę i przywozi nam naszego Ulisesa! Niech żyje hrabia Kastor!

— Niech żyje! Niech żyje! — wołała Rada P. T. R. podniecona burgundem i truflami... prawdziwymi truflami z Perigord.

— E... e... e... ślicznie dziękuję szanownym kolegom za dowód zaufania i powierzenia mi zaszczytnej a delikatnej misji. Bądźcie panowie pewni, że całej e... e... e... elokwencji mojej użyję, ażeby naszego Ulisesa, jak pięknie wyraził się pan Larski, wyrwać z objęć zdradliwej Calypso... Ale, za cóż ja mam ponosić sam jeden kosztą podróży, którą odbywam pro publico bono... Proszę o wyznaczenie z kasy P. T. R., lub z pomnikowych sum fun-

duszu na drogę i pobyt w Berlinie, bo e... e... e... fundusz grunt.

Miny radców wydłużyły się, lecz nie było co robić. Urządzono tajne głosowanie i z wielką forsą, po kilkakrotnych nieudanych próbach, żądany fundusz uchwalono, pomimo, iż silnie nadszarpywał skromne zasoby kasy P. T. R.

Książę Rymski z boleścią w głosie oznajmił:

— Dziurę tę będziemy zmuszeni załatać, albo uszczuplając, i to znacznie, fundusz śniadaniowy naszego Towarzystwa, lub też, odkładając ad calendas graecas projektowaną wystawę.

Hrabia Kastor odpowiedział na to, rozwodząc rękami stanowczo:

— Ha! Cóż panowie chcecie? E... e... e... fundusz grunt.

Tegoż dnia wieczorem, hrabia Kastor, przeprowadzony na stację kolei przez całą śmietankę P. T. R., kurjerem odjechał do Berlina.

\* \* \*

Po Purchawińskim powiecie lotem ptaka rozleciała się wieść o powrocie z Berlina hrabiego Kastora. Sąsiedzi latali jedni do drugich, zapytując, czy powrócił sam, czy też z szambelanem. Większość członków zwyczajnych P. T. R., nie mających, z powodu plebejskiego swego pochodzenia, wstępu do koła Rady, złożonego z patrycjuszów, podsyłali żydków, aby interwiiwowali Marcina w Propinaciszkach.



Lecz pejsaci posłowie za każdym razem słyszeli jego zagadkową odpowiedź:

— Ci siedzi Jasna Jelencja w Burdelinie... ci już wyjechawszy z niego... chto jego wie? Wiadomo tylko, co zdrów i chce, gdyby starszon rangen dostać, bo jego zrobili tylko jakimści szablonem, a Jasny chce, gdyby być Kamerdynerem...

Nic nie pomogły kusicielskie kubki, które mu żydki podsuwali w pięknej karczmie, zdobiącej więksi wygon w Propinaciszkach. Marcin skrupulatnie wypijał wszystko, przysparzając swemu panu dochodu, lecz ciągle odpowiadał toż samo:

— Abo w Burdelinie siedzi... abo dzieindziej, abo przyjechawszy z hrabion Kastratem i nie pokazuje sien, bo czeka Kamerdynera, co by niepowstydzić sien.

Żydki nareszcie zmiarkowali, że Marcinowi zabroniono gadać i donieśli o tem swoim mocodawcom. To jeszcze zaostrzyło już i bez tego silnie rozbudzoną ciekawość. Byli tacy, którzy uczuwali tak zwaną schaden-freude i cieszyli się na myśl, że siłą okoliczności, P. T. R. będzie musiało przystąpić do obioru nowego wice-prezesa, a że ponieważ dawniej, szlachcic bywał do korony zrodzony, więc teraz, pomimo, iż czasy zmarniały jakoś, wolno było potomkom tych dawnych kandydatów do tronu mieć pretensje przynajmniej do wice-prezesostwa. Ambicje obywateli Purchawińskiego powiatu urosły niepomierne. Gruchnęła wieść, że, poprzedzone posiedzeniem Rady, ma być zwołane ogólne nadzwyczajne

czajne zgromadzenie wszystkich członków P. T. R. Lubiano te ogólne zgromadzenia, oczekiwano zatem tego dnia w obszernej okolicy z wciąż rosnącą, do gorączki dochodzącą niecierpliwością.

I w rzeczy samej, w chmurny, listopadowy poranek, wlokąc się po błotnistych ulicach Purchawina, zajeżdżały przed lokal, gdzie gnieździło się P. T. R. powozy księcia, hrabiów Kastora i Poluksa, barona i kawalera Alfreda Rogmunta. Nawet szaraban Larskiego, zaprzężony dzielną czwórką odmastków, wpadł z brzękiem grzechotek pod wsparty na filarach podjazd tego, *sui generis*, sanhedrynu.

Kiedy wszyscy zasiedli w sali dużej, lecz niskiej i niezmiernie poważnie a uroczyście urządzonej, tak, że przypominała izbę sądową, przystąpili członkowie Rady do obioru prezydującego, wskutek płaczelivej przemowy księcia, który oznajmił, że patrycjusze P. T. R., czując głęboko swoje smutne sieroctwo, widzą się zmuszeni innego przewodnika szukać.

Tajne głosowanie, jak zwykle, żadnego skutku nie osiągnęło. Wszystkie gałki były niezmiennie czarne... każdy zdobył tylko jedną białą... swoją własną. W końcu, obrano przez aklamację księcia Rymskiego, który, po długiej i kwiecistej dziękczynnej przemowie zaznaczającej, iż czuje się szczęśliwym, że nareszcie uznano jego osobę, jako godną piastować przynajmniej ten chwilowy, na jedno posiedzenie, urząd prezydjalny, wezwał hrabiego Kastora do zdania sprawy z misji swojej.

Hrabia Kastor powstał, wzruszony, wypił szklanekę wody, dla mówcy przygotowanej, aby uspokoić ruchy serca i krwi zawsze nim miotające, kiedy musiał publicznie przemawiać i rozpoczął w te słowa:

— Panowie! E... e... e... Panowie! Hm!... Hm!... Odyseja moja rozpoczęta pod świetnymi auspicjami, gdyż, w skrytości serca, żywiłem, panowie, nadzieję, iż pod skrzydłem naszego kochanego wice-prezesa wcisnę się także do Dworu... a któż by z was, panowie, tej samej nadziei nie pieścił?...

— W takim razie, musiałby hrabia zwrócić fundusze podróżne z kasy P. T. R. asygnowane mu, bo misja zesłaby na drugi plan, a interes osobisty stałby się głównym objektem — poważnie zauważył Larski.

— E... e... e... chociaż, jak panowie dobrze wiecie, zawsze trzymam się zasady, że e... e... e... fundusz grunt, — ciągnął dalej delegat — gdyby nadzieje tajemne ziściły się, z przyjemnością zwrotu tego dokonałbym... Ooo... panowie, sfery dworskie wywierają l'attraction de l'abîme... Otóż, zaraz po przybyciu do stolicy sąsiedniej monarchji, zająłem się odszukaniem naszego wice-prezesa.

— Szambelana — zauważył książę — prezes. — Tytuł większy, zdobiący osobę, powinien zawsze być wybrany z pomiędzy innych mniejszych, tejsze osobie przysługujących... Umniejszać godności nie wolno! — dodał stanowczym tonem, obrzucając zebranych poważnem spojrzeniem, trochę uroczystem.

— Szanowny prezesie - książe e... e... e... czy mam powiedzieć książe - prezesie?

— Książe - prezesie, będzie poprawniej — odparł Rymski.

— Książe - prezesie! Z umysłu użyłem w tym wypadku tytułu mniejszego... Cierpliwości, a zobaczycie, panowie, dla czego. Nie wiedząc, w którym hotelu wice - prezes zatrzymał się, miałem tylko jedną drogę, to jest, w jakikolwiek sposób zahaczyć o sfery dworskie. Listów polecających nie miałem żadnych, po głębszym zatem namyśle, obrałem drogę interwju... po następnym, jeszcze głębszym namyśle, obrałem do interwju osobę mistrza ceremonji, bo przecież, nasz wice - prezes musiał się o niego oprzeć w interesie, z jakim do Berlina jechał... Zdaje mi się e... e... e..., że logicznie rozumowałem?

— Ależ naturalnie! — odezwano się.

— Czyby jednak hrabia nie mógł skrócić preliminarja opowieści i prędzej ad rem przystąpić? — rzucił, gorętszy od innych, pan Alfred, kawaler orderów.

Książe - prezydujący zadzwonił gwałtownie, mniej wprawnie jednak, aniżeli to robił pan Hektor i zawołał:

— Za pozwoleniem! Nie dawałem panu głosu! Przekraczasz pan regulamin! Wzywam pana do porządku!... Jakże tak delegat może rzecz zawią i poważną opowiedzieć ot tak, fiut... fiut... fiut i już? Powoli, cierpliwie, po nitce do kłębka, dowiemy



się o wszystkim... tembardziej, że niema czego tak śpieszyć... przewiduję smutne awantury — i wznioł oczy ku sufitowi, z którego parę długich nici pajęczych zwieszało się, falując, aż nad stół, w około którego zasiadał areopag Purchawiński, co widząc, książę pomyślał:

— Jeżeli tylko, jak mam tego niepłonną nadzieję, zostanę wice-prezesem na miejscu tego kochanego Hektora, to zaraz wypędzę tego próżniaka Pawełka woźnego... łajdaczysko, nawet pajęczyn obmieść nie może i ma tu P. T. R. kwitnąć i wraść w powagę?.. Hm! Już to rządy tego Hektora?..

— Delegat, hrabia Kastor ma głos — rzekł donośnie.

— E... e... e... wyobraźcie sobie panowie, że mistrz ceremonji nie przyjął mnie... Nie przyjął, pomimo, że posłałem mu moją kartę, na której en toutes lettres, czarno na białem stało pod hrabiowską, o dziewięciu gałkach, koroną: le comte Castor de Pyszno-Pyszniwicz, premier conseiller et délégué de la P. T. R. à Pourchavine... Ha! Nie było co robić, udałem się do pomniejszych figur. Żle trafiałem. Interwiiwowani przezemnie urzędnicy nic mi objaśnić nie mogli. Tytuły i nazwisko wice-prezesa były im zupełnie nieznanne, a prawdę ich słów stwierdzały szczerze zdziwione ich oblicza, gdym im opowiadał o naszych zamiarach pomnikowych, o naszym podaniu do Berlina wysłanem, o nominacji pana Hektora szambelanem i jego podróży

w celu przedstawienia się u dworu, jako nowo-mianowany dygnitarz... Nikt nic nie wiedział, wszyscy zaklinali się, że pierwszy raz o tem slysząc... niektórzy uśmiechali się jakoś dziwnie, co mi dawało do myślenia... Złe chwile spędzałem, wieczorami, w samotności apartamentu, który w pierwszorzędnym hotelu zająłem... nawet wcale niegorsze, jak na niemiecką kuchnię, kolacje przekropione zupełnie przyjemnem Johanisbergerem, rozchmurzyć mię nie zdołały... Nareszcie, któregoś dnia, trafiłem na urzędnika, który wiedział o naszym podaniu i dowodził, że je, sans autres formes de procès, wrzucono do kosza, nie przypisując mu żadnego znaczenia i biorąc je za niesmaczny jakiś żart, spowodowany trybulacjami posągu Fryderyka Wielkiego w Ameryce. Pan ten skierował mię do naczelnika swego, o którym sądził, że będzie mógł dać mi wskazówki o losach naszego wice-prezesa.

...Że hrabia Pif fon Pafsztejn jest wyższym urzędnikiem, wyfrakowałem się, idąc do niego... no, i przyznam się tu, przed wami, panowie, w pokorze ducha, że, prawem kaduka właściwie, bo nasze władze są tak skąpe, niestety, na ordery, wsunąłem do pętelki u klapy fraka kawałeczek czerwonej wstążeczki... Mea culpa... mea maxima... Ale, kto z was, panowie, bez grzechu, niech rzuca na mnie kamieniem!... Otóż, wstążeczka swoje zrobiła. Przyjął mię grzecznie, tylko uważałem, że był... jakby to powiedzieć? No, zanadto wesół, gdy

mi opowiadał historję wice-prezesa... a historja — to, panowie, która prędzej łzy z oczu wycisnąć może, aniżeli do śmiechu pobudzić...

Tu, hrabia Kastor przerwał opowieść i, sącząc po kropli wodę ze szklanki do ust, spoglądał z ukosa na kolegów i napawał się konsternacją wymalowaną na twarzach słuchaczy. Wytrzymałszy ich tak dłuższą chwilę, bo po nauczce, którą książę-prezes dał przed chwilą kawalerowi orderów, nikt nie śmiał mówcy przynaglać, ciągnął dalej:

— E.: e.. e.. tak, moi panowie! Pożałowania i łez godna awantura, chociaż nie na Zielonym moście w Wilnie odbyła się... Wyobraźcie sobie panowie, że wice-prezes, chcąc widocznie wywołać kolosalne wrażenie, nie udał się do żadnych szczebli hierarchji dworskiej, lecz, podczas galowego przyjęcia u Dworu, zajechał wspaniałą, najętą kareta, wszedł do westibulu, gdzie służba, widząc niezwykle świetny mundur jego i sądząc, że ma do czynienia, co najmniej, z generał-gubernatorem Kamerunu... tak mówił hrabia Pif fon Pafstein... z uszanowaniem zdjęła z niego płaszcz, a on, po chwili, stanął we drzwiach salonu, skąd, w niesłychanych podobno lansadach i kurbetach, puścił się prosto ku osobom, które, jak mu się zdawało, prym w zebraniu trzymały. W kwiecistej przemowie wyrecytował swoje tytuły, nazwisko i posiadane włości, wspomniął o pomniku wielkiego króla, który on, Hektor fon Nudatowicz postawił w Purchawinie i to na wzgórzu, zaczął dziękować

za nominację swoją, poczem, w takichże podskokach, wcisnął się pomiędzy najwyższych dygnitarzy, przedstawiając się każdemu kolejno, dam nie omijając, a dzwonił, podobno, najgłośniej tytułem wice-prezesa P. T. R... co zresztą, tylko zaszczyt nam, panowie, przynosi... oraz koleżeństwem z Padgulałowym i świeżo kreowanymi dygnitarzami Wileńskimi. Osobą swoją zajął niezmiernie wszystkich obecnych. Tłoczek zrobił się w około niego. Dużo osób, a pomiędzy niemi i sam hrabia Pif fon Pafsztain, w sposób niezmiernie wesoły interpelowało go. Podobno pan Hektor odpowiadał bardzo przytomnie i z wielką swadą... Aż po upływie może minut dwudziestu, lub pół-godziny, podszedł do niego jakiś urzędnik w asystencji kilku lokai dworskich i grzecznie mu oznajmił, iż żarty pora już skończyć, bo, za chwilę, monarcha ma wejść na salę... Tu dopiero, pan Hektor zgłupiał, podobno. Chciał protestować, lecz nic nie pomogło... wyprowadzono go, panowie! Sans tambour ni trompette wyprowadzono! I gdybyż tylko wyprowadzono? Ale... wsadzono do powozu i odwieziono do... domu warjatów!...

— Nie może to być!... Do domu warjatów?!... A to dopiero apoteoza!... Co ci niemcy sobie myśla?— wołano gorączkowo, podczas gdy wszyscy radcowie zerwali się z miejsc i, niestuchając rozpaczliwego dzwonięcia księcia-prezesa, krążyli po sali, jak gdyby sami byli kandydatami do obecnego miejsca pobytu swego wiceprezesa.



— To obraza P. T. R.! — wołał księżę, rzucając o stół bezsilny dzwonek.

— Pułapka! — krzyczał baron. — Dają nominację na szambelana! Przysyłają, przez umyślnego posła, wzór munduru! A potem pakują do...

— To jakieś *qui pro quo*, panowie — tłumaczył hrabia Poluks.

— No jakże? I nie wypuścili? — pytał księżę.

— Nie — odparł hrabia Kastor — Poruszyłem, jak to mówią, niebo i ziemię i wszędzie natknąłem się na te same racje. Mówili: śledztwo w toku... niewiadome zamiary... w najlepszym razie cierpi na nieuleczalną a niebezpieczną megalomanję...

— No... a tu znowu, — rzekł dobitnie Larski — o ile słyszałem pomiędzy członkami naszego Towarzystwa, stanowiącemi ogromną większość, za projekt wystawienia tego pomnika zamierzają podziękować mu za wice-prezesowstwo, grzecznie mówiąc... co znaczy: z samego Towarzystwa wyrzucić, nie gorzej, jak go z Berlina wyrzucono!

Cisza zaległa na to poważne i kategoryczne oświadczenie tego *enfant terrible* P. T. R. Miny wydłużyły się, oczy spuściły ku ziemi i księżę cichym głosem spytał hrabiego Kastora:

— Czy hrabia widział tego... nieszczęśliwca?

— Nie pozwolili go odwiedzić. Trzymany jest w sekrecie. Ledwie uprosiłem, że list jego do P. T. R. dozwolono mi zabrać... Oto jest.

Książę przeczytał głośno list, w którym ojciec P. T. R. błagalnie prosił o ratunek, nie tylko członków Rady, patrycjuszów, ale i zwykłych śmiertelników, członków Towarzystwa.

Poczem, chwilowy prezes zamyślił się dłużej i nareszcie rzekł:

— Un homme coulé... jeśli się nie mylę...

Milczenie mu odpowiedziało, bo nikt nie czuł się bez grzechu.

W tem, otworzyły się drzwi i woźny Pawełek wniósł pompacyjnie na tacy urzędowy pakiet. Książę otworzył go, obejrzał na wszystkie strony i rzekł:

— Nasza prośba o pozwolenie wzniesienia pomnika Fryderykowi Wielkiemu w Purchawinie... zwrócona... z napisem: czipucha i biezobrazje\*)!...

— Ooo! — potoczyło się po sali opadającą gamą.

. . . . .

Rada prześwietna rozchodziła się cichaczem z głowami zwieszonemi i bardzo rzadkiemi minami.

Larski, wyszedłszy ostatni, siadał do szarabana i mruczał:

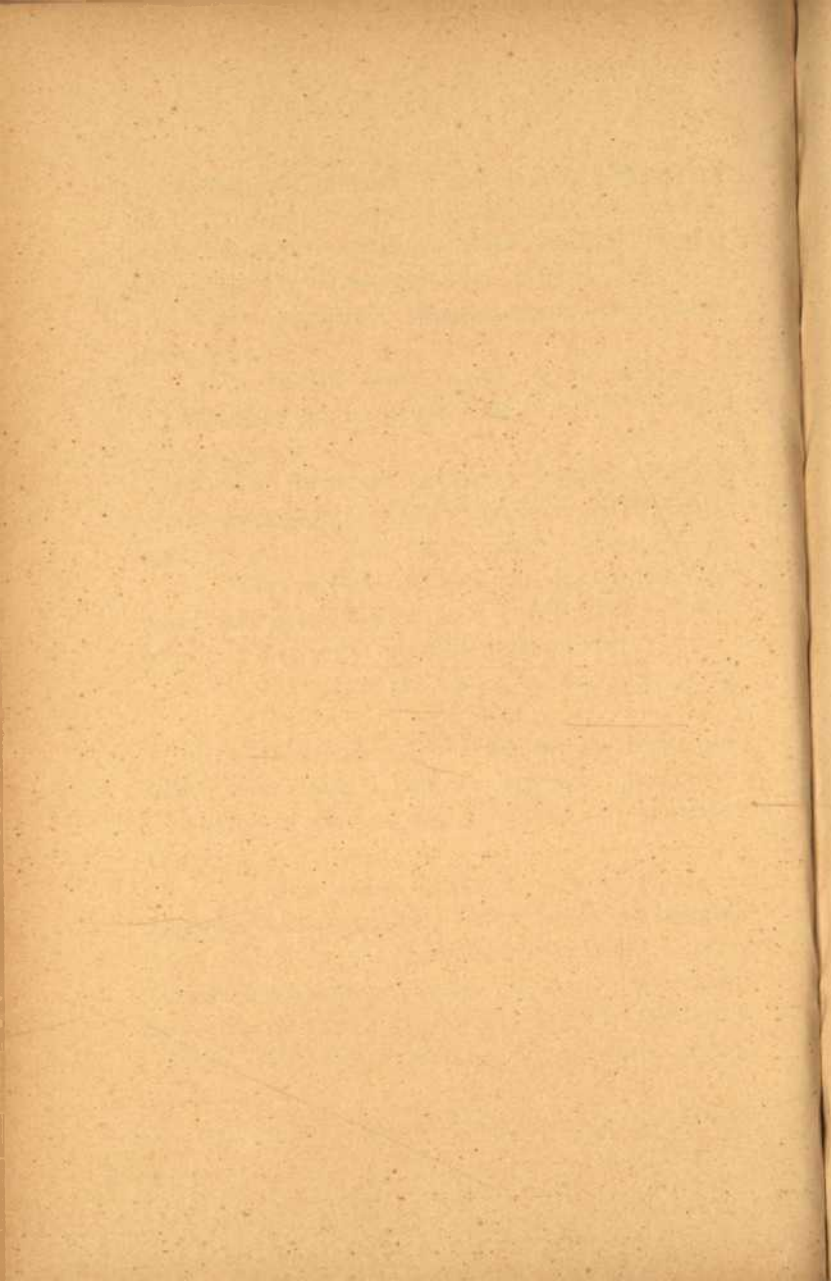
— A tom piwa nawarzył, udając hofrata... Wprawdzie, sam winien. Czemu chciał, jak bajeczna żaba, nadymając się, dorównać tuszy wołu... prześcignąć niezrównanych dotąd artystów... Wileńskich kateryniarzy. Chciał za narzędzie swoich ambitnych planów użyć niesympatycznej, historycznej postaci

---

\*) Znaczy to co polskie: groch z kapustą i potworność.

Fryderyka i okazało się, że pomimo kolosalnej za-  
rozumiałości, sam jest jeszcze... frycem... Ech!  
Dopóki ludziska będą woleli być czemś, niż kimś  
i, per fas et nefas, do tego dążyć... to się im nic  
lepszego, jak dom warjatów, nie należy.

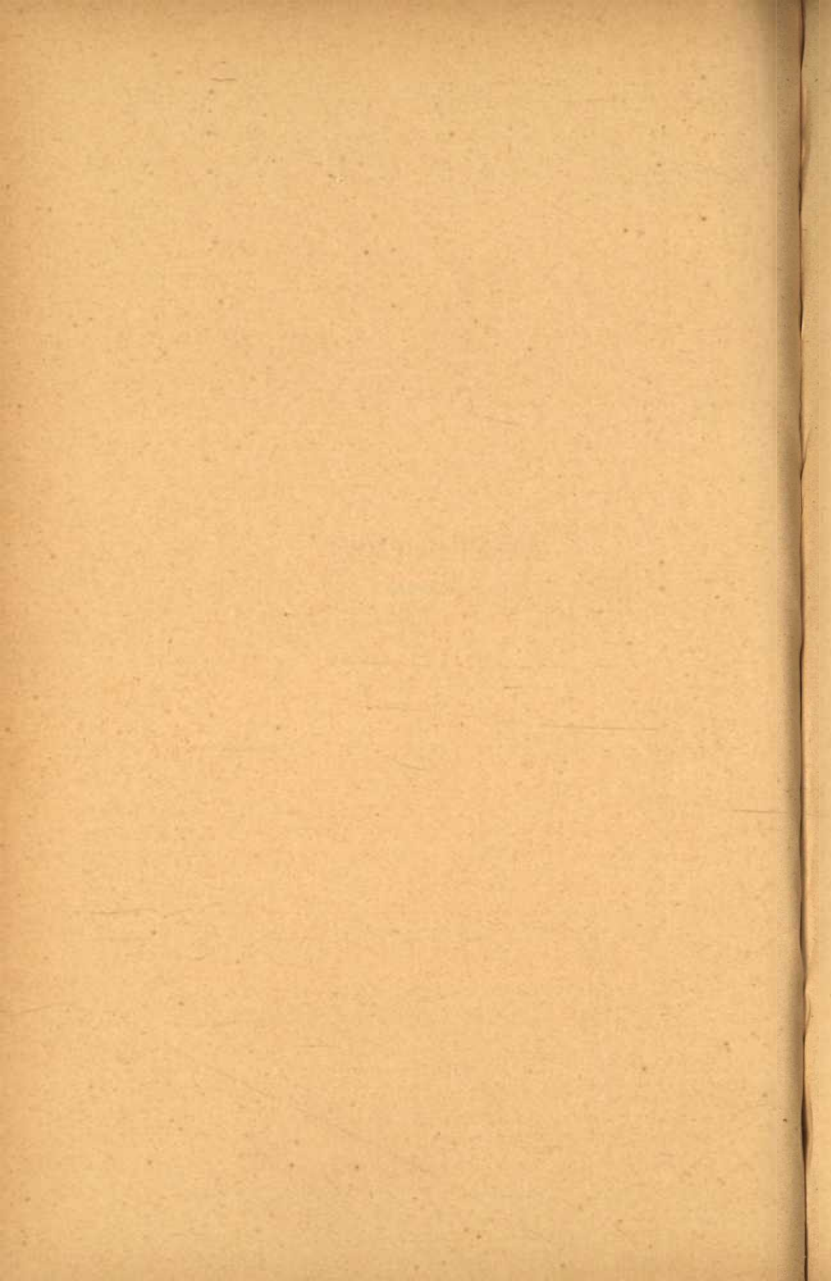
---





TAKŻE NIEMIEC.

Powiatka.



## TAKŻE NIEMIEC.

— Ruszaj Jurko! Zawiń że tam batem po mołojcku! Tak-bo mię wieziesz, niby garnki na jarmark! Tu już noc zapada, a do Kryniczysk jeszcze dobra mila...

— To proszu welmożnoho pana, rjabyj licowyj speniaje wsi koni... Ja zawsze każu, szczo toho rjabocho, to treba wykinuty iz stajni. \*)

— No... no! Złej kucharce fartuch na zawadzie. Palnij no z bata... a pobaczysz, jak rjabyj wiźmet sia! \*\*)

Jurko strzelił z bata raz i drugi, szarpnął lejcem, ściągnął srokatego biczem po tylnych nogach i koczyk pana Piotra Orleskiego, w samej rzeczy, rażno potoczył się po rozbłoconej, jesiennej drodze ukraińskiej, unosząc swego właściciela pod długą, łagodną pochyłość, wznoszącą się ledwo dostrzegalnie pod szare, zamglone i ciemniejące już niebo. Wążka

---

\*) srokaty licowy zatrzymuje wszystkie konie. Ja zawsze mówię, że tego srokatego trzeba wyrzucić ze stajni.

\*\*) a zobaczysz jak srokaty weźmie się.

smuga czerwonego światła zachodu świeciła przed jądącymi, służąc im za drogowskaz, bo w zapadającym zmroku, ciemno szara droga zlewała się już z takiejże barwy zoranemi łanami, które, po bokach, w nieskończoną, zdawało się, dal uciekały.

Nadchodziła ta chwila zmroku, która w stepie bywa gorsza dla woźniców, aniżeli głucha noc. Niebo, pola, droga, konie, wszystko szare, wszystko zlewa się w jednolitą barwę; odróżnić kałużę, lub rowu od drogi nie sposób, wzrok ulega błędnym złudzeniom, bo słabe półcienie to zmniejszają, to znów niepomernie zwiększają przedmioty, zupełnie zmieniając, przytem, dla oka ich naturę. W taki wieczór spotkany pies wędrowny, widziany z odległości kilku kroków, wydaje się nieraz wołem, suchy badył bodiaka \*) — przydrożną wierzbą, ta zaś — kopułą cerkwi, a natomiast, ogromna, głęboka kałuża, pełna mętnej wody, zdaje się być ubitą, gładką drogą. Odróżnić czarnych bruzd zoranego łanu, od kolein wyrżniętych w gęstem, lepkiem błocie drogi — nie sposób.

Jurko już na dobre zaczynał wytrzeszczać swoje siwe oczy, bat coraz częściej pracował, grzechotki i dzwonki bałagulskiej uprzęży donośniej brzęczały, w miarę, jak konie wyciągały kłusa, a pan Piotr coraz natarczywiej pokrzykiwał:

— Pohaniaj Jurko! Pohaniajże busurmene! \*)

---

\*) Oset.

\*\*) Popędzaj Jurku! Popędzaj ze bisurmanie.



Dzięki temu wszystkiemu, w jakie pół godziny, na czerniejącem już zupełnie niebie zarysowały się nieco jaśniejsze sylwetki wiatraków, nieruchomo wznoszących swe skrzydła we mgle wieczornej, która białawym, falującym obłokiem podnosiła się z szerokiego, rozłożystego jaru, wskazując, że tam gdzieś, niżej jest staw o bagnistych brzegach. Pan Piotr uczuł, że powóz toczy się w dół po dość stromej pochyłości i z trudem dojrzał gliniastą ścianę wąwozu, w który wjechał. Wkrótce podrzuciło nim na grobli, koła powozu i kopyta koni zadudniły na moście, zahuczało młyńskie koło u upustu i po chwili, ucichło, resory podskoczyły gwałtownie i sprężyscie na progu bramy, słup światła od ganku, wypadając przez duże okna sieni, przeciął nagle ciemność, nadając klombom i drzewom na trawniku rosnącym, fantastyczne kształty, a migotliwe barwy ich uwiędłym, lub suchym już liściom i z ganku ozwał się znajomy głos gospodarza, Władysława Burzanowskiego:

— Kogoż to Pan Bóg prowadzi w taką ciemnicę... Ha! Ha!.. Po berdyczowskich dzwonekach poznaję kochanego Piotra! Witaj... Witaj Piotrze!.. Jak promień światła, spadasz nam w tę długą noc jesienną...

— No... no! Jak promień — mówił pan Piotr, wysiadając z powozu i idąc przez ganek do szeroko otwartych drzwi, a mrużąc rażone światłem oczy — Nie bardzo ja promienne wieści przywożę! Powiadam ci, Władysławie, wszystko we mnie wre i kipi

i przewraca się... no, ale potem o tem. Jeszczem się nie przywitał... dajże pyska, młodzieńcze!

W dużej sieni rozległy się echem szczere całusy sąsiadów - przyjaciół.

— Chodź!.. chodź, bo i tak już na koniec wieczery trafiłeś. Chodź i opowiadaj, boś mię zastraszył, pomimo, iż wiem, że wrzenie w twej duszy jeszcze tam wielkich rzeczy nie zapowiada... ona do eteru podobna: kipi od byle ciepła...

— Gadaj zdrów, żółtuiu jeden... A niby-to ty nie wybuchasz, kiedy nam te pludry zalewają sadła za skórę... No, wiesz, że ten Bismark?

— Ho... ho! Znowu Bismark? To się nie dziwię, żeś w takie ciemności egipskie do nas jechał wylać swoją żółć w moje przyjacielskie serce... Tego i ja mam na wątróbce. Cóż tam znowu nowego?

Pytał Władysław, prowadząc gościa do jadalni, gdzie siedziały: matka Władysława, pani Jadwiga Burzanowska i siostra jego, szesnastoletnia Ludwisia. Pan Piotr, zaledwie zdołał przywitać się i zasiąść przed resztkami wieczery i filiżanką herbaty, przystąpił natychmiast do obwieszczenia nowin, które przywiózł:

— Wyobraźcie sobie państwo, że to, co wiemy z gazet o łajdactwach Bismarka blednie, niknie formalnie w obec opowiadań naocznych świadków i ofiar tych rugów pruskich, tego bezprzykładnego w naszym wieku barbarzyństwa! Toż-to przypominają się czasy rządów Filipów II i III w Hiszpanii,

kiedy-to wypędzano maurów i żydów... Dzieją się sceny niezmiernej dzikości... Średnie wieki, moja pani — zwrócił się do pani Burzanowskiej — Atylla bicz boży... Czyngischan!.. Ba! Nabuchodonozor, każą się kłaniać... Tegośmy dożyli w środku Europy, w wieku pary i elektryczności... Okropności, powiadam państwu!

Pan Piotr rzucał się na krzesło, czerwony i zasapany, nerwowym ruchem dzwonił łyżeczką w filiżance bez potrzeby, bo cukier dawno już w niej stopniał i coraz donośniej mówił:

— Co to będzie? Co będzie? Za lat kilka, jak potrwa tak dalej, roztopimy się w morzu germańskim, jak, nieprzymierzając, ten oto cukier w tej herbacie!

— Ale cóż się stało Piotrze? — spytał Władysław z twarzą zasępioną, bo i jego zaczynało już porywać oburzenie sąsiada.

— Dzisiaj byłem na obiedzie w Przeniczkach u Lipeckich i znalazłem tam ich krewnego Tomasza Żabickiego... wiecie państwo? Tego Tomka, co to jeszcze za życia ojca swego narobił długów, no, i odziedziczywszy majątek, musiał je spłacać i zrujnował się. Pamiętacie pewnie państwo, że on potem znikł z widnokręgów ukraińskich, tak, że nikt nie wiedział, nawet Lipeccy, gdzie się podział. Owóż tedy, dziś, dowiedziałem się, że urwisowaty Tomek usatkwował się, i poklepawszy trochę biedy po świecie, osiadł w Poznaniu i tam założył sobie coś w ro-

dzaju restauracji - ogródka... Pomysłowy chłopak, urządził tam, jak opowiadał, jakieś tańczące kawy o szóstej rano, na których znakomicie wychodził... No, zmiarkowałem, że było to wszystko mocno demokratyczne i nie zupełnie zgodne ze szlacheckim klejnotem Tomka... ale, cóż robić? Biida mutit' hołod krade \*).

Nie zganiłem mu tego, bo ostatecznie, lepiej wyprawiać tańczące kawy o szóstej rano, aniżeli kraść, a podobno z Tomkiem było już tak kruchło, że innego wyboru nie miał... Dość, moi państwo, że zaczynał on już w pierze porastać, konia nawet kupił... na co mu on był potrzebny do tych tańczących kaw dobrze nie miarkuję, ale mówił, że miał konia... no, niby dowód zamożności i w ogóle, spory już kapitalik jego zakład przedstawiał, kiedy nagle, kazano mu we dwa tygodnie Poznań opuścić, że to obcym poddanym jest i polakiem w dodatku. Tomek nie zdołał tak prędko zlikwidować swego interesu pomimo, iż za bezcen ruchomości swoje sprzedawał... nawet konia. Niemiec zaś, od którego dzierżawił ogród, wytoczył mu proces o niedotrzymanie umowy. Tomek, wstrzymany sądową sprawą, nie mógł opuścić Poznania w oznaczonym terminie, został zatem aresztowany i w najbrutalniejszy sposób odstawiony do granicy, gdzie znalazł się w okropnym położeniu, bo pasport jego nie był w porządku

---

\*) Bieda mąci głód kradnie — po rusińsku.



i rosyjskie graniczne władze żądały od niego znacznej zapłaty za kilkoletnie przeterminowanie, a on ani grosza w kieszeni nie miał. Na dobitkę, żonę i dzieci zostawił w Poznaniu, z bardzo niewielkimi środkami... bo zapomniałem państwu powiedzieć, że się biedaczysko ożenił tam, gdyż, mówi, że nie było sposobu prowadzić zakładu bez niewiasty... z powodu tej kawy pewnie, a że żona i tam zrodzone dzieci, były pruskiemi poddanymi, więc im dano spokój. Obecnie, dostał wieści od żony, że właściciel ogrodu wygrał sprawę i licytuje jej resztę gratów, jako Tomkowe mienie. Dość, że nędza i rozpacz. Tam rodzina bez chleba, tu on, bez zarobku na łasce krewnych i w dodatku ścigany za pasportowe nieformalności... Powiadam państwu, gorzkimi łzami płakał nieborak, opowiadając: I za co? Za co mię zrujnowano, zniszczono, od rodziny oderwano, na nędzę mnie i ich skazano? Com zrobił złego? Pracowałem, jak mogłem, zaczynałem dźwigać się z biedy... O! całą winą moją, żem polak. I tam siedzieć nie mogę i tu mię szarpia... A czy to ja jeden taki? Setki, setki rodzin to samo cierpią.... Serce mi się krwawiło, kiedym tego słuchał. Żal i nienawiść rosły we mnie i codziennie rosnąć będą. Pomyślałem, że my jednak strasznie ciepła woda jesteśmy... A tak! — wybuchnął gwałtownie — Choćby ty Władysławie? Po tem wszystkiem, co z nami wyrabiają, ty żywiesz u siebie niemca, tego starego nie-dołęgę... tego hakatystę Rodikera, jak go czule na-

zywacie, Franca... Czyż nie znajdziesz ogrodnika polaka, a on niech idzie Bismarkowi ogrody zasadzać!

— Panie Piotrze! — zawołała pani Burzanowska — Jakież-to niedołęga nasz stary Franc? Toż on tu, w Kryniczyskach, ten wspaniały i dochodny ogród założył, on go wypieścił i pielęgnuje. Przecież sam pan nieraz mówi, że kiedy był młodym chłopcem to z nieboszczykiem mężem moim zaprawiał się pod jego dozorem do polowania, tu, w lesie, pod samym dworem i polowaliście na wilki w tem samym miejscu, gdzie teraz cieplarnia stoi... Franc hakaty-sta?... Co też pan wygaduje, panie Piotrze? On nas kocha, jak swoich najbliższych... on by już żyć bez nas niemógł, a nam także ciężko byłoby bez niego. Toć on już u nas przeszło dwadzieścia lat mieszka, tak, tak, dwadzieścia dwa, bo Władzio miał piąty rok, kiedy on do nas przybył. Franc Kryniczyska kocha, jak ojczyznę swoją, a już ogród, to zawsze o nim powiada, że Adamowi w raju chyba lepiej nie było, jak jemu w tym ogrodzie...

— Tak... tak, jak Adamowi w raju, tylko, że niemczyisko pewnie za Ewą wzdycha...

— Et, głupstwa pan wygaduje... Niby to polityk z pana, a w głowie to zawsze fiu... fiu... Otóż Franc nie taki, człek jest poważny i stateczny. Niechże mi pan Władzia nie buntuje przeciw niemu, bo my wierniejszego sługi nad niego nie mamy... Rodiker?... On by Bismarka zastrzelił... bombą wysa-

dził.... Co pan wygaduje? Hakatysta?... Nie wie-  
dzieć co!

— To on tak przed panią mówi, a ja pani po-  
wiadam, że każdy niemiec u nas, to odegrzana na  
naszem łonie żmija. Nie dam dwóch groszy, że  
Franc... to szpieg pruski!..

— Panie Piotrze, — przerwała stara dama z urazą  
w głosie — niech pan takich rzeczy nie mówi, wszak  
pan wie, że Rodiker jest nie tylko sługą, ale i przy-  
jacielem naszym. Mąż mój, za życia, kochał go bar-  
dzo. On Władziowi, kiedy był chłopcem, ocalił życie,  
naraził się na śmierć i chorobę, a z pod lodu na  
stawie wydobył go jeszcze żywego.

— Pani łaskawa, a pomimo to wszystko, niemcu  
nigdy dowierzać nie należy... Zresztą, choćby i był  
zacnym człowiekiem, my, u nas, nie mamy nadto  
chleba dla swoich, aby żywić niemieckich przybłę-  
dów... Każdy grosz, każdy kęs chleba powinny na  
korzyść swoich być obrócone, bo nam nikt ze swego  
nie da... a na nasze sąsiedzi łakomi. To trudno, kiedy  
patrzy człowiek na te ciągłe krzywdy, prześladowa-  
nia, nadużycia siły... wiekami trwające, to oburzenie  
najłagodniejsze dusze opanowuje i myśli się, że oko  
za oko, ząb za ząb, to prawo ziemi, z pod którego  
nikt się nie wyłamie, jeżeli pod zębem wroga zgi-  
nać nie pragnie. Smutne to... ale tak jest. Walka  
bezustanna to prawo natury. Biada temu, kto w niej  
ulegnie, bo miłosierdzia nigdzie nie znajdzie, a roz-  
sądek dyktuje, że wroga żywić — to sił mu dodawać.

— A cóż Franc winien, że Niemcy nas prześladowają? — Nieśmiało odezwała się Ludwisia.

— No, już jak i ty zaczniesz się wtrącać — przerwał Ludwisi Władysław, który z czasu dzieciństwa, zachował lekceważenie zdania znacznie od niego młodszej siostry — to mądre rzeczy usłyszymy... Franc Niemcem jest — dodał twardo — Piotr ma rację. W walce życiowej wzdychać i roztkliwiać się nie można, bo zatem idzie upadek nasz, a tryumf wroga... Franc nie winien, że się Niemcem urodził... zapewne, ale czy Tomek Żabicki popełnił zbrodnię, iż go Bóg Polakiem stworzył?... Piotr ma rację, — mówił zamyślony, z brwią namarszczoną i zawziętym wyrazem w jasno-piwnych oczach — bo jeżeli walka i nie jest powszechnem, wszędzie i zawsze obowiązującym prawem przyrody... jeżeli możemy mieć nadzieję, że są w przestworzach świata miejsca, gdzie, zamiast walki, wzajemna pomoc żyjące istoty obowiązuje, że w otchłaniach wieczności były i będą czasy, kiedy miłość i sprawiedliwość wszechwładnie panują, to jednak doświadczenie, bardzo jak dla nas bolesne, uczy, że ani teraz, ani tu, królestwo to boże nie rządzi... Tak, Piotr ma rację. Przedewszystkiem chleb dla swoich!

— Ej wy młodzi... młodzi! — ze smutkiem rzekła pani Jadwiga — Co też wam po głowach chodzi?... Narody mogą się kłócić... zawsze tak bywało, a cóż to przeszkadza ludziom poszczególnym żyć ze sobą w zgodzie i przyjaźni? Bóg przedewszystkiem ludźmi



nas stworzył. Gdyby was mlekiem swem niemka wykarmiła, to choć niemka, byłaby waszą piastunką i, dziećmi będąc, ją byście nadwszystko kochali... Gdyby was od niemowlęctwa po niemiecku mówić uczono, to pomimo, że z krwi polskiej pochodzicie bylibyście Niemcami i kochalibyście wszystko co niemieckie, ani domyślając się, że urodziliście się Polakami... Ja Franca kocham, bo zacny, pracowity, życzliwy i dobry, bez względu na to, czy jest Niemcem, czy byłby Murzynem, lub Chińczykiem... gdyby był Polakiem... więcej kochać go nie mogłabym... Panie Piotrze, ja nawet słuchać takich rzeczy nie chcę. Ciągłe rozmyślacie o krzywdach nam zadanych i tem rozżarzacie w sobie złe uczucia nienawiści i, co za nią idzie, pomsty, a jednak, był ktoś łagodny, cichy i dobry, aż do wielkości... aż do bóstwa, który radził przebaczać wrogom... i świętą prawdę głosił i pożyteczną! Bronić się od napaści trzeba, lecz bronić się miłością, już dajmy na to nie miłością dla wroga, bo to nad nasze słabe siły ludzkie, to w każdym razie gorącą miłością wszystkiego co swoje, bez nienawiści do prześladowców, bo bądźcie pewni, że serce nią nasiąknięte zapomni kochać i swoich... długo żyłam, widziałam to często. Ramię ciemżycieli omdleje, rozbrojone naszą wytrwałością i naszą cierpliwością... Dobro musi zwyciężyć... tylko czas dajcie! Cierpliwości!.. Ale mnie już pora do pacierzy i do snu... Chodźmy, Ludwisiu, pomodlić się, a wy, moi panowie, już jeżeli chcecie koniecznie komu złorzeczyć, to chyba

tylko Bismarkowi i jego naśladowcom, ale nie wszystkim ludziom na prawo i lewo, a dobremu i cichemu Francowi dajcie święty spokój, zarówno, jak on go wszystkim daje, myśląc tylko o ukochanych kwiatach, drzewach i krzewach... Dobranoc, panie Piotrze i tobie Władziu.

Pani Jadwiga z córką wyszły, a Władysław poprowadził sąsiada do gościnnego pokoju na nocleg i długo w noc, zacne ich serca, ale gorące głowy rozpały się rozpamiętywaniem krzywd i upokorzeń narodu, który, po stuletnich cierpieniach, ulegał dalej coraz gorszym prześladowaniom i wszystkie ich ludzkie uczucia krwawiły, odsuwając od nich nadludzkie przebaczenie. Żądza pomsty i odwetu ogarniała ich dusze nie mogące się wznieść do wyżyn wskazanych przez Tego, który wiedział, że zło rodzi zło, a dobro rozbraja i przemienia nienawiść w miłość, a krzywdę w sprawiedliwość. Na dobranoc, pan Piotr powiedział do Władysława:

— Ludźmi, nie aniołami, jesteśmy.

\* \* \*

Franc Rodiker, o świcie, wstał z łóżka i zaczął gospodarować w izdebce, którą zajmował w oficynie Kryniczańskiego dworu. Rozpalił ogień na kominku, przystawił garnuszek z kawą, umył się i ubrał, zanim ona zagotowała się. Potem odkroił kawałek chleba od bochenka, który leżał na białej drewnianej półce, spożył śniadanie i, biorąc piłę, nóż ogrodniczy i sie-

kię, nacisnął czapkę z dużym daszkiem na uszy i wyszedł do ogrodu, mrucząc sam do siebie.

— A teraz, chodźmy chwalić Boga pracą około tworów Jego, w pięknym kościele, który on sam sobie zbudował.

Był to starzec lat sześćdziesięciu przeszło, średniego wzrostu, szczupły, już trochę przygarbiony, lecz o żwawych jeszcze ruchach, o cerze czerstwej i jasnych, siwych oczach zamglonych wiekiem, a może i skłonnością do marzenia.

Kiedyś, bieda wypędziła go z rodzinnych gór, gdzieś z pogranicza Tyrolu i Bawarii, całe życie tułał się po ogrodach, wszędzie zostawiając trwałe pamiątki po sobie, nigdzie miejsca nie zagrzewając, bo był uczonym ogrodnikiem i, skoro tylko powierzony sobie ogród doprowadził do kwitnącego stanu, wszędzie mu dziękowano za służbę, aby przyjąć tańszego zastępcę. Dopóki był młody, marzeniem jego było założyć gdziekolwiek własny swój ogród, zbudować tam malutki domek i osadzić w nim jasnowłosą Cinci, którą zostawił hen... tam w górach. Ale wiadomo, że chłop strzela, a Bóg kule nosi. Pracował Franc szczerze i sumiennie, ale nie był on z tych, co umieją dopracować się dobrobytu. Chociaż skrzątny, za mało był wymagający, zbyt skromny, za nisko siebie cenił, byle czem zadowalał się, obok uboższego od siebie przejść nie mógł, aby ręki nie otworzyć. Należał do rzędu tych, którzy usilnie pracują, lecz z pracy ich zawsze inni, a nie oni, owoc zbierają.

Cinci czekała, długo pisywała dużemi literami proste, rzewne listy. Franc odpisywał, bo żenić się na obczyźnie ani myślał, wszakże on, odchodząc, na zakręcie górskiego wąwozu, z daleka przesłał całusa ku chacie nawpół w śniegu zagrzebanej, u drzwi której stało dziewczę w zielonej spódniczce z czarnemi wstążkami u złotych włosów, i wywijając, w mroźnem powietrzu, kapeluszem ozdobionym cietrzewiem piórem, zapłakany wołał: *Mai dirndl, grüss die Gott!* \*) Któregoś roku dirndl przestała pisywać. Franc długo robił co mógł, aby dowiedzieć się przyczyny milczenia, aż nareszcie otrzymał list koszlawo spisany, który mu oznajmił, że Cinci Winter, bauer-tochter już nie żyje, a ojciec jej, Johan Winter, na stodole, pod szarą skałą, na górskiej polanie przybił tablicę pamiątkową o tem, jak nazywała się i kiedy umarła.

Po tej wieści, Franc, tem bardziej, już o założeniu rodziny nie myślał, tem trudniej mu było zebrać się na własny ogród i od czasu, kiedy ten list odebrał siwe oczy jego zaczęły płowieć i tak mglisto a łagodnie na świat patrzeć, jakby gdzieś, po za nim widziały drogi cień.

Trafił nareszcie do Kryniczysk. Pracowity, zakochany w przyrodzie i jej dziełach, zaraz polubił ten malowniczy zakątek ukraiński, jego bujną, wdzięczną glebę, co stokrotnie najmniejszą pracę wynagradza, las, który mu kazano na park przerobić, stary

---

\*) Moje dziewczę niech cię Bóg strzeże — w narzeczu górali północnego Tyrolu i południowej Bawarii.



sad o spróchniałych drzewach, co go miał odmłodzić wykwintnemi gatunkami. W miarę, jak dużo pracy wkładał w to dzieło swoje, przywiązywał się do niego coraz bardziej, a gdy znalazł w chlebowawcy swoim Waławie Burzanowskim, zacnego człowieka, który ocenił jego umiejętność i pracę i odczuł w nim tęsknotę wygnańca, w żonie jego — troskliwą panią, co mu sercem wywdzięczała się za piękno, którem ją otaczał, a w synku ich, wówczas kilkoletnim chłopcu, Władziu, dopatrzył zawsze tak czarującego dziecinnego uroku, wtedy obudziły się w nim instynkty życia rodzinnego, którego pozbawiły go wypadki życia i całą duszą pokochał Kryniczyska i mieszkańców ich i wrósł tu, pomiędzy nimi, jak jedno z tych drzew, które zasadzał w czarnej, żywej ziemi. Władzia uwielbiał, jak najtkliwsza piastunka, a kiedy, już przy nim, przyszła na świat Ludwisia, nieposiadał się z radości. Skoro zaczęła biegać po ogrodzie, łowił ją, gdzie mógł, okarmiał pysznemi owocami i nieraz, gładząc jej jasne włoski i patrząc w figlarne, modre oczęta, wpadał w zadumę i szeptał cicho: mai dirndl... mai... Cinci...

Władzio chętnie wpadał do jego izdebki, w początku, gdy był jeszcze mały, zwabiony owocami, a w ich braku nawet młodą marchewką, lub grochem w strączkach; później, w miarę jak podrastał — piękniemi kolorowanemi rycinami, z których Franc objaśniał mu nazwiska roślin, ich różnice, do czego człowiekowi są przydatne, lub czem mu szkodę przy-

nieść mogą, a jeszcze później — opowiadaniem starego ogrodnika o dziwach roślinnego i zwierzęcego świata, o tajemniczych drogach, któremi kroczą ich życie i rozwój. W izdebce pachło ziołami i tytuniowym dymem, którego kłęby wiecznie snuły się z dużej porcelanowej fajki, na której wymalowana pąsowa róża rozkładała swoje sto listków i świeże różowe pączki. Tak, niestety, miał ten nałóg poczciwy Franc, kurzył niemiłosiernie tytoń własnej plantacji i niekoniecznie pachnący mile. Fajka wiecznie tkwiła w jego zębach, gdzie rogowy munsztuk cybucha wyżył sobie nawet stałe siedlisko, a łagodny głos ogrodnika przekonywająco, po dziecięcemu prawie, rozwijał przed młodym umysłem Władzia wielkie i czarujące obrazy przyrody, uczył go kochać tę hojną matkę. W lecie, często razem plądrowali po ogrodzie, gdzie stary umiał zawsze coś ciekawego, pięknego, lub smacznego znaleźć. Czasem, swawolny Władzio uciekał od niego, bo potrzeba ruchu chłopięcych nóg była silniejsza od rozbudzonej ciekawości do wiedzy w jego młodej główce.

Pewnego razu, wczesną wiosną, kiedy Franc szedł obierać gąsienicowe oprzędy z drzew owocowych, przyplątał się do niego Władzio, a wysłuchawszy barwnej opowieści o życiu owadów, o ich cudownych przemianach o ich rozdzielaniu się, u niektórych gatunków, na cząstki, z których powstają młode osobniki i o tem także, że w tych zjawiskach tkwi dla człowieka nauka o nieśmiertelności, która nie

jest czczem marzeniem, bo ją widzimy w przyrodzie, oświadczył, że ma ochotę pójść do niezbyt oddalonego stawu i tam przekonać się, czy i ryby są nieśmiertelne, czy w miejscach, gdzie już lód stopniał pod pierwszemi promieniami wiosennego słońca, one już wyskakują na powierzchnię wody tak samo, jak to robiły zeszłego lata. Franc odradzał mu tę wyprawę, tłumacząc, że lód jeszcze trzyma się, ale jest już mokry i nie wytrzyma ciężaru nawet takiego małego Władzia, lecz daremnie, chłopak uparł się i pędem pobiegł w stronę stawu. Zaniepokojony Franc dał pokój gąsienicom i pobiegł za nim tak szybko, jak go na to stać było. Lecz zanim zdołał przeleźć przez parkan, przedrzeć się przez gąszcz olszyny i wikliny, wychodząc z zarośli nad brzeg, ujrzał Władzia już daleko na stawie, jak szedł, chlupiąc i rozbryzgując wodę, co w wielu miejscach na lodzie już stała. Wołał na swawolnika, prosił i do powrotu przynaglał, lecz nic nie pomogło, nawet obietnica oddania mu na własność pięknej tablicy kolorowanej, gdzie przedstawione były liczne gatunki grzybów. W chwili, kiedy już puszczał się na kruchy lód, aby użyć ostatniego argumentu i siłą odprowadzić na brzeg ulubieńca, usłyszał trwożny i przenikliwy krzyk malca i ujrzał go znikającego pod lodem. Rzucił się pędem ku niemu, lecz, o kilka kroków od miejsca wypadku, sam załamał się. Szczęściem staw nie był głęboki i Franc, brodząc po szyję i łamiąc lód wokoło, niezmiernym wysiłkiem zdołał

pochwycić wypływającego, pomiędzy bryłami kry, chłopca. Chwycił go w objęcia i niósł do brzegu, łamiąc wciąż lód, bo z ciężarem dwunastoletniego Władzia na rękach nie mógł na powierzchnię lodu wydostać się. Zaniósł go ociekającego zimną wodą do dworu i, jeszcze nieprzytomnego, oddał przerażonej matce. Sam nie poszedł przebrać się i osuszyć lecz pozostał przy dziecku, stosując różne doraźne środki ratunku, a odszedł dopiero wtedy, gdy go ujrzął już przytomnego, w łóżku, okrytego ciepłymi kołdrami i wesoło uśmiechniętego. Jak często bywa, młodemu nic się nie stało, zimna kąpiel nie zaszkodziła; rozwijające się młode życie ma niespożytą siłę odporności przeciw czyhającym na jego zgubę nieprzyjaciołom, lecz stary, w ciągu kilku tygodni walczył z zapaleniem płuc, goniąc ostatkiem sił, nie uległ zupełnej porażce, lecz zdrowia już nigdy nie odzyskał. Kaszlał coraz częściej i uciążliwiej, pod żebrami i w piersi nieraz bóle uczuwał, swoje jednak robił, ogród na tem nie cierpiał, bo Franc dowodził, że się uczeplił życia tak, iż byle co rady mu nie da.

Po tym wypadku zupełnie przygarnięty został przez Burzanowskich, stał się jakby członkiem rodziny, o każdej porze miał wstęp do dworu, radzono się rozumnego i uczciwego sługi we wszystkich zdarzeniach rodzinnego i gospodarskiego życia. W zimowe wieczory, pan Wacław, wielki polityk, przedstawiał mu stan rzeczy w Europie, a nawet i w innych czę-



ściach świata, próbował obudzić w nim swój zapał, swoje oburzenia i nadzieje, lecz daremnie. Franc zawsze mówił, że jego zdaniem, zbiorowe życie ludzi pozostało w tyle od rozwoju osobników i dobrze oddziać na ich uczucia nie może, bo w niem działają jeszcze dzikie instynkty, które, dzięki Bogu, z poszczególnych dusz już ustąpiły, bo Franc, o ile w ciemnych barwach widział zbiorowe życie ludzkości, o tyle był optymistą w ocenie charakterów i uczuć ludzi.

— Wielmożny panie, — mawiał nieraz — co znaczą polityczne sprawy, od kaprysu złych ludzi nieraz zależne, w obec spraw przyrody, któremi kieruje wielki a dobry Monarcha, na mocy niewzruszonych praw swoich, bez złości, bez kaprysu i słabości... Nie to ważne, co zrobił zły Bismark, a przerobi jeszcze gorszy jego następca, lecz ważne to, jak rosną grusze i jabłonie, jak zwija się kapusta, a zakwitają azalje i chryzantemy...

Nikt z nas nie odgadnie czem zwalczyć partję junkrów w sejmie pruskim, lecz każdy z nas wie jak trzeba rolę uprawić, aby pszenica i buraki piękny plon wydały, co zrobić, żeby nasz piękny park coraz bardziej malowniczo wyglądał... Ot, ja, proszę wielmożnego pana, myślę, że, jak miną święta Bożego Narodzenia, to będziemy musieli przeciąć w gaju modrzewiowym lukę... trzeba tam koniecznie odkryć widok na staw i wiatraki, co tak ładnie za nim, na górze, na tle nieba rysują swoje białe skrzydła...

no, i dostaniemy kilkadziesiąt dobrych kłód modrzewiowych do nowego budynku przy cukrowni.

Pan Wacław zzymnął się trochę. On lubił politykę i konia, strzelbę, a dla odmiany książkę, lubił także kielich w wesołej kompanji i zaloty do damy pikowej, a cukrownię uważał jako rzecz nudną, jako zło konieczne i rad był, jak najmniej o niej myśleć. Otwieranie widoków na stawy i młyny także go nie rozczułało, pozostawiał to nieskończonym naradom żony ze starym Francem. Nadzieja na modrzewiowe kłody trochę żywiej go obeszła, raz, że w lesie nie miał modrzewi, a budulec to dobry, w dodatku zaś oszczędziło-by to lasu, który szanował, nie ze względu na korzyść, ani też dla piękna w naturze, lecz po prostu, jako mieszkanie zwierzyny, bo myśliwstwo stawiał bardzo wysoko.

Szedł więc Franc, nazajutrz po odwiedzinach, w Kryniczyskach, pana Piotra, do ukochanego sadu, aby napotkane, suche gałęzie obcinać. Po drodze spotkał chłopca ogrodowego i posłał go po składaną drabinę, która ułatwiała mu tę czynność. Spinał się po niej, gdziekolwiek dostrzegł pijawkę niepotrzebną, lub martwą gałąź. Właśnie, gdy usilnie pracował piłą u grubego konaru jabłoni, końce gałęzi którego zaczynały przysychać i mruczał przytem przez zęby ściśnięte na cybuchu od fajki z różą, że ta jabłoń, tego lata, za dużo sobie pozwoliła i niepomierną ilość jabłek zrodziła, co też jej i zaszkodziło, jak wszelkie nieumiarkowanie w życiowych czynnościach,

ujrzał idącego Władysława i pomyślał, że to on odbywa zwykle swoje codzienne odwiedziny cukrowni... Oo... bo on więcej dba o nią, aniżeli nieboszczyk pan... Już to, wogóle, jakoś teraz, młodzi więcej myślą o tem, co dochód dać może, aniżeli starzy o to dbali... mają rację... jeść trzeba... ale, skądinąd znów, kiedy się pomyśli, że dwóch obiadów nikt zjeść nie może... dwóch kurt naraz na plecy nie wciągnie... a życie tu... nie wieczne.

— Dzień dobry, mój młody panie! — zawołał z drzewa, skoro Władysław, idąc szeroką drogą przez sad, zrównał się z jego jabłonią. — Do cukrowni? Prawda?... Oo... ciepło tam zaczyna być... kampanja... wojna o pieniądze z maszynami, burakami, cukrem, ze wszystkim i wszystkimi... słusznie... słusznie! Naturę kochać trzeba, ale i walczyć z nią także... tęga ona mamka, ale jak jej piersi nie nacisnąć, to mleko nie tryśnie...

— Dzień dobry, mój stary — burknął Władysław, i, nie patrząc na Franca, poszedł dalej.

Franc mówił do Władysława: mój młody panie, a nie Władziu, jak dawniej, a to, od kiedy on został dziedzicem po śmierci ojca. Władysław zaś, dawnym zwyczajem, zawsze go nazywał „mój stary“.

Usłyszawszy tak chłodne powitanie, ujrzawszy to uchylenie się od zwykłej w takich razach pogawędki przyjacielskiej, „mój stary“, kończąc odpiłowywanie grubego konaru, zamyślił się, zdziwiony i przykro dotknięty. On już ostatniemi czasy zauważył jakieś

szczególne oziębienie Władysława, kochanego Władzia, dla siebie. Daremnie szukał w pamięci, co mógł takiego zrobić, za co by zasłużył na to, ale nie znajdował. Obowiązki swoje spełniał nie tylko sumiennie, lecz z zamiłowaniem... mój Boże! I jakżeby inaczej być miało... już nie dla korzyści państwa... dajmy na to... to przecież, dla własnej przyjemności... Ten ogród taki piękny, taki bogaty... opuścić go? Zaniedbać?... Także! Nie, to się nie pokaże po Francu! Co do stosunku jego do Władzia, tego wychowanka prawie... przecież on go kocha, jak dziecko swoje, ale nigdy niezapomina, że to pan... chlebobdawca, ba! Dziedziczny pan... Tak, on już drugiemu pokoleniu tu służy, w tym kochanym ogrodzie... resztę łez swoich wyplakał po nieboszczyku panu Wacławie... On nigdy nie wykroczył przeciw należnemu panom uszanowaniu. Czyż mógłby to zrobić, on, który całe życie w zależności spędził, żył się z nią, zrósł się... przecież on nigdy na własnym nie pracował... Za cóż więc?

I, pracując dalej żyłastemi rękami, stary pomrukiwał i pokaszliwał, a myślą wciąż szukał, aż skończywszy robotę, którą sam sobie wyznaczył, powlókł się do izdebki rozgrzać się, bo jesienny ranek był chłodny. Idąc klonową aleją i szumiąc stopami w dużych złotych liściach, zaścielających wciąż drogę, pomimo usilnego zmiatania, ze zwyczaju, ciągle schodził na boki, zaglądnąwszy, to do młodych szczepów,



to znów do okuliz tegorocznych, tam poprawił podporę pod starą gałęzią nadpękniętą, ówdzie mruknął:

— Trzeba chyba już zaczynać róże na zimę okrywać, bo coś wczesna jesień się zapowiada.

Lecz robił to wszystko i mówił machinalnie, bo, dotknięty boleśnie chłodem swego Władzia, pamięcią cofał się wstecz, daleko w przeszłość, oczyma wyobraźni zadraśnięta jego dusza patrzyła w dal, uciekała do ojczyzny młodości, do gór porośniętych świerkami i buczyną, do łąk zielonych, do szumiących, spienionych potoków... zobaczył nareszcie tablicę na stodółce, pod szarą skałą, a na niej wyczytał: Cinci Winter, bauer tochter, zmarła, a ojciec, strapiony, na jej pamięć tablicę tę przybił...

— A!... Rozumiem! Jam niemiec... i Bismark nibyto niemiec...

Zapłakał stary, a wchodząc do izdebki, nałożył świeżego tytoniu do fajki, i, ocierając oczy kraciatą chustką, rzekł cicho:

Czyż ja tu... pomimo wszystkiego, jestem... obcy?

\* \* \*

Słusznie przewidywał obeznany z przyrodą Franc, musiał wcześniej ponakrywać róże, bo zima nadeszła rychlej, niż zwykle, i sroga. Zrobił to starannie, jak zawsze. Wysokie pieńki nagiął ostrożnie, przysypał piaskiem, korony mchem otulił, kolących gałązek akacji i jałowcu przyłożył, aby myszy w mchu nie zagnieździły się i kory szlachetnych roślin nie objadły.

U góry, w szerokich i gwarnych sferach polityki, wiał także wiatr coraz chłodniejszy, gorszy od częstych, śnieżnych zawiei, któremi zima przyrody zasypywała pola, lasy i ogród w Kryniczyskach, a wichher ten wystudzał w ludzkich sercach miłość i miłosierdzie, a nawet sprawiedliwość. Wzajemna nienawiść wschodu i zachodu obrała sobie pole walki w nieszczęśliwym kraju, leżącym pomiędzy Odrą i Dnieprem, Bałtykiem i Czarnym morzem. Kraj ten, dla germanów, był znieawidzonym, niebezpiecznym wschodem, dla rosjan zaś — wstrętnym zachodem i tak jedni, jak drudzy, nie śmiejąc zewrzeć się z sobą w śmiertelnym boju, wzajemne obawy i nienawiści odbijali na niewinnym, dzielącym ich kraju.

Pan Piotr, w chwilach, kiedy nadmiar oburzenia przechodził w nim w gorzki humor, w posępną wesołość, mówił:

— To z nami coś tak, jak z tymi żydami, co to ich wieźli chłopci na swoich wozach. Droga była szeroka, ale, że to dla chłopca wszędzie bisowa tisnota, \*) więc potrafili, rozmijając się, zawadzić osiami od wozów. Jeden z nich, więcej rozżalony na współbrata woźnicę, ściągnął batem żyda siedzącego na jego wozie. Tamten, obrażony tem, zaczął okładać żydów z przeciwnego obozu, wrzeszcząc: a ty, bisowa duszo, moho żyda bjesz — to ja twoho! \*\*)

---

\*) Djabelska ciasnota.

\*\*) A ty djabelska duszo mojego żyda bijesz — to ja twojego.

Rozpoczywały się jednak i kroki bezpośredniej, choć nie orężnej walki. Rosja brała się do swoich niemców. Rusyfikowano nadbałtyckie prowincje. Urzędnicy ostrzej zaczęli stosować, już dawniej istniejące przepisy przeciw cudzoziemcom. Inspektorowie fabryczni i policja ściślej wglądali w narodowość i przynależność do obcokrajowego poddaństwa prywatnych, fabrycznych i gospodarczych oficjalistów. Mówiono o cudzoziemcach wogóle, lecz myślano głównie o Niemcach.

W Kryniczyskach zima spłynęła smutniej, niż zwykle. Pan Piotr wpadał często z oznajmieniem, że tam i tam, pan taki — to wyrzucił Niemca — rządcę, oddając rugom pruskim pięknem za nadobne; ówdzie znów, policja zarządziła wydalenie dyrektora cukrowni, Niemca, za to, że jest pruskim, lub austryjackim poddanym, a jeszcze gdzieindziej, bogaty przemysłowiec-Niemiec zwinął swój interes i rozpuścił kilkuset robotników, bo mu nie pozwolono kupić na własność ziemi do interesu potrzebnej. Cieszył się pan Piotr i ręce zacierał, bo nie dodawał, że stało się to ku wielkiej szkodzi stron obu, gdyż jedna traciła kawałek chleba, a druga — sumiennego i umiejętnego pracownika; kraj zaś — potrzebne mu kapitały i pracę dla mieszkańców. W okolicy Kryniczysk wszyscy się podnieśli przeciw Niemcom, bo system Bismarkowski coraz ostrzej dokazywał. Wielu, powtarzając za panią matką pacierz, krzyczało na Niemca, a w głębi duszy myślało: moskal.

Ten ruch, to ciągle rozpamiętywanie krzywd, którym ulegają bracia tam, nad Wartą i Odrą, rozpałały wrażliwą naturę Władysława. Zaczynał on wymawiać sobie, niby zbrodnię, przywiązanie swoje do starego Franca. Wszak to już jedyny niemiec, który pozostał w okolicy o pięcio-milowym co-najmniej promieniu. Nie mógł już do niego mówić nawet, a kiedy stary wchodził do jadalni, gdzie, przy kominie, rodzina Burzanowskich zasiadać wieczorami zwykła, a wchodził już teraz nieśmiało i coraz wcześniej odchodził, Władysław, pod pozorem niezależnych rachunków, usuwał się do swego pokoju, zostawiając matce i siostrze uciążliwe, jak dowodził, obcowanie z niemcem.

Pani Jadwiga skrywała, jak mogła, przed Rodikerem przyczyny niełaski, kładła je na karb zakłopotania sprawami dużego gospodarstwa, lecz daremnie wysilała się na pobożne kłamstwa; Franc domyślał się o co chodzi, nic nie mówił, a tylko oczy jego coraz-to bardziej bladły i coraz mgliściej, a smutniej, patrzyły na jasną główkę Ludwisi. Wieczory kończyły się tem, że wszystko troje wzdychali, a niekiedy i łza w którymś tam oku błysnęła pod światłem ognia z komina.

Kończyła się zima, nadchodziła wiosna... w naturze — nie w polityce. Franc, chcąc zabić w sobie smutek i niepokój, pracował usilniej, niż kiedykolwiek. Po ostrej, mroźnej i śnieżnej zimie, jak to często bywa, wiosna wysilała się, aby wykreślić jej



wspomnienia z pamięci wszystkiego co żyło. Ogród w Kryniczyskach zakwitł wszystkimi jej czarami. Roślinność bujała nagle, niepowstrzymaną siłą, pąki liści na drzewach w oczach pęczniały, a w jedną noc rozpękały. Ciepłe ulewy przelatywały nad Ukrainą, zapładniając jej bujną ziemię. Owocowe drzewa, oblepione biało-różowym kwiatem, pod powiewem ciepłego, miękkiego wiatru, zasypywały trawniki lekką, puszystą ściółką. Ptactwo obrało sobie ten ogród za świątynię miłości, a razem, za salę koncertową. W stawie, wieczorami, żaby olbrzymią kapelą grały, w ciszy schyłku dnia o pół mili w stepie słycać je było. Powietrze, pełne brzęczących owadów, drżało jakimś radosnem a trwożnem oczekiwaniem nocnej ulewy, która nadciągała już z zachodu ze zwykłą swą orkiestrą gromów i fantasmagorją błyskawic.

W tem odrodzeniu swoim, przyroda dyszała olbrzymią pierśią, jakby upojona radosnym hymnem miłości, który sama śpiewała, lecz za tem potężnem, życiowem tętnem czuć było jakby westchnienie tęsknoty, przeczucie, że i ta radość minie i w oceanie wieczności utonie bez śladu i bez wspomnienia, że wszystko to, co teraz kocha, zestarzeje, przetworzy się, a z popiołów nowe życie znowu wybuja i z kolei ustąpi także, i tak zawsze... wiecznie... bez możebnego końca... ciągle nowe, ciągle młode, niby to samo, a jednak... już inne... już nie to, co było... czyjeś kochanie... czyjeś szczęście całe...

Stary Franc czuł to wszystko w sobie, praco-

wał, cieszył się, dreptał po ogrodzie nieprzytomny, niby pijany, a w głębi swej istoty czuł, że i jego życie przemija, jak minęło kochanie jego i przyjaźń i trudy... tęsknił do przeszłości, tonął całą duszą w przyrodzie i widział, czuł wyraźnie, jak ten ogrom go pochłania... był przeświadczony, że coś groźnego zbliża się ku niemu, coś sroższego od konieczności natury i coś bardziej złego, zjadliwego, że znowu zerwie się jakaś złota nić serdeczna, co go do życia wiąże jeszcze.

Władysław gospodarował zawzięcie, jak-to umieją młodzi, jeszcze nie rozczarowani zawodami. Ciągłe był za domem, jeździł po folwarkach i, kąpiąc się w urokach natury, również, jak jego stary przyjaciel, miał jednak w sercu tylko nadzieje; dusza jego rwała się do walki ze światem, z naturą, z ludźmi, z myślą własną, czuł w sobie nie tęsknotę, lecz siłę niespożytą. Zdawało mu się, że ta siła wieki przetrwa, wszystko i wszystkich pokona. Był uosobnieniem odrodzenia natury, a że ono chwilowe tylko, o tem nie myślał... jeszcze.

Pewnego poranku, kiedy, już zgrzany i zmęczony, zsiadał z konia przed gankiem, służący, odbierając od pana wierzchowca, oznajmił, że stanowy przystaw i fabryczny inspektor przyjechali i chcą się z nim widzieć.

Przyjął ich zimno i ceremonjalnie, wszyscy jego sąsiedzi tak samo robili i być inaczej nie mogło. Spytał urzędników:

— Czemu zawdzięczam odwiedzin panów?

— Urząd powiatowy dowiedział się, że w majątku pańskim jest oficjalista obco-poddany — odpowiedział również sztywnie urzędnik. — Otóż, na mocy prawa o cudzoziemcach nie może pan trzymać u siebie służących tej kategorii, tylko prości robotnicy są dopuszczani, a człowiek, o którym mowa, jest starszym ogrodnikiem i podpada właśnie pod to prawo.

— Ależ on w Kryniczyskach już przeszło dwadzieścia lat mieszka... urząd już dawno powinien był wiedzieć o nim.

— Urząd sam wie, co ma robić. Człowiek zajmujący w pańskim majątku miejsce ogrodnika, Franc Rodiker, ma opuścić stanowisko swoje i Kryniczyska w terminie tygodniowym, to jest, w przyszły piątek. Jeżeli tego nie uczyni dobrowolnie, pan zapłaci pieniężną karę, a on odstawiony będzie do powiatu, a stamtąd, odesłany etapami do granicy. Oto jest urzędowe objawienie o tem rozporządzeniu władzy, niech pan podpisze, że je czytał. Potrzebuję widzieć Rodikera cudzoziemca, aby jemu także o tem objawić i wziąć jego podpis. Proszę zatem po niego posłać, niech się tu zaraz stawi.

Władysław wyszedł z kancelarji rządcy, gdzie urzędników przyjmował i, zawoławszy służącego, kazał zanieść im, według odwiecznego zwyczaju, wódki i zakąsek, a także, aby zawezwał Rodikera

do urzędników, sam zaś poszedł na werandę i, siadłszy na trzcinowym fotelu, zamyślił się.

Kamień spadał mu z piersi. Vis major rozstrzyga wewnętrzną rozterkę, w której żyje od kilku miesięcy, od czasu, gdy wygnanie i ruina Tomka Żabickiego żywym swoim przykładem nieludzkości wrogów serce jego takim gniewem i takim oburzeniem zalały, że one, niby gwałtowny potok, nawet przyjaźń i wdzięczność z niego wyrwały z korzeniem... Ej?... Czy tylko z korzeniem? Bo oto coś w tem, jakoby kamiennem, sercu zaszemrało, coś się tam budzić, a raczej wskrzeszać zaczyna. Daremnie powtarza sobie:

— To Niemiec, taki sam, jak ci, co nas chcą wygubić! Wróg dziedziczny... ba! Dziejowy wróg! Zawsze to samo... usługą, układnością, znajomością rzeczy wśliznąć się, wkraść się, a potem wyprzeć nas, dziedziców tej ziemi. Tak... tak, oni, albo my! Innego wyjścia niema. A któż-to wyrzekł nieludzkie słowo: ausrotten? A więc tak... skoro my ze swego kraju, z odwiecznych siedzib mamy przed nimi ustąpić, to i oni, skąd tylko można... precz! Ząb za ząb, oko za oko! To prawo natury!

Ale w sercu coś cicho szepcze: a któż-to naturę tobie odkrył zupełnie inną, przyrodę-matkę, przyrodę-karmicielkę i pocieszycielkę, tę, z której łona wyszedłeś i która kiedyś, na swe łono cię przygarnie i zagoi rany przez życie zadane, ukoji boleści, tak ciała, jak ducha; ciało użyje do nowych tworów,



a duszę zanieś do nowych bytów, bliżej Wielkiego, Dobrego Ojca... Wszak o tem także ten niemiec, ten Franc znienawidzony mówił prostemi, lecz pięknemi słowami... Któż-to był towarzyszem młodzieńczych zabaw twoich, kiedy pod jego opieką oddawałeś się ulubionej rozrywce łowów na ptactwo po bagnach, nad stawem... Ach tak! Ten staw... Wszak to on, Franc, z jego zimnej wody, z pomiędzy lepkich wodorostów, z pod lodu cię dostał i życie ocalił, swojego omal nie straciwszy... przecież on to zdrowiem przyplacił... Ten opiekun dzieciństwa, przyjaciel młodości ma być wrogiem? Wrogiem, którego wyrzucić trzeba z domu, w który wrósł od lat tylu, za to tylko, że urodził się w Alpach, a nie nad Wisłą, lub Dnieprem, że go matka nauczyła mówić Gott, a nie Bóg... muter, a nie matka. Toż pomimo, iż brzmienie tych słów inne, święte i drogie pojęcia, jakie one oznaczają, są te same i w sercu zacnego starca potężnem tętnem biją... On sam na świecie, on odrazu traci przybraną rodzinę, której tyle lat wiernie służył, nową ojczyznę, gdzie znalazł trochę serca i chleba, za które dał tyle pracy i miłości, kraj, który ozdobił trudem i wiedzą, bo przecież tam, w swoich górach, nad rodzinnym potokiem, już nikogo nie znajdzie... A kiedy ojciec, już chory, pomiędzy innemi radami, słabym głosem polecał ci Franca, jako najlepszego przyjaciela... przypominał, że on ci życie ocalił, a co ważniejsza, o ile go stać na to było,

duszę twoją ozdobił i rozwinął... I oto, za dni kilka, ten przyjaciel, z którym tyle lat spłynęło, z którym zżyliście się wszyscy, jak z blizkim krewnym, który tobie i Ludwisi drogiego ojca, a waszej matce męża, tak często na pamięć przywodzi, odejść musi... Dokąd? Mój Boże, ... chory, stary, sam na świecie, dokąd on pójdzie ten biedny, drogi Franc? ...

Wszystko co dobre i tkliwe i święte, załkało i jęknęło w duszy Władysława. Długo siedział z łokciami wspartymi na stole, z głową w dłoniach, czuł, że odejście Franca brutalnie rozrywa coś w jego duszy, że z niem piękna, owiana dziecięcami złudzeniami część życia jego zapada w otchłań bezpowrotnej przeszłości, że już zaczyna się robić w około niego, ta straszna pustka, co, wciąż rosnąc, towarzyszy każdemu ludzkiemu życiu.

Franc wysłuchał okrutnego wyroku wykonawców władzy. Oszłomiło go to, jak uderzenie obuchem w głowę. W pierwszej chwili, myśli zebrać nie mógł, chodził, błędząc po ogrodzie, lub bezwiednie wykonywał w nim swoją robotę. Później, poczucie godności ludzkiej wstrząsnęło nim nagle. Postanowił, nie czekając tygodniowego terminu, natychmiast Kryniczyska opuścić... postanowił, lecz wykonać postanowienie, sił mu zabrakło. Co spojrzy na ogród, na starą panią, na Ludwisię, która ma włosy tej samej barwy, jakie tam... kiedyś, miało

drogie dziewczę dotąd nie zapomniane, na Władzia, którego zawsze jeszcze widzi żwawym, wesołym, pojętnym chłopaczkiem, to chwyta się, niby tonący dobroczynej deski zbawienia, oznaczonego terminu... Przecież do piątku ma jeszcze czas... dzisiaj niedziela, pięć dni zostaje... Ho... ho! Kawał czasu! On, któremu dwadzieścia parę lat tu, w Kryniczyskach, w tym ogrodzie i rajcu przeleciało, jak sen, myśli, że te pięć dni są bardzo długim okresem czasu. Co może w ciągu tych dni zdarzyć się? Może wszystko się zmieni... bo przecież, on sobie wyobrazić nie może Kryniczysk bez siebie, a siebie — zdala od nich...

Władysław krążył po ogrodzie, chciał Franca zobaczyć, uścisnąć, lecz bał się spotkania. Widział, że go stary wymija, choć za nim ogląda się i czerwona chustkę do oczu przyciska, nawet nie trzyma w szczyrbie zębów dużej fajki porcelanowej. Och, ta fajka... ile w niej wspomnień dla nich obu! Szybkim krokiem dopędził Franca i drżącym głosem spytał:

— Mój stary, czemu nie palicie fajki?... Tytoniu wam: zabrakło?

Franc blade, smutne oczy podniósł na niego i tem spojrzeniem jakby pocałował czoło tego, który dla niego był wciąż jeszcze swawolnem i pieśczołliwym, pojętnem i łagodnem dzieckiem i cicho odpowiedział:

— Nie. Tytoń mam, tylko fajki już niema...

Siedziałem na schodach cieplarni, zamyśliłem się jakoś... At! Co tam skrywać?... Zapłakałem, szczęki mi zadrgały i upuściłem fajkę na kamienny stopień... stłukła się... Żle. To fajka, którą kupiłem, jadąc tu, do Kryniczysk... do was... kiedy mię nieboszczyk pan zgodził do... tego... ogrodu. Dwadzieścia dwa lata służyła mi... równo tyle, ile ja... wam...

Popatrzyli przez chwilę głęboko w oczy jeden drugiemu, dużo snadź beznadziejnego smutku obaj w spojrzeniu tem wyczytali, bo Franc ręką machnął powoli, odwrócił się i podreptał do cieplarni, mrużąc:

— Franc, to także stara fajka...

Co wieczór, Franc, wezwany już teraz, bo inaczej nie śmiał, przychodził do pani i, siedząc na ganku, a słuchając koncertu słowików i żab, płakali we troje z Ludwisią, której przed wyobraźnią stawało całe, krótkie jej życie obok starego Franca spędzone, a matce i jemu — najlepsze lata ich życia... lata, kiedy bezwzględne nieraz porywy młodości, złagodzone dojrzałą myślą, zmieniały się w trwałe uczucia i stałe przekonania o tem, co piękne i co dobre... i dlaczego.

Każdego ranka, po bezsennej prawie nocy, mieszkańcy dworu i tyło-letni lokator izdebki mieli tę samą boleśnie kłójącą myśl: dziś już środa... to pojutrze. Czwartek... już jutro...

W piątek rano, Władysław wszedł do izdebki i zastał Rodikera składającego rzeczy do płóciennego



tłumoczka. Wchodząc, zaraz od progu, z nagłym wybuchem, zawołał:

— Mój stary! Wy nie odjedziecie... wy odjechać nie możecie! Niech sobie sąsiedzi mówią, co chcą, a urzędnicy niech robią swoje... a my — swoje. Co będzie, to będzie, ja was nie puszcze! Karę płacić będę, ile kroć zechcą... a wy, mój drogi stary, zostanieie z nami.

— Na nic to, moje dziecko... przepraszam... mój młody panie. A etapy? Staremu iść, niby zło-czyńca kolbą popychany... ciężko...

— Urzędników opłacę... przez palce na was patrzeć będą...

— I to na nic. Pieniądze wezmą, a mnie wyrugują... przecież Bismark ich nauczył — uśmiechnął się smutno — Oo... jak polityka do kogo się weźmie... to już tak łatwo nie puści. A zresztą, choć pieniędzy nikt ze sobą na tamten świat nie bierze, ale szanować je trzeba... to owoc pracy, po drogach nie znajduje się ich. Grosz z kieszeni — częśćka swobody stracona. Mnie już ich nie potrzeba, ale wy młodzi... życie przed wami, moje dziecko... Stary Franc nie chce, żebyście z jego powodu mieli straty, kłopoty i prześladowania...

W tem, drzwi izdebki otworzyły się i stanął w nich chłopak kredensowy, oznajmiając:

— Proszu pana pryichaw stanowij i chce pana pobaczyty.

Stanowy objawił, że przyjechał dopilnować wyrugowania Rodikera, ma surowe instrukcje, a to tembardziej, iż okazało się, że pasport jego jest w okropnym nieporządku: od lat wielu nie zmieniany, w konsulacie nie wizowany, w powiecie nie jawiony, nigdzie nie opłacony, istny chaos... koniec świata. Z tego jasno widać, że Franc Rodiker jest poprostu biezpasportnyj bradiaga.\*)

— Ależ, Agafonie Charłampiewicz! Jakiż on włóczęga? Tóż on z Kryniczysk od dwudziestu przeszło lat nie ruszył się wcale... chyba do miasta po jakie nasiona nowe, lub flance nadzwyczajne!

— Niczewo... on biezpasportnyj, obco-poddany... niemiec. Zupełnie padazritelnaja licznóść, niebłago-nadiożnaja\*\*).

— On ogrodnikiem nie będzie więcej. Pozwólcie mu pozostać tu, jako gościowi, przyjacielowi mojemu... wysłużonemu gracjaliście!

— Nielzias\*\*\*)... paszport nie w porządku.

— Wyrobię nowy pasport.

— Pozdnos\*\*\*\*)... było wcześniej... to obejście prawa wszystko. Nielzias.

Władysław, zewsząd odparty od twardej skały wyjątkowych ustaw, kiedy mu jeszcze urzędnik za-

---

\*) Biezpasportowy włóczęga

\*\*\*) Nic to, on bez pasportu, zupełnie podejrzana osobistość nie wzbudzająca nadziei.

\*\*\*\*) Nie można.

\*\*\*\*\*) Późno.

groził, że każe sotskiemu\*) prowadzić natychmiast Rodikera do powiatu, kazał zaprzęgać do powozu, aby odwieść go do stacji kolei, lecz i to mu się nie udało. Skromny i cichy starzec, wierny tradycji i wspomnieniom młodości, stanowczo oświadczył:

— Odejdę piechotą, tak samo, jak kraj swój opuściłem i jak tu przyszedłem.

Drżący i blady Franc wszedł na ganek, przykląkł przed panią i objął jej kolana. Ona, łkając, drżącymi rękami przyciskała siwą głowę jego. Potem, objął Ludwisię i ojcowski pocałunek złożył na czole swojej schöne Luischen... Zdało mu się, że po raz drugi jasno-włosa, modro-oka, której całą duszę oddał, ucieka od niego w jakąś dal bezmierną. Długo w objęciu trzymał swego Władzia, wpatrując się w niego łzawem spojrzeniem zamglonych oczu, i rzekł cicho:

— Myślałem, że ty mi oczy zamkniesz... ale, moje dziecko drogie, Bóg tego nie zechciał... a może, źli ludzie... Niech On wam błogosławi, a ludzie, niech wam jak najmniej zła robią... tego wam życzy stary... niemiec... wasz Franc...

Wyrwał się z objęcia swego Władzia, zawiesił tłumoczek na plecach rzemiennymi szelkami, które przy nim urządził, wziął kij w rękę i zszedł z ganeku, chwiejąc się na nogach. W bramie, odwrócił się raz jeszcze. Długiem, tęsknym spojrzeniem spłowiwałych, zamglonych oczu ogarnął stary dwór, ogród...

\*) Najniższy policyjny urząd po wsiach.

kochany ogród, który zawsze naszym ogrodem nazywał, gdzie każda grudka ziemi potem jego była zroszona... popatrzył z niezmiernym smutkiem ku zebranym na ganku i powlókł się drogą, na której wiosenny wiatr podnosił kłęby kurzu. Za nim, zdala, jechał bryką stary Hryćko, wysłany z tem, aby zmęczonego namówił wsiąść do niej.

Na ganku, Władysław zdławionym głosem rzekł do matki i siostry:

— Część życia naszego unosi z sobą nasz kochany Franc... Należną zapłatę wziął... nagrody, którą prosiłem go, aby przyjął — odmówił... Poszedł ubogi... jakim przyszedł...

— Odemnie przyjął tylko srebrny krzyżyk na pamiątkę — rzekła zapłakana Ludwisia.

Pani Jadwiga chciała coś powiedzieć, lecz łkanie nie dało jej mówić, a Władysław dodał:

— Niech mówią, co chcą, a ja wiem, że oprócz was i ojca, nikogo tak nie kochałem i pewnie kochać nie będę, jak tego... niemca.

Nagle, rzucił się do sieni, chwycił kapelusz, wcisnął go na głowę i popędził za Francem, wołając:

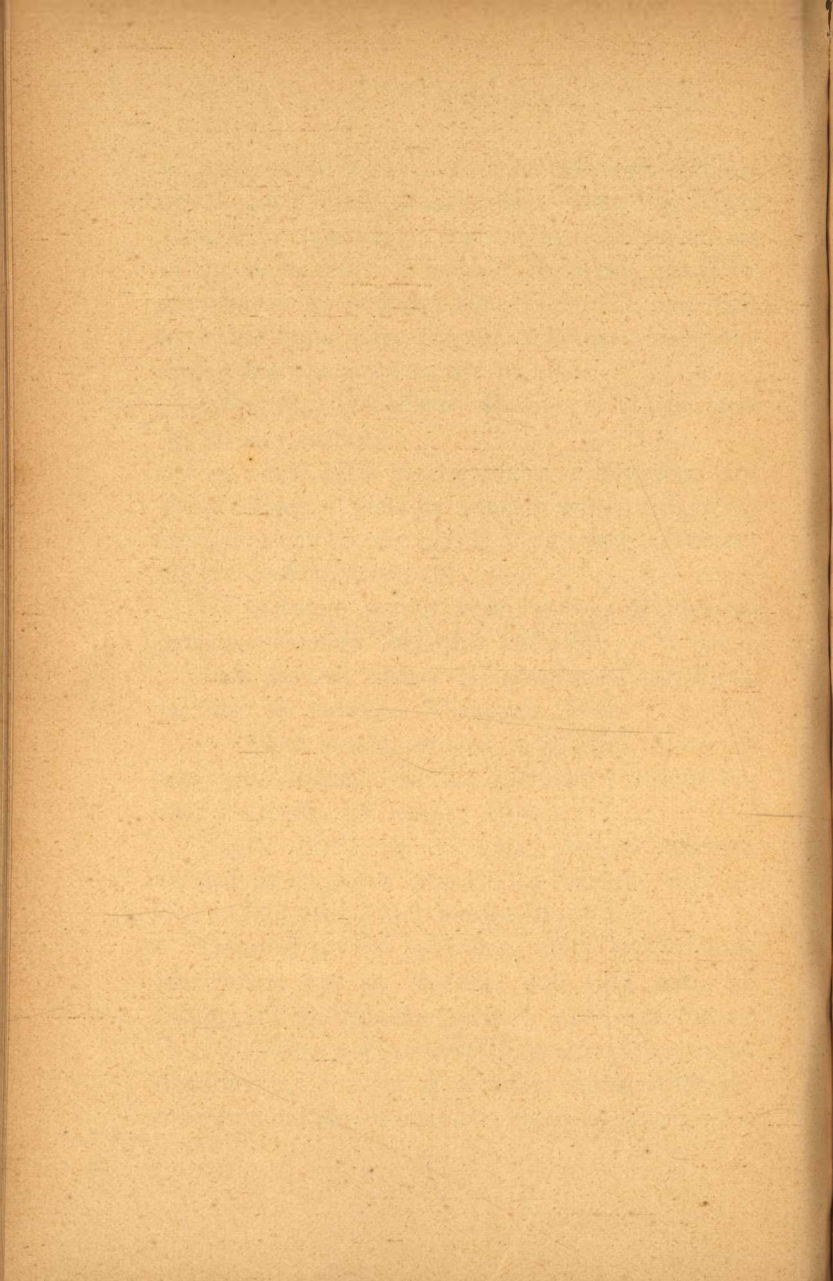
— Mój stary! Mój biedny stary!

Dopędził go już na trakcie, który nieskończoną pochyłością piął się łagodnie pod górę, niby ku błękitnemu, wiosennemu niebu i szedł obok Franca.

Co działo się w ich duszach, podczas tej ostatniej, wspólnej, w tem życiu, przechadzki, zrozumie ten, komu właśnie narodów serca jeszcze nie wysuszyły zupełnie.



WIEDZA I CZŁOWIEK.



## WIEDZA I CZŁOWIEK.

Przez jałową, kamienistą pustynię, powolnym krokiem, szła Wiedza. Nieprzenikniona ciemność i rozpaczliwa pustka zalegały jej drogę. Dziwny świat, przez który szła, trzy potwory zamieszkiwały:

Pierwotna Bezmyślność spłodziła Przesąd i Nie-sprawiedliwość, a ta posępna trójca wzniewiała wokoło próżnię, martwość, cierpienie i rozpacz, i świat ten leżał surowy i bezpłodny, jak w zaraniu stworzenia swojego.

Za wędrowną, w oddali, bieląta blada jutrzeńka... z niej to schodziła ona, dążąc, coraz dalej, w ciemną, głuchą puszcę. Pochód jej trudny był i uciążliwy. Trzy potwory na każdym kroku piętrzyły przed nią zasadzki, przeszkody i niebezpieczeństwa, bo światło, co promieniało z czoła idącej, przerażało je swoim blaskiem. Dzieci mroków, potomkowie i dziedzice długiej przeszłości zwierzęcego życia, uciekały one od światła, co mąciło senną nieruchomość ich pierwotnych, zaczątkowych umysłów, i, kryjąc się za czarne szanice starych skał granitowych, walczyły zawzięcie z potężnym, a natrętnym gościem wchodzą-

cym zwolna, coraz głębiej, w ponurą puszcę, gdzie dotąd bezpodzielnie panowały.

Czoło Wiedzy zwilżone było kroplami potu, z jej zbolących członków sączyła się szlachetna krew, jej białą szatę kalały piętna spalenizny i dymy stosów, przez które, wiekami całemi przedzierać się musiała, bo niemi władcy mrocznej pustyni mieli nadzieję pochód jej wstrzymać; potykała się o niezliczone zawady, które przed nią piętrzone, lecz zawsze zwyciężka cierpliwością i siłą przekonania, Wiedza szła wolno, ale ciągle naprzód, a na jej czole świeciła wzniosła praca usilnej myśli i oczy jej, z wyrazem nadziei, utkwione były w daleki odbłask zorzy, co już spokojnem a silnem swem światłem zalegał widnokrąg pustyni, a przed nią świecił czarującą grą barw.

Wszędzie, wokoło promienistej podróżnej, zapalały się w otaczającym mroku blaski, niektóre słabe, lecz liczne, niby latające muszki, co, w ciemne, parne noce, przecinają fosforyczną błyskawicą gorące powietrze, inne samotne, gorejące, jak słońca, oświecały szerokie przestrzenie, przyciągając ku sobie wątle, fosforyczne błyski, które, wpadając w wir, krążyły wkoło nich, jak satelity.

Z głębokiego wąwozu, ściśniętego pomiędzy spiętrzonemi, czarnemi, lub omszonymi zwałami skał, wyszedł człowiek i skierował się ku jasnej, wędrownej postaci.

Wiedza, sądząc, że ma do czynienia z nowym potworem ciemności, zakryła piękne swe oblicze



nieprzeniknioną zasłoną i stanęła, gotując się do nowej walki.

Człowiek z wahaniem zbliżył się do niej i nieśmiałym głosem rzekł:

— Promień tego światła, co bije od ciebie, musnął moje czoło... bardzo mało jasności w niem rozniecił, lecz wzbudził pragnienie poznania... O Wiedzo! Tak bym chciał wszystko zrozumieć, wszystkiego nauczyć się... w olbrzymiem olśnieniu twego czarującego światła... bez uciążliwych prac mozolnego badania! Lecz niestety! Widzę, żeś okryta gęstą zasłoną...

— To dla tego, żeś synem Bezmyślności, bratem Przesądu i uczniem niesprawiedliwości — odparła zimno Wiedza.

— Byłem nimi, lecz, od kiedy zajrzałem te blaski, które po swej drodze rozsiewasz, co grają cudnymi barwami nieznanymi w mojej ciemnicy, uczułem nieśmiałą, lecz palącą żądzę ujrzenia cię bez zasłony, chęć kochania ciebie i służenia tobie...

— Widzisz, jak zadanie moje niezmiernie trudne? — przerwała Wiedza poważnie, głosem pełnym cudnej harmonii. — To-też tylko ciężkim trudem podnieść można moją zasłonę i... nigdy całkowicie. Światło moje nie olśniewa moich kochanków jakąś niebywałą apoteozą cudu!... Nie! Ono stopniowo oświeca tych, którzy są zdolni do wysień ducha, do wytrwałych znojów myśli... W zamian za nie, nagradzam ich odwagę i pracę niezmierną, uroczą

radością, bo otwieram przed nimi widnokregi coraz to szersze, wspaniałości coraz bardziej wzniosłe... Nietylko otwieram ich umysły dla Prawdy, lecz także dusze ich napawam wzruszeniami Piękną i Dobrą... Słuchaj! Duchu żądny poznania!.. Aby podnieść brzeg mojej zasłony, trzeba mówić: „Chcę poznać“! a nie: „Pragnąłbym wiedzieć, lecz boję się trudów zmuśnego badania, pracowitych wyteżeń myśli“.

— O Wiedzo! Daj mi zajrzeć pod twoją zasłonę! Ja tak gorąco pragnę zobaczyć co się pod nią kryje! Zwątpienia tak mnie strasznie dręczą!... Wiedzieć! Wiedzieć!... Choćby potem, przestać istnieć!

Wiedza smutno potrząsała głową. W chwilę potem, oczy jej strzeliły jasnym promieniem, tak silnym, że przebił on zasłonę i padł na zbladłe czoło Człowieka. Rzekła:

— Później, znowu tędy przechodzić będę. Jeżeli wtedy umysł twój gotów będzie... to odkryjesz rąbek mojej zasłony... Tymczasem, myśl, pracuj i cierp...

I Wiedza oświeciła swoje oblicze tajemniczym, promiennym uśmiechem, pełnym uroczych obietnic i odeszła w wieczną podróż swoją, do walk z potworami smutnego pustkowania.

Odtąd, ów uśmiech, który miał dość siły, aby przeniknąć gęstą zasłonę Wiedzy, nawiedzał zachwycony umysł Człowieka.

Później, wierna danej obietnicy, Wiedza odwiedziła znowu okolicę dzikiego, ciemnego wąwozu, w którym mieszkał człowiek gnębiony przez Bezmyślność, Przesąd i niesprawiedliwość.

Szła ozdobiona w nowe zdobycze. Nad czołem jej unosił się blask zaczerpnięty z piękniejszych szczęśliwszych światów Przestrzeni. W tajemniczym jej spojrzeniu odbijały się miraż widzianych tam, w otchłaniach, słońce Prawdy, a łagodne było to spojrzenie i dobre, jaśniało nieznanem, w ciemnej pustyni, pięknem.

Widząc ją nadchodzącą, pewniejszym, aniżeli dawniej, krokiem, Człowiek zbliżył się do niej. W ciągu długich lat, na jego czole myśl wycisnęła dostojną pieczęć swoją, usta zachowały gorzyc cierpienia, a w oczach zarzyła się odwaga, którą rozwijał w życiowych walkach.

Ona długo i badawczo na niego patrzyła, aż wreszcie rzekła:

-- Podnieś rąbek zasłony mojej.

Człowiek chciwie ujął zasłonę, szarpnął raz i drugi. Chciał ją całą zerwać... daremnie... miotał się, bezsilny, aż niezmiernym, ostatnim wysiłkiem uniósł jej na tyle, że zajrzał w jasne, głębokie źrenice Wiedzy. Patrzył długo, z gorącą ciekawością, wciąż rosnący dreszcz zapału nim wstrząsał, aż zawołał:

— Poznałem wiele!... Przeczuję jeszcze więcej, ale zawsze i ciągle za mało! Niestety!... Za mało! Nie wiem wszystkiego! Nie oddałaś się mnie zupełnie... czuję, że wymykasz mi się!...

W mowie jego dźwięczały: zawód i rozczarowanie. Wtedy Wiedza rzekła uroczystym głosem:

— Bom nieskończona, jak przedmiot badań moich...

I, niewzruszona, poszła znów dalej.

\* \* \*

Człowiek powrócił do smutnej, rodzinnej doliny. Znowu myślał, pracował i cierpiał dalej, lecz w jego oczach lśnił promyk nadziei, świecił odblask białej zorzy, co leciała nad Wiedzą, towarzysząc jej pochodowi przez mroczną pustynię.

\* \* \*

Po latach wielu, znowu poważna i piękna postać tej, co wzniecała światło, weszła w państwo Bezmyślności, Przesądu i niesprawiedliwości.

Niepoznała okolic zdawna jednak znanych sobie. Martwa pustynia ożyła. Łany zbóż falowały ciężkimi kłosaми; tam, gdzie dawniej ostry żwir pokrywał jałową równinę, kwitły teraz ogrody. W miejscach, kędy, ongi, wznosiły się granitowe szańce złowrogiej trójcy, stały bogate i ludne miasta. Kraje całe dyssały gwarnem, bujnem życiem, rozbrzmiewały życiową radością i weselem.

Wiedza szła piękną, szeroką drogą, wysadzaną kwitnącemi drzewami, jej czoła pot nie zwilżał, przeszkód żadnych nie spotykała... przeciwnie, kiedy zbliżała się do pięknego miasta, mieszkańcy wyszli na jej spotkanie, witając radośnie. Z ich grona wy-



stąpił naprzód poważny starzec i rzekł do wiecznej podróżnej:

— Posłanniczko Światła, bądź pozdrowiona i błogostawiona! Wszystko, co tu widzisz, bogactwa, dobrobyt, wśród których żyjemy... tobie zawdzięczamy. Wiemy, że przez wieki całe, błąkałaś się po ojczyźnie naszej, prześladowana, ścigana, nieraz katowana, lecz pomimo to, hojną ręką rozsiewałaś isierki, co długo, bezsilne, tlały w niektórych duszach, a nic już ich stłumić nie mogło. Przodkowi naszemu powiedziałaś kiedyś: „myśl, pracuj i cierp“. Usłuchał ciebie i nas nauczył... Długo pracowaliśmy... cierpieli, aż nareszcie, los nasz stał się znośniejszy. Z pokolenia w pokolenie łagodniał on coraz bardziej i doszliśmy do szczęścia... względnego, bo trapi nas jeszcze i dręczy niemożność poznania wszystkiego... Pomimo usilnych trudów, zdołaliśmy odkryć jedynie tylko szczegóły otaczającej nas rzeczywistości i użyć tej wiedzy ku wygodzie ulotnego życia naszego... Całość zaś, treść i znaczenie rzeczy uciekają przed naszym pojęciem... im więcej umiemy, tem więcej poznać chcemy... Nie wiemy skąd idziemy i dokąd dążymy... po co, właściwie, siły przyrody zbudziły naszą świadomość na krótką chwilę życia... co się z nami stanie po niem?

Dzisiaj, skoro ujrzeliśmy nadchodzącą, ciebie, która jesteś symbolem tej naszej mozolnej, wiekowej pracy poznawania, zbudziła się w nas nadzieja, że zechcesz i potrafisz zdjąć nareszcie nam z oczu dzie-

dziczną ślepotę i olśniesz nas odkryciem tajemnicy bytu... O Wiedzo! Nie próżna ciekawość tylko zanosi tę prośbę do ciebie. Najbliżej nas obchodzące nasze własne losy skryte są przed nami. Nierozumiemy skąd biorą się w nas dziwne, głębokie tęsknoty do czegoś nieznanego i nieokreślonego, a takie urocze, że po nich, szarą mgłą osnute, wydają się nam rzeczywiste zdarzenia życia... Wielki smutek nas ogarnia na myśl, że, po tylu znojach i pracach, istnienia nasze świadome siebie rozwieją się w wielkiej bezświadomości przyrody... Zwątpienie nas wtedy ogarnia, a za niem nadchodzi niechęć do prac dalszych, bo czyż warcie tylu trudów i zabiegów marne wygody życia, które trwa tylko chwilę. O Wiedzo! Błagamy cię! Odkryj nam samą treść wszechbytu! Skąd to wszystko? Po co? Dokąd dąży? Jaka jest przyszłość nasza? Czy prace około rozwoju naszych efemerycznych istnień nie są czynami szaleńców? Czy trudy te i cierpienia nie idą na marne, jak to, umysłom naszym, wszystko wskazywać się zdaje? Wiedzo! Usłuchaj wołania biednych, ślepych istot znużonych pracą nad siły, a nie widzących jej celu!

Wiedza, ukryta za gęstą swoją zasłoną, spokojnie i beznamiętnie odpowiedziała:

-- Żaden wysiłek nie ginie, żadna praca nie marnieje. Stopień rozwoju, na którym dzisiaj stoicie, kładzie podwaliny pod przyszłe, szersze pojęcia; piękniejsze, lepsze losy. Umysły wasze, wiekową,

usilną pracą myśli, wznoszą się zwolna do możności pojęcia Prawdy... Dzisiaj, zarówno, jak przed wiekami, każdy z was osobno, a gatunek wasz zbiorowo, idziecie wciąż naprzód; powoli, stopniowo, umysły wasze przenikają coraz głębsze tajemnice... ale rozwój postępu jest nieskończony... przedmiotu dla wiedzy nigdy niezabraknie, jakby wysoko i daleko nie dotarła. Powiem wam teraz toż samo, com mówiła, ongi, przodkowi waszemu: „myślcie i pracujcie wytrwale“ ... niema wysilenia, co by na marne poszło... Każdą zdobycz pracy ducha utrzymacie. Droga postępu idzie w Nieskończoność... trwanie jej wieczne... Czy myślicie, że w Nieskończoności i Wieczności nie znajdzie się miejsca dla waszych istnień świadomych? Dziś przeczuwacie to i tęsknicie do czegoś nieokreślonego... Jutro... być może... spotężniałe trudem umysły wasze zdołają pojąć — przeczuwane, określić — nieokreślone, a wtedy, staną wobec nowych, zawilszych zagadnień, głębszych tajemnic i coraz dalej rozjaśniać je będą, zachwycone wspaniałym blaskiem odkrytych dla myśli światów... Taki pochód naprzód... wyżej, już sam przez się może być treścią duchowego życia...

Wiedza, nagłym ruchem, uniosła na chwilę zasłony, a kiedy tłum, zachwycony, padł na twarz, wołając:

— Boginię Prawdy widzimy! Z jej ust o wszystkim już wiemy!

Ona, wzruszając ramionami, szepnęła obojętnie:

— Ci... nieprędko jeszcze ujrzą widnokregi, które mam im wskazać, skoro Prawdę nazywają boginią... Szczęściem, oni nie jedyni uczniowie moi...

I poszła, dalej, wieczna wędrowna.

\* \* \*

W ludnem, bogatym mieście, tłum obchodził wielkimi uroczystościami nowe święto. Uczni, dla uświetnienia go, zastosowali mnóstwo odkryć swoich. Zbudowali nowe środki lokomocji, nowe systemy oświetlenia ulic i ogrodów. Wydali tłumom uczty, na których nowe środki spożywcze powszechne uznanie zdobyły. Nieznane dotąd siły przyrody zaprzęgli do pracy dla ludzi. Obok uczonych, powstałi nowi kapłani, którzy, na gruzach dawnych świątyń, wzniesli ołtarz bogini Wiedzy i na nim zbierali owocne ofiary.

Jeden tylko starzec, który przemawiał do Wiedzy, nie brał w uroczystościach udziału, bo dusza jego zbyt była przeniknięta cichą, wewnętrzną radością. On rozumiał, że Wiedza nie podawała się za boginię, lecz za robotnicę, że każdy umysł, nią zachwycony, pracą przyswoić ją sobie może i nosić ją w sobie i, z jej pomocą, iść ciągle dalej ku wielkim celom, lepszej, a nigdy nieskończonej przyszłości.

Starzec chodził po ojczystym świecie, a że znał jego przeszłość, często mawiał:

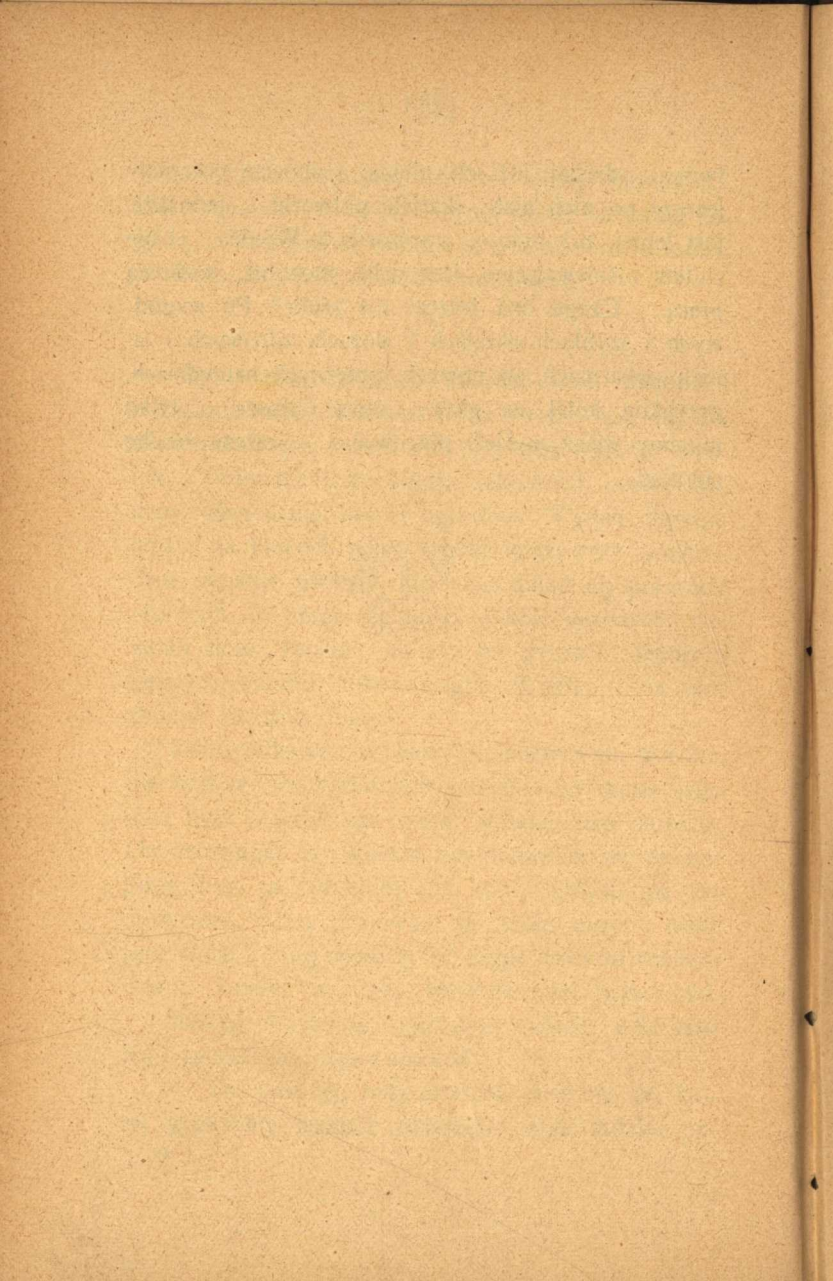
— Tu, dawniej, była straszna pustynia, po której grasowały nawpół zwierzęce, wpół ludzkie po-



twory... dzisiaj już ich niema, a chociaż pozostały jeszcze po nich małe, skarłałe potworki... jednakże, jest lepiej, niż było... a sprawiła to Wiedza... i nie cudem olśniewającym, lecz cichą, mozolną, wiekową pracą... Czego ona jeszcze nie zrobi? Po wygodnych i szybkich okrętach i wozach, zdrowych i tanich pokarmach, po nowych, potężnych narzędziach, przyjdzie kolej na głowy, serca i dusze... tylko musimy wciąż myśleć, pracować i... jeszcze trochę cierpieć.

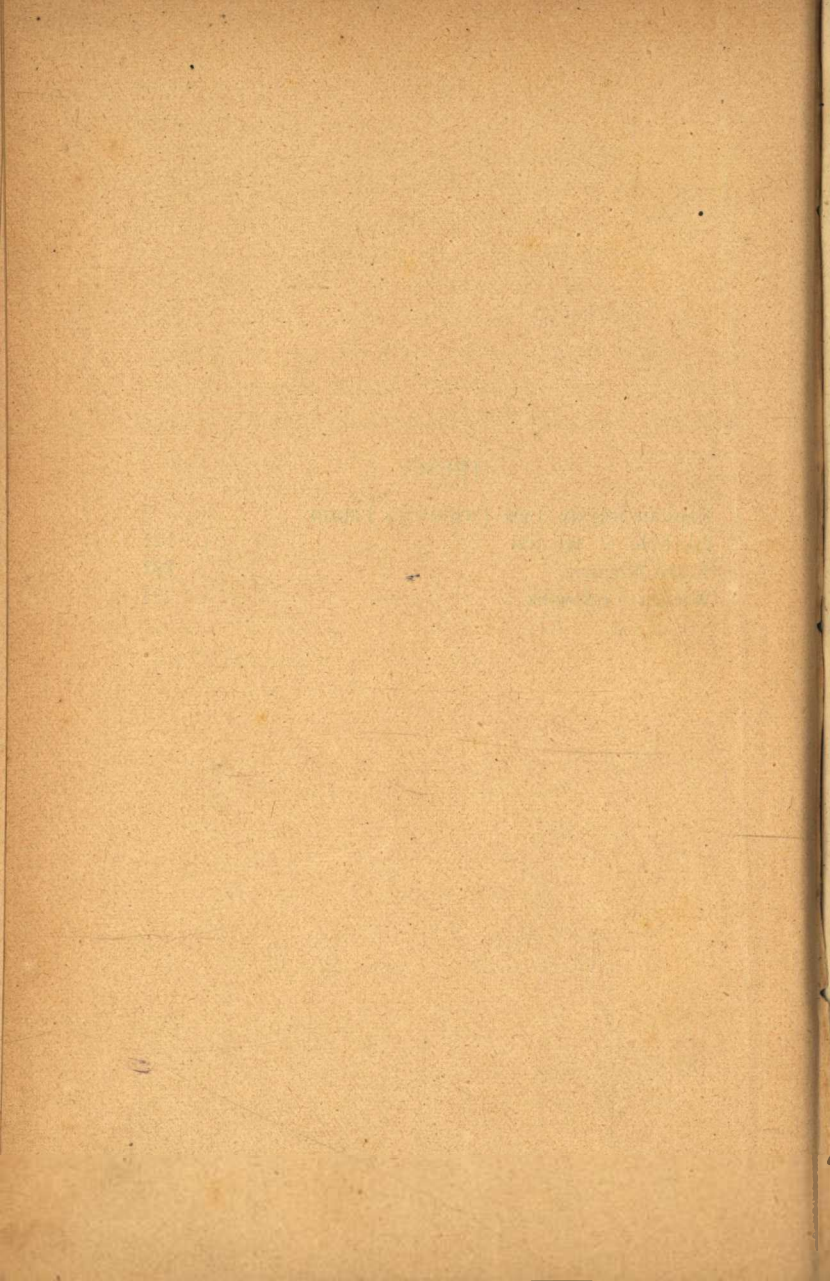
---

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

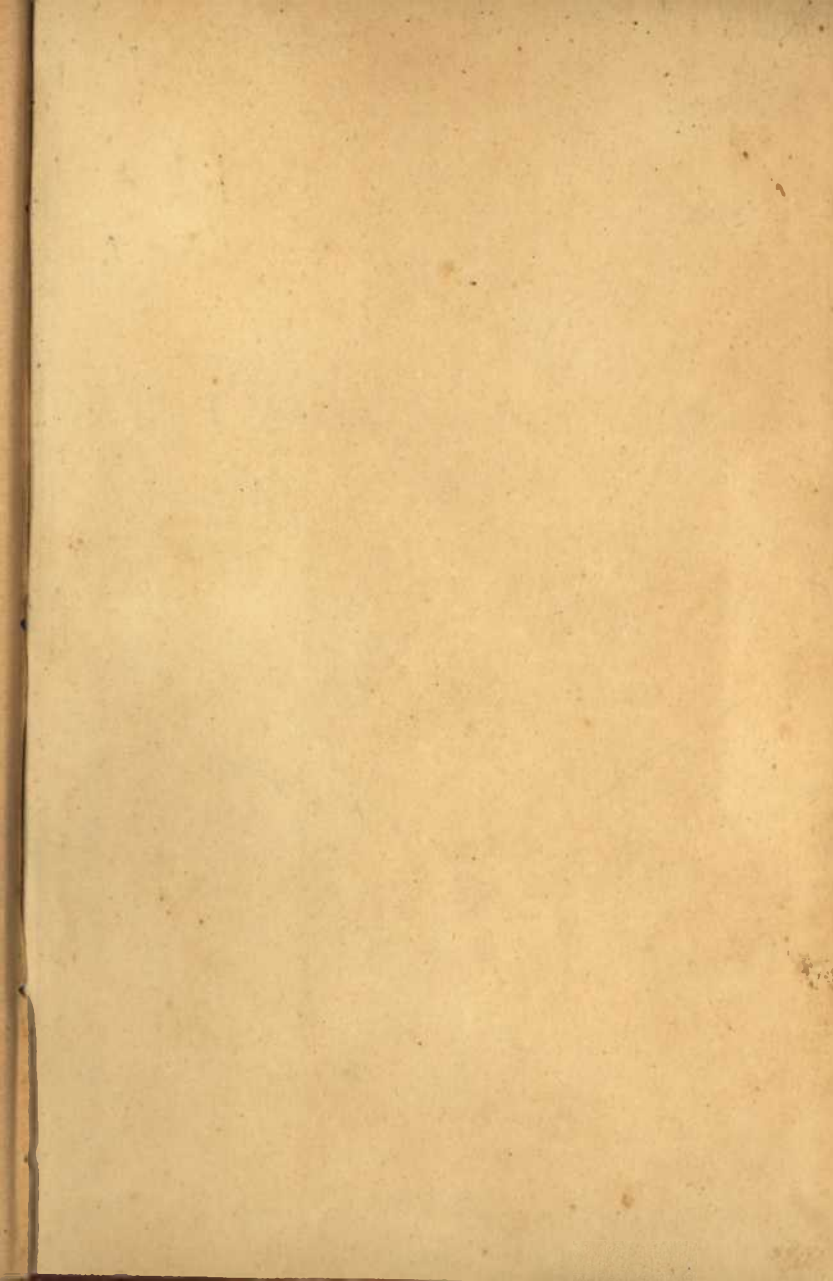


TREŚĆ:

1. Kapitan fregaty Lew Pawłowicz Łaptin . . .	str.	3
2. Jak było — tak jest . . . . .	„	121
3. Także Niemiec . . . . .	„	181
4. Wiedza i człowiek . . . . .	»	221







Biblioteka Uniwersytetu  
MARIII CURIE-SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

A16238

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie  
Biblioteki



1000173260